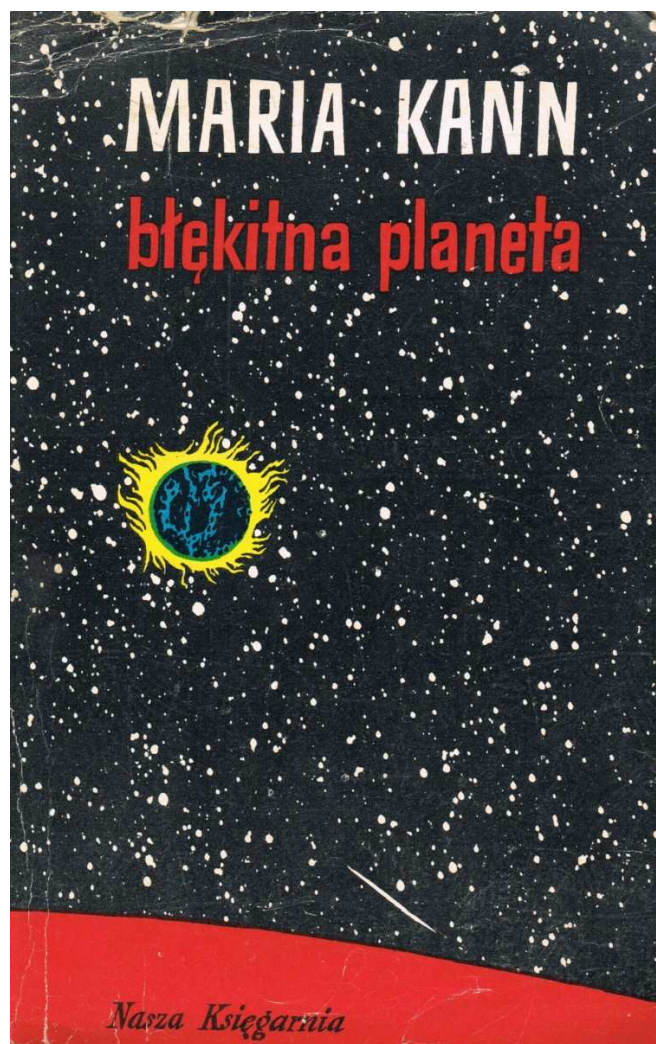


MARIA KANN

# BŁĘKITNA PLANETA



NASZA KSIĘGARNIA • WARSZAWA • 1965

## MIĘDZYGWIEZDNY ŻEGLARZ

Powoli odzyskiwał świadomość.

Za przezroczystą obudową pojazdu jaśniały białe zwoje Galaktyki, przecinające na ukos wydrążoną kulę nieba. Znajome konstelacje błyszcząły jak różnokolorowe ćwieki wbite w czern firmamentu.

Przebył drogę od słońca do słońca, a niebo wyglądało tak samo jak wówczas, kiedy patrzył na nie ze swojej planety. Odległość między sąsiednimi układami słonecznymi była niczym wobec bezkresu dzielącego je od dalszych słońc nawet tej samej galaktyki.

Gwiazdy zataczały gigantyczne kręgi dokoła jej środka, ukrywającego się za ciemnymi mgławicami - a równocześnie rozlatywały się w różnych kierunkach, niby rozdmuchane potężnym oddechem kosmicznej wichury. Pędziły z zawrotną szybkością, ale międzygwiazdny wędrowiec nie mógł tego dostrzec.

Czas człowieka jest inny niż czas gwiazd. Dopiero po upływie tysiącleci ludzkość może dostrzec zmiany w gwiazdnych układach. Dla poszczególnych ludzi, dla każdego człowieka nawet, jeśli wędruje w Kosmosie, niebo pozostaje niezmiennie.

Astronauta odszukał rój drobnych gwiazd, za którymi, jak wiedział, otwiera się widok na inne galaktyki, podobne tej, która opasywała niebo srebrzystą spiralą. Przebywając na swojej planecie, często spoglądał na tę nikłą konstelację, wpatrując się w jasną gwiazdę widoczną na jej tle.

Tej gwiazdy teraz nie było.

Znikła? Nie. Stała się słońcem. Gorzała na aksamitnej czerni oślepiającą, okrutną bielą, wyrzucając w przestwór ogniste języki; niepodobna do pomarańczowozłotego słońca, które świeciło jego dzieciństwu i pierwszym latom młodości.

Nie słońce jednak przykuło uwagę kosmonauty, tylko jedna z planet. Wisiała przed nim jasna, promieniująca błękitną poświatę, za którą niewyraźnie rysowały się lądy i oceany.

**BŁĘKITNA PLANETA.**

Planeta, do której zmierzał jego pojazd.

Jej satelita wyglądał jak biały balonik upstrzony sinymi plamami. Ostre cienie padały od szczytów górskich na jego powierzchnię. Ogromne kraterzy przypominały zastygłe bąble wrzącej masy. Ani śladu życia. Mały glob krążył niczym nie chroniony, odsłonięty i bezbronny wobec śmiertelnych pocisków wszechświata.

Kosmonauta niechętnie odwrócił wzrok od nieba.

Zielone światła mżyły przed nim na tablicy nad sterami, przyjaźnie, uspokajająco. Nic nie zawiodło. Nie pochwyli ich B ł ę k i t n a, nie zmusi do krążenia dokoła siebie. Nie przyciągnie bezwładnego pojazdu, rozżarzając go jak meteor na swoim niebie. Wylądują na miejscu przeznaczenia.

Ujął stery. Teraz sam miał prowadzić międzygwiazdny statek, poprzez warstwę powietrza i jarzące się pyły zodiakalnego światła, obok nocnych świecących chmur - ku lądowi, którego niepodobna było dostrzec za chmurami przepływającymi nad powierzchnią planety.

W mrocznej głębi zarysowała się pomarańczowa smuga, wykreślając horyzont - i słońce wystrzeliło jasnością.

Jak okiem sięgnąć pod statkiem przewalały się zielone fale oceanu, w których odbiło się słońce niby oślepiająca gwiazda. Ani śladu lądu, do którego zdążył z tak daleka.

Przycisnął hełm, dotknął ustami nadajnika. Z oddali przypląnął, otoczył go zgiełk i szum Błękitnej Planety. Sygnały i słowa krzyżowały się dokoła. Brzmiały życzliwie, przyjaźnie, ale żaden z dźwięków nie był dla niego przeznaczony. Głosy omijały go jak

niepotrzebną przeszkodę, pędziły dalej. Zawołał raz i drugi. Nikt go nie dosłyszał. Nikt nie zrozumiał jego wołania.

## MISS QUIZ

Oslawica zataczała szerokie pętle, to ginąc wśród zieleni, to błyskając śnieżnymi grzebieniami piany na skalistych progach. Za Sulią, na szczycie której odpoczywały białe obłoki, umknęła w dolinę, pomiędzy wzgórze, a jej miejsce przy torze kolejowym zajęła Oslawa, zwijająca się wężowymi skrętami.

Rozśpiewany pociąg, w którego oknach błyskały żółte harcerskie chusty, nieomal ocierał się o pokryte trawą zbocza, z których sterczały skaliste żeberka i głazy. Góry zagradzały drogę, aby nagle rozstąpić się, ukazując wesołą zieleń łąk i lśniąca w słońcu rzekę.

- Nowy Łupków, wysiadaaać!

Między torami zazieleniły się harcerskie mundury. Chłopcy ciągnęli bagaże w stronę małego jak zabawka parowozu leśnej kolejki, do którego były doczepione długie lory i wagonik o staromodnym kształcie, przypominającym dyliżans. Ciemnowłosego chłopaka uwieszony na wysokim stopniu wagonu chwilę mocował się z niesfornymi drzwiami, zanim ustąpiły i mógł wejść do pachnącego tartakiem wnętrza. Z ulgą zrzucił plecak na żółtą ławkę.

- Ej, Marcin - zawołał, wychylając się przez okienko, a właściwie przez jeden z otworów okiennych, w których brakowało szyb - Marcin, chodź prędzej! Mamy tu wspaniałą łożę z przewiewem i widokami na przyszłość!

Z peronu wyciągnęły się do niego opalone ręce, unosząc wypchany plecak. Pochwycił go i wciągnął do wagonu, a w okienku ukazała się najpierw jasna, zawadiacko na jeża stercząca czupryna, a potem roześmiane oczy.

- No, pokaż te w i d o k i, niech je obejrzę - powiedział Marcin, wskakując do środka. - Owszem, owszem... Nawet Przełęcz Łupkowską można byłoby zobaczyć, gdyby jej góry nie zasłaniały... A co drzewa nawieźli z dzikiej puszczy! Pilnuj mojego miejsca, a ja dotknę pniaka, żeby sprawdzić, czym się różni od zwykłych.

Marcin zawsze musiał wszystkiego dotknąć i wszystko sprawdzić osobiście. Miał przy tym talent stwarzania niebezpiecznych sytuacji. Nawet zwykłe przejście na drugą stronę jezdnii stawało się groźną przeprawą, jako że lubił czytać na ulicy i chodził z głową zwieszoną nad otwartą książką.

Antek opiekował się nim, chociaż żaden do tego by się nic przyznał. I teraz wyskoczył w ślad za przyjacielem, aby się przekonać, czy nic strzeliła mu przypadkiem do głowy jakaś szalona myśl.

Marcin przybrał postawę człowieka przemawiającego do tłumów w dniu uroczystym:

- Oto drzewo z odwiecznej dzikiej puszczy!... - zaczął wskazując ręką odarte z kory pnie.

- Z odwiecznej d z i k i e j puszczy?

Obok sterty drzewa stała młoda dziewczyna, której w pierwszej chwili nie dostrzegli. Lekko wzniesione ciemne łuki brwi nadawały jej twarzy wyraz zdziwienia. Włosy opadały na ramiona, połyskując na zgięciach bladym złotem.

- Bieszczady nie są odwieczną dziką puszcza - powiedziała, spoglądając przyjaźnie na chłopców. - Na szlaku baligrodzkim można znaleźć rzymskie monety, to znaczy, że tędy od dawna już przechodziły kupieckie karawany. Puszcza rośnie na ruinach dawnych osad. Bieszczady miały pecha: każda wojna, każde zamieszki niszczyły je całkowicie. Słyszeliście

przecież chociażby o napadach Tatarów i Turków.

Chłopcy stali z pochylonymi głowami, wpatrując się uporczywie we własne buty. Czyż naprawdę nie interesowały ich dzieje Bieszczad? W Sobieniu u możnej rodziny Kmitów bywał król Władysław Jagiełło. W Lesku, w późniejszych czasach, Kmitowie przyjmowali gościnnie ówczesnych literatów. To przecież można wojewoda Piotr Kmita wysłał do Włoch na naukę młodzieńczego poety, syna chłopca spod Żnina - Klemensa Janickiego. I w Rzymie Janicki zdobył złoty poetycki laur.

Chłopcy milczeli.

Więc może poruszy ich wiadomość, że szlakiem, na którym właśnie się znajdują, przejeżdżał książę Józef Poniatowski, w drodze do kresowej stancy, gdzie czekał na swego wychowanka stary rycerz Mohort?

Mruknęli coś niewyraźnie i wycofali się do wagonu.

- Popsuła nam zabawę - powiedział Marcin. - Kto to jest? Mogłaby zająć pierwsze miejsce w telewizyjnym quizie historycznym!

- Prawdziwa Miss Quiz! - dodał Antek. - Tylko co ona robi w Bieszczadach?

Tymczasem do wagonika drzwiami i oknami wskakiwali harcerze, wypełniając szczerze wnętrza. Targowali się o miejsca przy oknach, upychali plecaki między ławkami.

- Hej, druhowie! - zawołał z peronu tak gromki bas, że zapanował nad gwarem. - Jak tam, wszyscy siedzicie?

- Wszyscy, druhu oboźny! - odrzyknęli.

- A Dziadek?

Malec, wyglądający raczej na dużą lalkę w harcerskim mundurze niż na „dziadka”, skoczył na ławkę i wsuwając głowę między harcerzy krzyknął cienko:

- Ja mam tylko wiszące miejsce, bo Dondek zajął dwa. Na jednym się nic mieści!

Zaczerwieniony z gniewu grubas Dondek zmierzył malca wzrokiem tak ostrym, że mógł go nim przeszyć na wylot. Widząc, że nie wywarło to na Dziadku żadnego wrażenia, Dondek wycedził, wydymając czerwone wargi:

- Głupi jesteś, smarkaczu!

- Cicho tam, bez kłótni! - zahuczał druha oboźny, mrużąc oczy, jakby chciał ukryć wesoły uśmiech, nie licujący z jego marsową miną. - Cicho! Ani mru-mru. Uwaga, słuchajcie! W wagonie muszą się znaleźć jeszcze dwa miejsca. Jedno dla naszej pani doktor...

Tęga kobieta, z torbą sanitarną zawieszoną na ramieniu, zbliżyła się bez pośpiechu. Jej potężna postać zasłaniała idącą za nią szczupłą dziewczynę w szarym kostiumie.

- Drugie miejsce zajmie druha Agnieszka, kierowniczką stacji „Meteo”.

- Jak to? - wołali chłopcy, tłocząc się do okien. - A druha Tadeusz?

- Druha Tadeusz zachorował i nie przyjedzie.

- To przecież Miss Quiz - powiedział Antek wychylając się. - Co za pech!

Oboźny wprowadził do wagonu obie kobiety. Za wysokim oparciem pierwszej ławki jaśniały teraz jedwabiste włosy druhy Agnieszki obok krótkiej, ciemnej czupryny pani doktor.

- Klops będzie, a nie stacja „Meteo”! - narzekał Antek. - Nie mogli już znaleźć lepszego zastępcy Tadeusza niż takie ciepłe kluski!

- Do kluski bardziej podobna pani doktor - zauważył Marcin półgłosem. I obaj parsknęli śmiechem, bo okrągłutka lekarka istotnie przypominała przyrumienioną na maśle kluseczkę.

Na blade policzki Agnieszki wystąpił rumieniec. Dziewczyna pochyliła się naprzód i nie dotarł już do niej szept Marcina.

- Css, Antek, ona posłyszała i jest jej przykro.

- Zdaje ci się - odpowiedział przyjaciel.

Agnieszka nie odrywała wzroku od okna, za którym, na tle porośniętych lasem wzgórz i łąk, wyginały się lory, pełne pak i zielonych plecaków. Na ostrzejszych zakrętach widziała

małą lokomotywę, a nad nią smugę białego dymu.

- Halo, druhowie - donośny głosik Dziadka górował nad gwarem - gdzieś tu ma być początek Osławy. Tata mówił.

- Dziadek senior nie mówił ci, że początek rzeki nazywa się „źródło”? - prychnął wzgardliwie Dondek.

- Jak jesteś taki mądry, to pokaż, gdzie ono jest? - odpowiedział nie zmieszany malec. - Nie wiesz, aha! Nikt nie wie?

- Osława wypływa z masywu Matragony. Pokażę ci tę górę - odezwała się Agnieszka po chwili wahania.

- Niech druhna nam wszystko pokazuje - zawołał stając na ławce - a JA będę sprawozdawcą radiowym!

- Nie ty, tylko druhna - krzyknął ktoś z głębi wagonika.

- Ale JA będę głośno powtarzał, żeby wszyscy dobrze słyszeli!

- No to będziesz megafonem, a nie sprawozdawcą!

Agnieszka roześmiała się razem ze wszystkimi. Na taki właśnie beztroski nastrój czekała dotychczas na próżno i na takie przyjazne przekomarzenia się. Na szczęście kpiarze, z którymi zaczęła niefortunną rozmowę na stacji w Łupkowie, stanowili wyjątek w tej drużynie. Może zresztą już ich nie spotka, bo przecież ona będzie na stacji meteorologicznej, a oni na obozie.

„Muszę sobie dobrać sympatyczny zespół - pomyślała patrząc na roześmiane twarze chłopców. - I to nie będzie chyba trudne!”

Okrzykli szerokim łukiem rozłożystą Matragonę, dotykającą granicy tak blisko, że poza drzewami dostrzegli wieżę strażniczą. Pociąg węzowymi skrętami zaczął się przemykać między Matragoną a Hyrlatą. Na kopulastych szczytach, wśród kudłatej zieleni, błyskały w słońcu jasne plamy polanek.

Przeskoczyli kamienny mostek nad spienioną, mknącą po głazach, wodą Solinki i Dziadek junior mógł ogłosić, że wjeżdżają do doliny Żubraczego.

W Majdanie czekały na harcerzy dwie ciężarówky. Dokoła jednej zgromadzili się chłopcy, Agnieszka przystanęła obok mniejszej i zupełnie pustej. Komenda, zajęta sprawami obozu, zapomniała widocznie o stacji meteorologicznej. Którego z druhów wywołać, ażeby się naradzić w sprawie wyboru zespołu? Bo przecież za chwilę obie grupy rozdzielią się, niezależnie od siebie.

- Halo! - postyszała. - Druhno Agnieszko, przepraszam, że nie znalazłem dotychczas dla druhny ani chwili czasu!

Szybkim, energicznym krokiem zbliżał się do niej drużynowy. Wszystko w nim było niepomiarne długie: nogi i ręce, i nawet nos na pociągłej twarzy. Spojrzała na niego z sympatią: nareszcie ktoś przypomniał sobie o stacji „Meteo”. Zanim jednak zdążyła o cokolwiek spytać, drużynowy oznajmił jej z zaferowaną miną:

- Pozwolicie, że załadujemy do waszego samochodu część obozowych rzeczy i że najpierw pojedziemy wszyscy do nas. Pomożecie nam stawiać namioty, a później my z druhem obożnym zajmiemy się uruchomieniem krótkofalówki i telefonu. Zgoda?! - zakończył, nie czekając na jej odpowiedź. - No to świetnie.

- Chciałabym dobrać sobie zespół... - zaczęła.

- Tadeusz wyznaczył najlepszych naszych krótkofalowców - przerwał drużynowy. - Na pewno druhna będzie z nich zadowolona.

- Druhu... - zawołała, ale drużynowy nie usłyszał jej protestu.

- Antek, Marcin! - krzyknął - Hej, załoga „Meteo”, proszę się zgłosić do kierowniczkii stacji!

Na to gromkie wołanie jak spod ziemi wyrosli dwaj chłopcy. Chwilę spoglądała na nich, nie wierząc własnym oczom. Załoga stacji „Meteo”. To przecież byli dwaj kpiarze,

którym w dobrej wierze chciała opowiadać o Bieszczadach. Właśnie oni.

- Druhu! - powtórzyła, chcąc zatrzymać drużynowego.

Ale on skinął jej przyjaźnie ręką i odszedł szybko w stronę nawołujących go harcerzy.

Z zalem pomyślała, że zdecydowano o wszystkim za nią i bez niej - i milcząc zajęła miejsce obok kierowcy samochodu.

Auto mknęło szosą pod wysoką ścianą lasu, wzdłuż stromego brzegu Solinki. Obaj chłopcy drzemali, zmęczeni upałem. Nagle Antek poczuł, że się zsuwa gdzieś między twarde paki.

- Ojej - zawołał otwierając oczy - Marcin! Gdzieś ty się podział?!

- Jestem tu - posłyszał zduszony głos przyjaciela. Góra plecaków drgnęła i na jej szczycie ukazała się jasna głowa Marcina. - Co się stało? Czemu auto zahamowało tak gwałtownie?

Kierowca pokazał mu drugi brzeg Solinki, gdzie kudłaty psiak, uwiązany drutem do jodły, szarpał się rozpaczliwie, wskakiwał na pień drzewa, kręcił łbem. To wszystko pogarszało tylko jego sytuację, ponieważ drut ścisnął coraz mocniej kudłatą szyję.

Szary koc, rozpięty pomiędzy drzewami, wskazywał na to, że właściciel psa obozuje w tym miejscu.

- Śpi czy gdzieś poszedł? - zastanawiali się chłopcy. - W każdym razie trzeba psiaka odplątać, bo się udusi.

I wtedy właśnie zobaczyli Agnieszkę. Dziewczyna zbiegała już z mostka na drugi brzeg rzeki. Kiedy dotarła do psiaka, nad szarym kocem pojawiła się czyjaś zarośnięta twarz, ukryta w cieniu szerokoskrzydłego kapelusza. Wyglądało to jak scenka z teatru lalkowego, wystawiającego sztukę o Ali Babie i czterdziestu rozbójnikach.

- Czego szukasz, lalczko? - spytał z lekceważeniem właściciel kapelusza. - Spływaj stąd zaraz, bo pies zły, ugryzie.

Agnieszka nawet nie spojrzała na niego, ukłękła i zaczęła rozplątywać drut. Pies poddawał się chętnie tym zabiegom, usiłując liznąć ją w policzek.

- No, ciziu - w głosie młodzieńca zabrzmiała irytacja - odczep się od mojej sobaki!

- Wypraszam sobie głupie nazwy - odezwała się, wstając z ziemi. - A psa nie wolno przywiązywać drutem!

- Co ciebie obchodzi mój pies?!

- Dowie się pan, kiedy zapłaci karę za maltretowanie zwierząt.

- Jesteś bezczelna babka - ryknął. - I nie waż się zabierać psa!

- Nie zabieram - odpowiedziała spokojnie. - Proszę go zawołać. Pies zawsze słucha głosu swego p r a w d z i w e g o pana.

I nie zwracając uwagi na gniewne okrzyki, poszła w stronę auta, a za nią psiak, merdając przymilnie puszystym ogonkiem.

Młodzieniec wyprostował się, ukazując oczom nadbiegających chłopców wąskie farmerki i koszulę w liliowe pagody. Przy tym ruchu koc opadł i dostrzegli ukryty pod krzakiem jasnozielony skuter.

Młodzieniec zarzucił na niego koc i wrzasnął:

- Jazda stąd, bo się nie pozbieracie!

- Nie tak ostro - odkrzyknął kierowca z mostu i wymownym ruchem zawinął rękawy - nie tak ostro, panie ładny!

- Jeszcze zobaczycie, kim jestem - odgrażał się chuligan, nie próbując jednak gonić dziewczyny - jeszcze wam pokażę, co potrafię!

- Dziękujemy, już widzimy! - zawołał Antek. - Oprawca psów! S k u t e r n o g a!

Rozochoceni chłopcy dopadli samochodu.

- Druhno! - wołali jeden przez drugiego. - Ale on jest przegrany, ten Skuternoga! Druhna mu fajnie powiedziała. Tylko co zrobimy z psem?

- Damy ogłoszenie, może znajdzie się właściciel - odpowiedziała i zaraz się zwróciła do kierowcy: - Jedźmy już dalej, proszę pana.

Samochód pomknął gładką, jasną szosą. Słońce wisiało nisko, kryło się za drzewami, które rzucały długi, chłodny cień.

## STACJA „POD PLANETĄ”

Z lasu, ścieżką wydeptaną w poprzek polanki, ktoś zbliżał się w stronę ustawionych półkolistych namiotów.

Marcin, który siedząc przy stoliku, w cieniu rozłożystego buka, czytał list, odłożył go natychmiast.

Przybysz nie wyglądał na turystę. Ubranie wisiało na nim jak wygnieciony worek, na głowie miał sfatygowaną czapkę, w ręku małą walizkę.

Na spotkanie gościa wybiegł z głośnym szczekaniem kudłaty psiak.

- Niech się pan nie boi - i z namiotu wysunął się gruby Dondek z pajdą chleba w ręku - pies nie ugryzie.

- Ale ty dobrze wyglądasz! - wykrzyknął wędrowiec z podziwem, stawiając walizkę na ziemi.

- E tam - mruknął grubas z niezadowoleniem - jem tylko raz dziennie.

- Prawdę mówi - wyjrzał z namiotu Antek. - On je tylko raz dziennie, proszę pana; jak zacznie rano, nie kończy aż wieczorem. Nawet nasza Gapa nic może go prześcignąć.

- Jaka Gapa?

- Pies przybłęda.

- Przybłęda?

- Właściwie to nie. Odebraliśmy Gapę chuliganowi.

- Sam jesteś gapa - przerwał mu Dondek - idź już, załatwię wszystko i bez ciebie.

Dondek nie interesował się zupełnie krótkofalarstwem, natomiast chętnie wyręczał wszystkich w czynnościach gospodarskich. On kupował potrzebne prowianty, on też obsługiwał turystów, pojadając przy okazji każdego posiłku. Można było mieć pewność, że zajmie się gorliwie także i nowym gościem.

Marcin wyciągnął z kieszeni długopis. Należało skorzystać z okazji i odpowiedzieć na list rodziców, zanim na stacji zjawi się więcej osób.

*Kochani Rodzice i droga Babciu!*

*Bardzo mi przykro, że Babcia pobrudziła się klejem. Upapraliśmy nim kij od szczotki, bośmy budowali raketę, a potem w pośpiechu na śmierć zapomniałem o tym kleju. Przepraszam. Za sernik bardzo dziękujemy. Antkowi zaraz przekażę pozdrowienia, ale druha Tadka nie ma, zamiast niego prowadzi stację druha Agnieszka, czyli „Miss Quiz”. To jest chodząca encyklopedia! Już w drodze zaczęła wykład o tym, kto od zarania dziejów był w Bieszczadach, i popsuta nam zabawę w „dziką puszcze. Ale potrafi zachować się w deseczkę. Wyskoczyła w biegu z auta, żeby ratować psiaka, uwiązanego drutem do drzewa. Nazywamy go Gapą, bo szczeka tak śmiesznie: gap, gap, gap.*

*Wywiesiliśmy w Ciśnie, Wetlinie i Dołżycach ogłoszenia o tym psiaku, ale jakoś nikt się po niego nie zgłasza.*

*Krótkofalówka działa świetnie. Możemy właściwie porozumiewać się z całym światem, bo ma moc 50 kilowatów. Nasza stacja nie nazywa się już „Meteo”, bo druha Agnieszka*

uważa, że to nie nazwa, tylko NIEWIADOMOCO. Wymyśliła inną, nawet nie najgorszą, stacja „Pod Planetą”. Po grecku planeta to znaczy wędrująca, a my przecież jesteśmy stacją dla turystów - wędrowników.

Żeby było weselej, powiesiliśmy przed tablicą kamień na sznurku i to jest nasz „aparat” badający pogodę. Przepowiednie Wicherka w telewizji nie są tak pewne, jak nasz kamień. Jeśli się kołysz - wiatr wieje na pewno, jeśli jest mokry - pada deszcz, jeśli stwierdzimy, że jest gorący, można ze spokojem informować o upale.

Mamy telefon, więc przy sprzyjających okolicznościach zadzwonię do Was do Warszawy. Najmniej korzystamy z aparatu radiowego; słuchamy przeważnie tylko komunikatów. Druhna Agnieszka woli śpiew ptaków niż piosenki, zwłaszcza że Gapa przy co żałośliwszych wyciem wzmacnia refreny.

Myślę, że byłoby nam dobrze z druhną Agnieszką, gdyby nie pierwsze nieudane spotkanie. Coś się wtedy popsło „na linii” i wcale nie tak łatwo usunąć skutki tej awarii.

I jeszcze jedno nam przeszkadza. Druhna uważa, że za dużo gadamy, i szpikuje nas Plutarchem, takim mędrce, który pisał też i o gadułach. Okropności

Prócz mnie i Antka na stacji wylądował jeszcze Dondek. Pierwszego dnia, kiedy byliśmy w obozie, Dondek ciągnął linki razem z Gapą. Ona warczała, a on sapał i przeszkadzali zupełnie tak samo. Wiesiek powiedział do niego:

„Ej, ty, Homo sapiens, odpuść stąd, bo z namiotu znów zrobi się naleśnik”.

A Dondek zaczął krzyczeć, że go przezywają.

Wiesiek na to:

„Skoro nie poczuwasz się, chłopie, do pokrewieństwa z tym gatunkiem, bardzo cię przepraszam i odwołuję...”

Wtedy druha Agnieszka odprowadziła Donka na bok i wytłumaczyła mu, że Homo sapiens to po prostu - człowiek. Uspokoił się i nawet chustę poprawił, bo zawsze mu sterczy koło ucha. Druh drużynowy zauważył to wszystko i oddał Donka pod opiekę drużynie Agnieszce. Nie wyglądała na zachwyconą, zwłaszcza że druha drużynowy zapomniał zapytać, co ona myśli o tym prezencie.

A był to prezent! Już pierwszej nocy Dondek wszystkich obudził, bo mu się wydawało, że ktoś „świeci oczyma”. A to błyszcząca menażka, zawieszona na kołku przed namiotem drużyny Agnieszki, ten Dondek wszystkiego się boi.

Przez niego przegraliśmy grę polową, kiedy szukaliśmy końcówki linii telefonicznej na leśnej przecince. Dondek nie chciał pełznąć i szedł pochylony, tak że mu całe plecy było widać. Antek ściągnął go za nogę na ziemię, a Dondek zaczął ryczeć, że w trawie ugryzie go żmija.

Co parę dni chodzimy do obozu. W bramie stoi jelen z pniaka z rosochatymi rogami. Ogonek przybił mu gwoździem Dziadek junior. I teraz, jeśli „wszystko gra” i komenda jest zadowolona, ogon jelenia sterczy wesolutko do góry, a kiedy coś się nie udaje, na przykład kasza się przypali, wartownik opuszcza mu ogon, żeby wszyscy się mieli na baczności.

Pani doktor dopytuje się tak samo jak wy, czy dobrze się czujemy. Z powodu braku chorych - okropnie się nudzi.

Turystów na razie nie ma wielu; poniekąd są tak ubrani, jakby się im pomyliły zakopiańskie Krupówki z Bieszczadami.

Już nie wierzę, żeby nas spotkała jakaś przygoda. Nawet głupi niedźwiedź nie zechce się do nas pofatygować ani żmija nie pokaże końca ogona. Oho, Dondek ryczy jak zarzynany, muszę kończyć list, żeby zobaczyć, co się stało. Ale na pewno nic wielkiego!

Całuję Was

Marcin



Łagodnie kołysały się puszyste trawy przetykane bielą margerytek i delikatnym fioletem dzwonek.

Cisza tętniła tysiącem owadzych głosów, buńczucznych i żałośliwie zająkliwych. Zagłuszało je czasem wibrujące buczenie trzmieła.

Ciepły powiew dotknął policzków Agnieszki, ogarnął dziewczynę miodowym zapachem.

Wracając na stację lubiła posiedzieć na łące w ciszy i spokoju.

To miejsce przypominało jej dzieciństwo. Zanim przeniosły się z ciotką do Warszawy, mieszkały w Piwnicznej, w małym domku. Nie udało się jej nigdy policzyć kamiennych schodków, po których do niego trzeba się było wspinać. Za sztachetkami ogrodzenia kołysały się trawy. Nie wiadomo dlaczego, wyobrażała sobie, że z tego rozdzwonionego, zaczarowanego królestwa wróci do niej matka, którą pamiętała jak przez sen.

Kiedyś zwierzyła się ciotce ze swoich myśli i nie mogła zrozumieć, czemu ta wybuchnęła płaczem, czemu tuliła ją do siebie. Wieczorem, kiedy dziewczynka leżała w łóżku z zamkniętymi oczyma, dosłyszała szept ciotki:

- Boję się o Aję. Ona żyje w świecie, który sama sobie tworzy.

- Małe. Głupie - odparła sąsiadka. - Wyrósnie z tego.

- Oby - powiedziała ciotka i troskliwie otuliła dziewczynkę. - Aja, moja sieroteczka!

Aja. Dawno nikt jej tak nie nazywał. Tylko pani Anna, przyjaciółka ciotki, przypominała sobie czasem domowe spieszczenie imienia Agnieszka.

Dziewczyna uniosła się niechętnie z pnia, na którym siedziała - trzeba było wracać. W lesie światło słoneczne przesączało się przez liście jak przez zielony witraż. Szła wolniutko. Nic jej nie ciągnęło na stację, której była kierowniczką. Wprawdzie załoga pracowała zgodnie, trudno było jednak zapomnieć o drwiących uśmiezkach chłopców, o nieuzasadnionej niechęci okazanej jej w dniu spotkania.

Ale cóż to?! Ktoś krzyczał. Przyspieszyła kroku. Prawie biegła. W zmieszonym chórze odróżniała już piskliwy falsecik Dondka i zaperzony głos Antka. Coś się stało na stacji!

Kiedy wpadła na polankę, chłopcy stali przy jednym z gościnnych namiotów. Zdyszana podbiegła do nich. Na ławeczce siedział jakiś człowiek, w zniszczonej czapce na zmierzwiionych włosach. Z jego ręki beładnie zwisało lśniące ciało gada z zygzakowatą pręgą na grzbiecie.

- Druhno! - krzyknął Dondek. - Ten pan ma pełną walizkę zaskrońców i jakiegoś „eskulapa”, polskiego krewnego węża dusiciela. Ten pan jest Królem Węży.

- Jakim znów królem - przerwał mu Antek. - To nic król, tylko morderca węży.

- Wężę są pod ochroną! - powiedziała Agnieszka, siląc się na spokój. - A to jest stacja turystyczna, nie rakarnia dla gadów. Nie może pan tu zostać.

Opuścił bezradnie ręce. Ciężkie powieki opadły, wyraźnie wystąpiły liliowe, wydęte worki pod oczyma. Wyglądał żałośnie, ale i straszliwie zarazem.

- Co ja zrobię? - spytał. - Gdzie znajdę nocleg?

- Niech pan zostanie na noc - powiedziała szybko - ale rano proszę opuścić stację. I nie radzę panu łowić gadów, bo to jest zabronione.

- Dobrze, dobrze - pokiwał głową i z miną zafrasowaną spojrzął na trzymaną w ręku żmiję. - Gryzie taka gadzina człowieka i nic jej za to, ale człowiek nie może jej zabić, bo ona jest pod ochroną!

Tego wieczora Dondek zachowywał się zupełnie jak w tropikalnym kraju. Dopominał się o rozwieszenie „moskitiery” nad pryczą, co zdaniem Antka nie byłoby najgłupszym posunięciem ze względu na komary. W nocy zawinał się w dwa dodatkowe koce i kilka razy sprawdzał, czy nic nie zwisa z pryczy.

Rano wytrząsał ubranie, trzymając je w wyciągniętej sztywno ręce, jak najdalej od

siebie. Wrzasnął przeraźliwie, kiedy stąpnął na kawałek patyka, bo mu się wydało, że na korze są zygzaki.

- Żmija jest w kształcie kija! - zadeklamował Antek, ale drgnął, zawadziwszy nogą o coś miękkiego i chłodnego, co było kawałkiem gumowej rurki.

Wszystkich ogarnęło wężowe szaleństwo. Gapa dostawała nerwowego szczekania na widok walizki Króla Węży i sierść jej się marszczyła na grzbiecie podobnie jak przy słuchaniu żałośliwych refrenów piosenek.

Król Węży pakował się bez pośpiechu. Kilkakrotnie wychodził z namiotu i spoglądał dokoła, jakby czegoś szukając. Wreszcie zamknął walizkę.

- Ani chybi uciekł mu jakiś egzemplarz z kolekcji - powiedział Antek, patrząc nieufnie w ślad za krępą postacią w zniszczonym ubraniu, wlokącą się w stronę drogi.

Ledwie chłopcy uzbrojeni w patyki zdążyli przetrząsnąć opuszczony namiot, stwierdzając, że w żadnym kącie nic nie syczy, kiedy z brząkaniem i śpiewem zjawiała się nowa grupa wędrowców.

- Słyszeliśmy, że tu jest stacja dla turystów. I podejść można, i pospać - powiedział najwyższy z młodzieńców, ubrany w ogromne sombrero o szerokim rondzie.

Agnieszka z niedowierzaniem powiodła oczyma po grupie dziwnych turystów. Dziewczęta w trumniakach, czyli w pantofelkach prawie że gimnastycznych. Jedna w szpileczkach, a właściwie w tym, co z tych szpileczek pozostało. Nie mieli żadnego ekwipunku prócz gitary i harmonii.

- Cicho, Gapa! - próbowała uspokoić psa, który szczerząc kły rzucał się na mówiącego. - Co jej się dziś stało? Marcin, zabierz Gapę! A kto państwa poinformował o naszej stacji? - spytała, kiedy szczekanie Gapy, unoszonej przez chłopca, oddaliło się nieco i przycichło.

- Taki jeden gość z walizką - odpowiedział właściciel sombrera. - Powiada: „Wyrzucili mnie ze stacji. Młodziaki ją prowadzą, nie znający się na wyprawianiu skórek. I psiak u nich jakiś przygłupi, szczeka nie wiadomo czego. Podobno n i e i c h własny, tylko zabrany komuś. Ale jeść dają, owszem. Więc przyszlizmy, o gościnę prosimy”.

Agnieszka była pewna, że widziała już kiedyś bure oczy, spoglądające na nią spod sombrera nieżyczliwie, a nawet gniewnie, ale nie było czasu na zastanawianie się, gdzie to i kiedy mogło się zdarzyć. Goście hałaśliwie zajmowali miejsca, dopominając się o kiełbasę, ser, o więcej masła. Jedna z pańienek narzekała, że nie można zamówić gorących dań. Dondek kręcił się jak mucha w ukropie, pomagali mu Marcin i Antek, biegając wciąż od spiżarni do plandeki, na której rozsiedli się turyści. Gapa warczała w zasznurowanym namiocie, a grudki ziemi wyrzucane spod płótna wskazywały, że usiłuje wydostać się za pomocą podkopu. Goście zajadali ze smakiem kiełbasę, prosząc wciąż o dokładkę, potem spałaszowali ogromną ilość herbatników i dżemu. Odchodząc oznajmili bezczelnie, że „drobnych zapomnieli, a grube przechowują w banku” i że prześlą należność „ekspresowym przekazem”. Odeszli w rozsypkę, przeskakując przez sznury namiotów, a Gapa, która wreszcie precyzyjnie się przez wydrapaną pazurami jamę, goniła ich rozwścieczona, z umorusanym pyskiem.

- Do widzenia, lalczko - dobiegło z daleka - to rewanż za twoją napaść! Jeszcze się spotkamy! Jeszcze ci odbiorę psiaka!

Dondek stwierdził ze smutkiem, że zapasy żywności, przygotowane na dwa dni, „upłynęły się” i że trzeba je uzupełnić. Tym razem nie miał jednak ochoty opuszczać stacji, widocznie obawiał się, że chuligani zaczęli się gdzieś niedaleko.

- Antek, idź ty - powiedziała Agnieszka - a ja pójdę na posterunek milicji i opowiem Jabłońskiemu o tych gagatkach. Wolę to zrobić jeszcze dziś, i to osobiście, a nie przez telefon. Marcin i Dondek będą pilnować stacji. Ale, ale... kto opowiedział temu panu z walizką o Gapie?

Antek zaczerwienił się.

- Ja, a bo co?

- Nic. Tylko zostaniesz na stacji, a do sklepu pójdzie Marcin. Naprawdę wstyd, żeby tak duży chłopak nie potrafił utrzymać języka za zębami! Sprowadziłeś nam na stację tego łobuza, który dręczył psa.

Antek zawrócił na miejscu i znikł w namiocie. Do licha! Czy mógł przypuszczać, że z tego wyniknie taka awantura!

- Szkoda, że nie wyjechała ze swoim Plutarchem - mrucał, ale czuł się nieswojo.

- Gapa, chodź ze mną - zapraszał psiaka Marcin.

Gapa drzemała w cieniu namiotu, udając, że nie słyszy. Niezadowolony z samotnej wyprawy, obejrzał się raz i drugi, w nadziei, że może jednak coś się zmieni. Na polance było pusto. Tylko na antenie siedziała sikorka, kiwając ogonkiem, co wyglądało, jakby nadawała depeszę.

W wiejskim sklepiku drzemał sprzedawca, zmożony upałem. Robotnicy sami brali sobie piwo i wodę sodową, rzucając z brzękiem pieniądze na ładę.

- Proszę pana, proszę pana - pociągnął go Marcin za rękaw kraciatej koszuli. - Niechże się pan obudzi. Chcę kupić masło, kiełbasę i herbatniki.

- Nie ma - burknął sprzedawca, nie podnosząc głowy.

- Jak to: nie ma? - zdumiał się chłopiec. - Przecież na półce leży całe mnóstwo herbatników!

- To nie herbatniki - oznajmił sprzedawca, otwierając jedno oko - t o s ą b u r e p e t i - t y - i leniwym ruchem sięgnął paczkę.

- Bure petity?

Marcin z trudem powstrzymał wybuch śmiechu. Bure petity! Tak został odczytany napis: Petit Beurre.

W drodze powrotnej Marcin szedł wolno, zatrzymywany przez poziomki, czerwieniejące bezczelnie na każdej polance.

Kiedy nad drzewami błysnęła wreszcie czerwono-biała chorągiewka, krzyknął z całej siły:

- Halo! Chłopaki, słuchajcie! Przyniosłem bure petity!

Odpowiedziało mu tylko szczekanie. Przed dużym namiotem stał Dondek z ręką omotaną chustką. Ramię miał mocno ściągnięte rzemieniem. Gapa skakała dokoła niego, usiłując pochwycić zwisający koniec rzemienia.

- Co się stało?

- Żźmija - wyszeptał Dondek, patrząc okrągłymi oczyma.

- Żmija?

Z namiotu wysunęły się zwinięte nosze, a za nimi Antek.

- Dobrze, żeś przyszedł - powiedział zdyszonym głosem - już dzwoniłem do obozu, pani doktor w drodze, żeby było prędzej, pójdziemy naprzeciw. Kładź się, Dondek.

Ułożyli chorego troskliwie i szybko.

- Antek - spytał Marcin - jak to się stało?

- Wszystko przez niego - odezwał się Dondek, nieoczekiwanie mocnym głosem. - Pod pryczą siedziała żmija, a on powiedział, że to patyk i że kiedyś umrę ze strachu. No to ja... - głos mu się załamał, słysząc było tylko pociąganie nosem.

- Masz pomysły - wyrwało się Marcinowi. Antek nic nie odpowiedział, tylko przyspieszył kroku.

- Widziałeś tę żmiję?

- Tak. Ogon.

- Uciekła?

- Tak. Szkoda, że odszedł Król Węży, cóż to dla niego złapać jedną żmiję, i to z własnych zbiorów!

Gapa pędziła naprzód, szczekając przeraźliwie, jakby chciała przywołać pomoc dla

bolesciwego Dondka. Gdzieś w połowie drogi, przy wielkiej jarzębinie, dosłyszeli nawoływania. Dyszkancik pani doktor. Tenor druha drużynowego. Bas oboźnego. Za brunatnymi pniami, wśród zieleni, zamigotały kolorowe plamy. Czerwono-niebieska wyskoczyła pierwsza, zamieniając się w panią doktor. Twarz miała purpurową, zagryzała z wysiłku dolną wargę, a ręką niecierpliwie odpychała dyndającą torbę. Za nią zółciły się chusty na mundurach biegnących druhów.

Chłopcy postawili nosze i ostrożnie pod ramiona dźwignęli Dondka. Zwiślał bezwładnie, a nawet stawiał opór, zdradzając nie byle jaką siłę.

- Gdzie? - wydyszała pani doktor, klękając przy noszach. I szybko rozwinęła chustkę. - Gdzie? - powtórzyła.

Marcin zdziwił się. Już pierwsze „gdzie” nie miało sensu, skoro palec Dondka wyglądał jak kukła. A pytać „gdzie”, patrząc na miejsce ugryzione przez żmiję, to gruba przesada.

Pani doktor powtarzała jednak zniecierpliwiona:

- Gdzie ciebie ugryzła? Pokaż, Dondek! Prędszej!

Dondek zaczął od początku:

- Bo żmija siedziała pod pryczą i syczała, Antek powiedział, że nie ma żadnej żmii i że jestem tchórzem, więc chciałem ją wygnać na środek namiotu i wsadziłem patyk pod pryczę. Patyk pozostawił Król Węży. Taki jest rozwidlony na końcu.

Pani doktor potrząsnęła z irytacją chorą ręką Dondka. Widocznie nie mogła zrozumieć: kto, co, jak i dlaczego.

- No i poczułem nagle, że boli - dokończył z westchnieniem. - Ugryzła mnie!

- Gdzie? - z przyciskiem spytał druh drużynowy, pochylając się nad sterzcącym w górę palcem.

- Tu - pokazał chłopiec z odrobiną satysfakcji. - W tym miejscu.

Pani doktor obejrzała paluch ze wszystkich stron. Wymienili z drużynowym porozumiewawcze spojrzenia.

- Tu? - powiedziała. - Widzę tylko zadrapanie. P o w i e r z c h o w n e zadrapanie. I palec wcale nie jest spuchnięty, pomimo opaski.

Szybkim ruchem zerwała rzemyk zaciśnięty na ramieniu Dondka.

- Cóż to za kawały? - spytał druh drużynowy tak jakoś powoli i chłodno. - Dondek, złaż! Dość tych głupstw!

- Ale ja - gramolił się z noszy Dondek - ale ja jestem ugryziony...

- Cicho, braciszku, ani mru-mru - przygwoździł go bas oboźnego. - A wy, chłopcy, zabierajcie nosze i jazda z nami. Wstydzilibyście się!

Na czele pochodu szła szybkim krokiem pani doktor, ciągnąc za sobą Dondka, na końcu włókł się Marcin, rozmyślając, czemu właściwie ma się wstydzić.

Najdokładniejsze oględziny palca nie wykazały śladu ugryzienia, Dondek skaleczył się patykiem Króla Węży albo drzazgą z pryczy. Wojtek sanitariusz posadził go na pniaczku, okrytym higieniczną białą ceratką, i zajodynował mu z satysfakcją całą łapę.

Tego popołudnia chłopcy mówili cicho, jakby naprawdę ktoś zachorował w obozie. Ogon jelenia zwiślał smętnie, na znak, że komenda jest niezadowolona. Dondek co pewien czas spoglądał na zajodynowany palec. A nuż spuchnie?

Marcin z Antkiem czekali na najgorsze. Nie omylili się.

Druh oboźny kazał Antkowi i Dondkowi pozostać za karę w obozie.

## GŁOS Z DALEKA

Obu przyjaciół, ukrytych w zacisznym kącie za kuchnią, zmylił dym ścielący się nad łąką i nie zauważyli, kiedy zapadł wieczór. Basowe wołanie oboźnego: „Marcin, Marcin, gdzie Marcin?” - poderwało ich na nogi.

- To Miss Quiz - zawołał Antek - słowo daję, że to jej sprawka!

Zagadani, zapomnieli, że zaniepokojona ich nieobecnością Agnieszka może zatelefonować do komendy.

- Co to będzie? - spytał cicho Marcin. - Druh drużynowy zostawi mnie także w obozie. Na stację wyśle kogo innego.

Nieomal słyszał głos drużynowego: „Nie śpieszyłeś się, robaczku, z powrotem? Nie zależy ci na stacji. Dooobrze!”

- Powiedz, że mnie już nie ma - zdecydował i z błyskawiczną szybkością znikł między drzewami, pogrążając się w chłodny mrok, pachnący mchem, grzybami i nagrzaną w ciągu dnia korą sosen.

Gałęzie biły go po rękach, szarpały ubranie, ale pędził tak długo, aż ścichł za nim obozowy gwar: brzęk menażek, nawoływania chłopców i szczekanie Gapy, z którą się droczyli. Wreszcie zatrzymał się i zdyszany przytulił twarz do szorstkiej kory. Coś szeleściło dokoła niego, szumiało w ciemności. Solinka czy korony drzew?

Czy nie zboczył ze ścieżki, goniąc na złamanie karku? Spojrzał w górę. Wysoko nad nim, przecięte ciemnymi gałęziami, wisiało niebo, jeszcze jasne, wieczorne, z ledwie dostrzegalnymi punkcikami gwiazd. Wielki Wóz już pochylał swój dyszel ku ziemi. Nikt wprawdzie nie dojrzałby Alkora, drobnej gwiazdy przy dyszlu Wielkiego Wozu, zwanej przez lud „furmanem”, na której Arabowie sprawdzali niegdyś siłę wzroku, ale dwie skrajne duże gwiazdy były dobrze widoczne. Na ich przedłużeniu chłopiec łatwo odnalazł ziemski „biegun świata”, Gwiazdę Polarną, która od wieków wskazuje drogę żeglarzom i wędrowcom.

Świeciła po lewej stronie. A więc nie zbłądził.

Szedł dalej bez pośpiechu. Mokre od rosy trawy uderzały go po łydkach, kiedy tylko zbaczał ze ścieżki. Uznał to za objaw pomyślny. Nie grozi mu błędzenie po lesie, bo stanowi „układ zamknięty” z trawą, która przestrzega i zawraca go na właściwą drogę.

Zerknął na zegarek. Wolniutko posuwała się zielona wskazówka. Gdzieś daleko rozległo się szczekanie, dziwnie przypominające znajome: gap, gap, gap. Pożałował, że odchodząc nie zabrał ze sobą psiaka. Miło byłoby poczuć dotknięcie przyjaznego, zimnego nosa.

Spoza drzew błysnęło światło. Stacja.

Wszedł na polankę boczną, mniej wydeptaną ścieżką. Oswojone z ciemnością oczy odróżniały stożki namiotów, maszt sterzący ponad drzewami, a nawet zarysy tablicy. Agnieszka oczekiwała na niego w dużym namiocie, bo przed wejściem srebrzył się kwadrat światła niby mały staw. Chciał już zawołać: hop hop! - kiedy zauważył ze zdumieniem ruchomy skrawek mroku. Jeszcze chwila i poruszający się wolno cień wyodrębnił się, oddzielił od otaczającej go ciemności, stał się sylwetką jakby wyciętą z czarnego papieru.

Długie włosy spadające w nieładzie na czoło. Chuda, kanciasta postać. Może to jeden z „turystów”, tym razem po darmową kolację?

- Kto tam? - spytał chłopiec. - Kogo pan szuka?

Nim zdołał krzyknąć, już toczył się po trawie, a czyjeś ręce boleśnie zamykały mu usta.

- Cicho, szczeniaku!

Marcinowi brakło tchu, kościste palce zginały mu nos, wślaczały głowę w miękką ziemię. Naraz ucisk zelżał. Napastnik krzyczał, wymachując dziko rękoma. Coś białego mignęło Marcinowi przed oczyma.

- Ratunku - zawołał chłopiec – ratunku! - i zdziwił się, że jego głos brzmi tak cicho. Ostry blask latarki uderzył go w oczy.

- Co się tu dzieje? - spytała Agnieszka. - Marcin, gdzie jesteś? Wstań, wstań zaraz, chodź tu do mnie! Trzeba dzwonić na posterunek.

- Nie tak ostro, laleczko - przerwał jej napastnik, starając się oderwać białą kulę ucze- pioną jego nogi. - Cóż to zwiedzać nie można tego obiektu? Macie tajemnice państwowe? Psami szczujecie przechodniów? Uważajcie - syknął z bólu - bo jak trzepnę tym „buldogiem” o ziemię, to nie wstanie!

- Gapa, do nogi - przywołała psa Agnieszka - do nogi zaraz! A pan może powie wresz- cie, czego szuka tu po nocy?

- Swojej własności. Skradła mi pani szczeniaka.

- Przed chwilą krzyczał pan, żebym psa zabrała!

- Poszczuliście go na mnie! Zbałamucili! Złożę skargę!

- Proszę bardzo. Dawaliśmy ogłoszenie, że się do nas przybłąkał. Mógł pan zgłosić się po niego każdego dnia. Zresztą odwiedzał pan już stację, ale tylko po to, żeby zjeść darmowe śniadanie, w towarzystwie takich samych jak pan hultajów! Gapa, chodź tu!

Biały kłębuszek przestał wreszcie szarpać nogawkę spodni chuligana i odskoczył z histerycznym ujadaniem.

„Skąd się tu wzięła Gapa?” - rozmyślał oszołomiony Marcin, stojąc przed namiotem. Nie wiedział, czy ma natychmiast dzwonić na posterunek, czy też czekać, aż dziewczyna skończy rozmowę.

Uwolniony od Gapy młodzieniec otrzepał się, poprawił włosy.

- No dobrze - powiedział - drugi raz mnie zagięłaś, laleczko, udało ci się. Ale ja się odegram, masz to jak w Pekao.

- Nie gram z panem o nic i uprzedzam, że zawiadomię milicję.

Jak na zamówienie rozległ się dzwonek telefonu. Chuligan cofnął się. Pies nie spuszczał z niego oczu, dopóki sylwetka draba nie znikła, wtapiając się w ciemność. Wówczas Gapa wbiegła do namiotu, układając się w progu. Oczy jej błyszczały jak czarne koraliki, a gniewne warczenie bulgotało w gardle.

Dzwonek brzmiał ciągle. Marcin podniósł słuchawkę.

- To ja - powiedział Antek - tak długo nie podchodziłeś. Myślałem już, że ciebie niedźwiedź pożarł w lesie.

- Nie. I n a w e t zmija nie ugryzła.

- Gapa dogoniła?

Ach, to Antek ją wysłał!

- Dziękuję ci. Dogoniła. I to w samą porę. Pomogła odpędzić Skuternogę. Podobało mu się widocznie darmowe śniadanie, bo przyszedł na darmową kolację. I mnie lekko przydusił. Powiedz zaraz o tym drużynowemu, Antek.

- Oszalałeś?! Przekradłem się do namiotu komendy i telefonuję prywatnie. Wszyscy przy ognisku. Słyszysz, jak śpiewają? Jutro zatelefonuję do ciebie z samego rana. I druha też zawiadomię. Gdyby Skuternoga wrócił, dzwoni do komendy albo na milicję. O, ktoś idzie! Cześć!

Agnieszka widocznie obawiała się zostawić Marcina samego w namiocie. Usiadła przy stoliku i otworzyła radio. Najpierw słuchała z zainteresowaniem komunikatu, ale po chwili zaczęła wyrysowywać esy-floresy na kartce papieru.

Walki. Zamachy bombowe. Proces o wymordowanie sześciu milionów Żydów... Zbrojenia termojądrowe...

- Okropność - szepnęła przekręcając gałkę i spiker urwał wpół słowa.

Zapowiadała się bezsenna noc. Marcin przyglądał się chwilę, jak dziewczyna włącza odbiornik krótkofalówki, słucha, co na pasmie i jakie warunki, potem schyla się, aby włączyć

zasilacze, sięga do gałki przy nadajniku. Lampka zamrugała zielonym światłem.

Po chwili wahania chłopiec zdecydował, że nie będzie towarzyszył dziewczynie „w chodzeniu” po krótkofalarskich ścieżkach. Przesunął palcem po grzbietach książek. Agnieszka przywiozła ze sobą całą biblioteczkę, w której obok fachowych podręczników z dziedziny krótkofalarstwa i książek o Bieszczadach można było znaleźć literaturę z dziedziny archeologii, jak „Bogowie, groby i uczeni” Cerama czy „Sen o Troi” Stolla, a także tomiki poezji oraz kilka atlasów i słowników.

Marcin wyciągnął „Trzy po trzy” Fredry i kartkował bez pośpiechu, szukając opisu huty w Ciśnie. Obaj z Antkiem postanowili odnaleźć jej ślady.

- Skuternoga to rozbójnik taki sam jak Ankiel Wulf, któregoś złapał szlachcic Kitaj-grodzki - powiedział, trafiając na historię znanego zbójnika bieszczadzkiego.

Krań światła, rzucany przez lampę, obejmował jasną głowę dziewczyny i wiszącą przed nią mapę świata. Błękitniał Ocean Atlantycki. Ciemniały zarysy kontynentów.

Nie odpowiedziała. Widocznie odezwał się ktoś z jej licznych znajomych z eteru. Może ten Bułgar, którego poznała na studenckiej wycieczce i który szuka jej co wieczór? Ale nie. Wystukała pytanie. Powtórzyła je raz, drugi i trzeci. Potem stukanie urwało się jak ucięte. Zdziwiony przedłużającą się ciszą popatrzył uważnie. Agnieszka siedziała pochylona, słuchając z takim napięciem, jakby złapała „grubą rybę na wędkę”.

Musiał ściągnąć ją wzrokiem, bo się odwróciła i mrużąc oczy przed światłem, dała znak, przywołując do aparatu. Odłożył książkę, sięgając po drugą parę słuchawek. W eterze huczało jak w ulu.

- Woła cię orzeł, woła cię orzeł! - nawoływał czyjś głos.

- L jak Lucjan. Powtarzam: L jak Lucjan.

- Tu SP5, SP5.

Ktoś inny dziękował skrótowym tnx.

Stopniowo w gwarze chłopiec wyłowił dziwne sygnały. Dźwięczały niespokojnie, zmieniając modulację. I nie sprawiało to wrażenia mimowolnych zniekształceń.

Kto je wysyłał? Długie i krótkie uderzenia następowały po sobie, a nic nie można było zrozumieć. Chciał zażartować, że nocny ptak usiadł na antenie i nadaje ogonkiem ptasie nowinki, ale skupiony wyraz twarzy Agnieszki nie zachęcał do dowcipów.

Przypomniało mu się opowiadanie Antkowego taty o sygnałach nadawanych podczas wojny przez aliantów, w języku Apaczów i Siuksów. Nawet Japończycy, spece od rozszyfrowywania najtrudniejszych kodów, nie wykryli tej tajemnicy, chociaż depesze były wysyłane bez szyfru, pełnym tekstem.

Może więc weszła na cywilne krótkofalarskie ścieżki jakaś stacja wojskowa? Szepnął swoje przypuszczenie Agnieszce, ale ona zaprzeczyła ruchem głowy. Dźwięki dochodziły z daleka, niektóre zacierały się i jakoś dziwnie wibrowały.

Nie dziwił się jej milczeniu, krótkofalowcy na ogół pracują cicho, patrząc tylko, jaki zakres, jaki opór i czy lampka nie mruga. Oni z Antkiem stanowili wyjątek. Tym razem wyczuwał jednak, że i Agnieszka pragnie podzielić się swymi wrażeniami.

- Druhno - szepnął - jakie to dziwne sygnały, chyba nie są nadawane alfabetem Morsego?

- Zauważyłeś?

- Tak. Ale co on mówi? W jakim języku?

- W jakim języku... - powtórzyła z roztargnieniem.

Nie mogła zrozumieć, co się dzieje. Napływające z daleka sygnały brzmiały obco jak powtarzający się urywek muzyki elektronicznej. Wiedziała jednak, była pewna, że wie: to było wołanie. Ktoś bardzo samotny i zagubiony pragnął posłyszeć słowa skierowane tylko do niego.

- On woła o ratunek - szepnęła.

Marcin ugryzł się w język, żeby nie powiedzieć, że te sygnały wcale nie przypominają „QST” - krótkofalarskiego „SOS”. Z Agnieszką trzeba było postępować ostrożnie. Niby łagodna, niby spokojna, ale jeśli jej się coś nie podobało - to kłapa generalna.

Po raz pierwszy odezwała się do niego z całkowitym zaufaniem. Nie mógł jej spieszyć ani zniechęcić.

- Co możemy zrobić?

- Nadam odpowiedź - szepnęła samymi tylko wargami, jakby zwierając największą tajemnicę.

- Dobra.

A nuż przypadkiem miała rację, chociaż wszystko wyglądało na czyste wariactwo.

- Tu stacja „Pod Planetą” - wystukiwała dziewczyna. - Stacja „Pod Planetą”. Podaję nasze położenie i przechodzę na odbiór. 73, 73, 73 - zakończyła krótkofalarskim pozdrowieniem.

- Ktoś się zgubił - próbował domyślić się chłopak - ale skąd on nadaje?

- Znad Oceanu Atlantyckiego.

Gdyby Marcinowi przyśniło się, że jest szachem perskim i tańczy z niedźwiedziem na przyjęciu w Belwederze, nie byłby bardziej zdumiony. Teoretycznie rozmowa z kimś, kto znajdował się nad Oceanem Atlantyckim, była możliwa. Krótkie fale mają przecież różne pasy zasięgu. Przyziemne nie rozchodzą się daleko, ale te, które się odbijają o jonosferę, mogą okrążyć całą kulę ziemską. Praktycznie było to jednak niepodobieństwem.

Ktoś, kto się zgubił nad oceanem, wysyła wołania na chybił trafił? Po co, u licha? Czego może się spodziewać? Przypomniał sobie jednak, że komunikat radiowy tratwy Kontiki usłyszeli przypadkowi krótkofalarze i oni to dopomogli załodze nawiązać potrzebne kontakty. Ale w takim razie należy spytać, kogo szuka nieznajomy, a nie nadawać „adres” stacji „Pod Planetą”.

Zaledwie Agnieszka zdążyła wystukać: „przechodzę na odbiór”, znów zawibrowały dźwięki niepodobne do tych, jakie Marcin znał dotychczas.

- On tu przyleci - szepnęła i leciutki uśmiech rozświetlił jej oczy.

Chrząknął zmieszany. Traktowała go jak kogoś, kto ją dobrze rozumie i wierzy każdemu jej słowu. Było mu głupio, że ją oszukuje. Dźwięki tymczasem stawały się coraz ćwierkliwsze i wyraźniejsze. Czyżby stacja nadająca te wariactwa zbliżała się do nich? Spojrzał na dziewczynę jak na magika, który z cylindra wyciąga królika i parę gołąbków. Może miała jakiś dodatkowy zmysł? Ostatnio czytał o zwierzętach mających zmysły, o jakich się człowiekowi nic śniło, a raczej, które musi sobie tworzyć sztucznie w postaci przyrządów.

Może Agnieszka ma własną stację radiową nadawczo-odbiorczą i chwyta myśli wysyłane przez kogoś znad oceanu? Tak jak pasażer „Nautilusa”, łodzi podwodnej o napędzie atomowym, który zapisywał pod lodami bieguna znaki nadawane mu z Ameryki?

Zerknął na dziewczynę, czy przypadkiem nie zamruga zielonym „magicznym” okiem? Ale jej oczy były niebieskie i nie mrużyła ich, wpatrując się w jakiś punkt na mapie.

- Kiedy on przyleci? - spytał.

- Niedługo.

Dziwne. Ktoś leciał do nich znad Oceanu Atlantyckiego, i w dodatku z błyskawiczną szybkością. Czy ten „ktoś” przynajmniej wie, na jakim pasie powietrznym wolno mu się poruszać? Powietrze przecinają dziś drogi i dróżki, wytyczone dokładnie, obserwowane przez stacje radarowe.

Wyskoczył z namiotu. Niebo pociemniało i było tak czyste, że wydawało się być szklaną, granatową, przezroczystą czaszą. Lśniły białe zwoje Mlecznej Drogi. Jak klejnoty błyszcząły gwiazdy Kasjopei i Wielkiego Wozu. Na zachodzie ogromny, złoty wisiał Jowisz.

Nagle świetlisty błysk przeciął firmament. Czy spadł meteor? A może któryś ze sputników splonął, wchodząc w ziemską atmosferę?



Marcin uczył zawrót głowy. Światła gwiazd zamazały się. Wrócił do oświetlonego wnętrza namiotu.

Agnieszka wciąż słuchała z napięciem. Widział jej pochyloną jasną głowę. Czy naprawdę rozumiała cośkolwiek z tego „ćwierkania”? Antek dawno by już nadawał „99”, czyli „Zgiń-przepadnij !”

Nie. Nawet Antek nie zrobiłby tego, bo ten skrót nie jest nigdy używany przez krótkofalarzy, ale wypowiedziałby całą wiązaną dowcipów. Marcin z ulgą pomyślał, że Antkowe dowcipy nie przeszkodzą Agnieszce.

Nie miał ochoty dłużej słuchać, jako że i tak nic nie rozumiał. Sięgnął po „Trzy po trzy” i uśmiechnął się na myśl, że jest to nawet dobrze dobrany tytuł na taką okazję.

Wtem otwór namiotu stał się purpurowy. Sierść Gapci zaczerwieniła się. Błysnęły metalowe części centrali telefonicznej. Chłopiec spojrział w górę, czy na płótnie namiotu nie rysują się zygzyki błyskawic.

Ale skąd burza? Niebo przecież było pogodne!

Wnętrze namiotu pociemniało równie nagle, jak się rozjaśniło. W półmroku znikł telefon, Gabcine kudelki przybrały normalną, kremową barwę.

- Jest - powiedziała Agnieszka.

Czekali w napięciu. Terkotanie krótkofalówki umilkło. Chwile dłużyły się w wieczność. Kiedy jednak Marcin doszedł do wniosku, że nocne przedstawienie już skończone i można iść spać - poczuł, że się dzieje coś niezwykłego.

U wejścia do namiotu stanął nieznajomy. Jego kombinezon lśnił księżycowym światłem. Miękki hełm czy też po prostu kaptur był odrzucony na plecy, a spośród fałd wychylała się kształtna głowa o włosach czarnych jak skrzydło kruka.

Gapa wpatrywała się w przybysza, przekrzywiając łepkę, z otwartym ze zdumienia pyskiem. Nawet nie szczekała.

Nieznajomy zdawał się nie dostrzegać nikogo poza Agnieszka.

Zbliżył się, położył ręce na jej ramionach. Marcin widział przed sobą ich oświetlone profile: jasny w obramowaniu puszystych włosów i ciemny, ostro zarysowany jak u górali czy Indian. Milczeli, ale chłopiec dałby głowę za to, że obcy człowiek pyta o coś Agnieszki. Może o to, czy ona przywołała go tutaj?

Skinęła głową potakująco.

Wtedy nieznajomy zwrócił się w stronę mapy. Dłuższą chwilę stał przed nią, jakby porównując zarysy lądów z czymś sobie znanym. Dotknął dłonią Oceanu Atlantyckiego. Na wyrazistej twarzy odbił się żal, smutek, zawód.

Cisza stała się nie do wytrzymania. Marcin chciał krzyknąć, po prostu po to, by się przekonać, że żyje, że nie stał się cieniem, niedostrzegalnym dla dziwnej istoty, która zjawiała się między nimi.

Nieznajomy spojrział na chłopca, jakby dosłyszał wołanie, które przecież się nie rozległo.

- Jun - powiedział wskazując siebie, a potem podniósł dłoń ku gwiazdom.

W otworze namiotu migotało niebo, dotykając mroków ziemi. Agnieszka nie mogła zasnąć. Gdzieś za drzwiami, na trawie, leżał tajemniczy pojazd przybysza z Kosmosu. Nim nadejdzie świt, trzeba zabezpieczyć go przed niepowołanym „znalazcą”, a Juna uchronić przed hałasem, krzykiem, tłokiem, przed wywiadami reporterów i pytaniami ciekawskich. Kogo prosić o pomoc? Posterunkowego Jabłońskiego? To dobry człowiek, ale zacznie przecież od wypełniania formularzy urzędowych, no i gotów z miejsca posadzić Juna o szpiegostwo. Więc może zatelefonować do komendy? Ale drużynowy w ferworze działania zwykle decydował sam, nie pytając nikogo o zdanie. A co postanowi? Czy można być pewnym, że jego decyzja będzie słuszna, najlepsza? Gdybyż trafić do ludzi, którzy rozumieją trudną

sytuację. Zawieźć Juna do Warszawy? Ale do kogo?

I jak porozumie się ten ktoś z Junem, który wprowadzie umie odczytywać myśli, ale nie zdoła przecież n a z w a ć niczego po polsku ani w żadnym ziemskim języku.

Trzeba działać ostrożnie. Tu na miejscu nie może wiedzieć o tajemnicy nikt poza nią i Marcinem. Jakie to szczęście, że Dondek i Antek są w obozie. Oby tam pozostali jak najdłużej. Tymczasem ona rozpocznie lekcje z Junem, wprowadzi go w ziemskie sprawy i przygotowuje do rozmów w Warszawie. Na stacji jest trochę książek, encyklopedie, słowniki, no i radio. Radio? Drgnęła. Niewiele wiadomości z ostatniego komunikatu chciałyby przekazać Junowi. Jun nie może poznać Ziemi od razu z najgorszej strony. Na takie wiadomości będzie jeszcze czas.

Najpierw trzeba zabezpieczyć pojazd, umieścić go w jakimś zakątku, dalekim od turystycznych szlaków i osiedli.

Wstała, narzuciła na siebie w ciemności sukienkę. Błękit pobladł już nad lasem. Na bezkłęskowym niebie tym jaśniej lśnił Jowisz, zdawało jej się, że widzi nawet malutką, złotą tarczę.

- Jun - szepnęła, uchylając płótno kaptura - Jun!

Uniósł się na łokciu. Widziała w mroku zarys jego głowy.

- Jun, musimy zabrać stąd pojazd. Chodźmy!

Czekała na odpowiedź. Jun nasłuchiwał. Może jej słowa brzmiały jeszcze w powietrzu, a on jak muzyk sprawdzał, czy nie dźwięczy w nich jakaś fałszywa nutka?

- Jun! Chodźmy. Już późno.

Skinął głową. Wyprostowała się i kaptur namiotu z chrzęstem opadł, zasłaniając ciemne wnętrze. Było cicho. Ziemia przed świtem przygotowywała wybuch porannego gwaru i ruchu.

Zjawił się przed nią nagle jak srebrzysta zjawa.

- Jun, prowadź mnie do pojazdu. Zabierzemy go stąd. Tu zostać nie może.

Ujął ją za rękę ufnym gestem i poszli na przełaj po mokrej trawie, która głużyła ich kroki.

## TO JEST ZIEMIA

Marcina obudził dźwięk telefonu.

- Kto? - spytał sennie, sięgając po słuchawkę.

- Marcin - zaszemrał głos Antka. - Ty jeszcze śpisz? Chłopie, dobrze wam się dzieje, u nas w obozie dawno po apelu! A co słyszeć z waszym typem? Może wiesz, skąd się do was przyplątał?

- Wiem. Z Kosmosu.

- Pracuje w restauracji na Żoliborzu?

- Nie, z prawdziwego Kosmosu.

- Przestań się wygłupiać, Marcin!

- Mówię serio - upewniał chłopiec, przecierając zaspane oczy. Oślepiła go blask słońca bijący z polanki przez otwór namiotu.

- Pssst. Masz gorączkę. Czterdzieści w cieniu. Gadaj po ludzku, bo muszę wszystko powtórzyć druhowi...

- Mówię ci przecież...

- Wczoraj alarmowałeś, że koło stacji kręci się łobuz - przerwał mu Antek - a dziś

bredzisz o Kosmosie. Komenda powie, że to mnie trzymają się głupie dowcipy, jak z tą zmiją, i nigdy do was nie wrócę.

Dopiero wtedy przypomniał się Marcinowi chuligan, który go dusił poprzedniego wieczoru.

- Poczekaj chwilę - powiedział, odkładając słuchawkę - może druhna Agnieszka zechce coś przekazać drużynowemu.

Po mokrej od rosy trawie przebiegł do żółtego namiotu Agnieszki. Puste wnętrze pachniało ziołami, których całe pęki zwisały nad pryczą zarzuconą różnokolorowymi poduszkami. Pod buczkiem, gdzie stał stolik na jednej nóżce i ławka i gdzie Agnieszka lubiła siadywać, też nie było nikogo. Na wołanie nikt nie odpowiedział. Zawrócił do telefonu.

- Antek, nie ma Agnieszki. Wysłała. Mniejsza zresztą o to, chcę ci powiedzieć coś naprawdę ważnego.

- No?

- M a m y gościa...

- Też nowina. Od tego jesteśmy stacją turystyczną.

- Nie dogadam się z tobą! Nie dasz mi skończyć. Poproś druha drużynowego, to mu wszystko wyjaśnię.

- Akurat! Ani mi się waż opowiadać mu głupstw. Dziś jeleń ma ogonek do góry i nie życzę sobie, żebyś nam zepsuł panoramę jakimś bajdurzeniem. Ciao!

Antek rozgniewał się, nie wiadomo czemu, ale w komendzie znajdzie się chyba ktoś rozsądny, kto zechce wysłuchać do końca. Zresztą niech o Junie opowie sama Agnieszka.

Znów zaterkotało.

- Halo!

- Tu posterunkowy Jabłoński. Czy ten łazik nie przychodził do was drugi raz? Nie? Było spokojnie? Ale niedobrze, że uciekł, w okolicy zdarzają się kradzieże. Ilu macie gości?

- Jednego.

- Skąd przybył?

Masz sobie. Jak odpowiedzieć na takie pytanie?

- Z Kosmosu - bąknął niepewnie.

Chwila ciszy, potem głos posterunkowego rozbrzmiał niedowierzaniem i radością:

- Gagarin, znaczy się, przyleciał wcześniej?

- Nie. To nie Gagarin.

- Amerykanin? Na rakiemie czy na balonie?

- Nie widziałem z bliska tego pojazdu, ale przypuszczam, że to będzie raczej coś w rodzaju latającego talerza... I to nie jest wcale Amerykanin...

- Ja z tobą poważnie rozmawiam, obywatelu - przerwał surowo Jabłoński - a ty z urzędowej osoby wariata strugasz. Latających talerzy nie ma.

- Ale wczoraj - plątał się chłopak - czy pan wczoraj nie widział, że coś błysnęło na niebie...

- Błysło, powiadasz? No to co z tego? Gdyby to był samolot nieprzyjacielski, toby go radary wyczuły. Więc nie rób paniki, obywatelu.

Kiedy z ręcznikiem przewieszonym przez ramię Marcin wracał znad potoczka, przed namiotem błękitniał mundur miejscowej władzy. Posterunkowy Jabłoński stał obok roweru, opierając nogę na pedale.

- No i gdzie ten Marsjanin? - spytał ironicznie.

- Nie ma go. Wyszedł.

- Wybył, znaczy się - szare oczy patrzyły badawczo i z naganą. - I na co wy liczycie, obywatelu, opowiadając takie bajeczki?

- To przecież... prawda...

- Aha - pokiwał głową Jabłoński. - Prawda. Taka sama, jak z ukąszeniem zmił. Myśli-

cie, że nie wiem, coście tu za cyrk urządzili wczoraj? A teraz w Adamskiego się bawicie? Z Wenusjanami rozmawiacie?

- Ależ - usiłował dojsć do głosu chłopiec, coraz bardziej zagubiony i niepewny. - Ależ zanim on przyszedł, zrobiło się czerwono i...

- Czerwono? Zgadza się. Sprawdziłem. Meteor spadł niedaleko, a wy plotki rozsiewacie. Wstyd, obywatelu. Żebym już takich „meldunków” nie otrzymywał, zrozumiano?

Spoglądał surowo i wyczekująco, jakby się spodziewał, że Marcin przeprosi go, zapewni, że żartował. Chłopiec zajął do namiotu. Mapa świata wisiała zupełnie zwyczajnie, jak co dzień, i nie chciało się wierzyć, że ręka nieznanego opierała się wczoraj na błękitcie oceanu. Może przyśnił mu się ten gość z Kosmosu? A może to była fata morgana? Zdarzają się w Afryce takie zjawiska, więc jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności mogło się przytrafić i w Polsce. Właśnie na stacji „Pod Planetą”. Tylko dziwny to miraż, który nadaje sygnały i składa wizyty.

- Mówiliście, że go nie ma - posłyszał i odwrócił się.

Nie wierząc własnym oczom wpatrywał się w namiot, ostatni z gościnnych namiotów, stojących półkołem dokoła polanki.

Wychylała się z niego rozczochrana głowa Króla Węży.

Posterunkowy bez pośpiechu ruszył w stronę namiotu, prowadząc swój rower.

- Wy, obywatelu, skąd tuście się wzięli? - Postać Jabłońskiego zasłoniła na chwilę intruza.

Odpowiedź zabrzmiała całkiem swojsko i zrozumiale:

- Z Grójca. Trochę zbłądziłem w nocy i jakoś się tu dotaszczyłem. Dziś się zamelduję.

- Każdy obywatel ma prawo przebywać dwadzieścia cztery godziny bez zameldowania - pouczył go Jabłoński. - Nieładnie - zwrócił się znów do oniemiałego z wrażenia chłopca. - Nieładnie. Młodzi jesteście. Zielono wam w głowie. Ale nieładnie. Może i chuligana też wymyśliliście?

Odepchnął się nogą i zręcznie wskoczył na siodełko. Marcin patrzył za nim z uczuciem, jakby zjadł żabę. Zawsze dla nich życzliwy posterunkowy Jabłoński posądzał go o głupie żarty, o kłamstwo. A przecież on mówił prawdę.

- Przepraszam za kłopot - wymamrotał Król Węży. - Ale mi jeden zaskroniec uciekł z walizki, myślałem, że go jeszcze znajdę. Teraz to już naprawdę sobie pójdę.

Przeczesał grzebieniem sterczące w nieładzie włosy, wcisnął czapkę, wziął do ręki walizkę i po chwili znikł na leśnej drodze prześwitującej między drzewami.

Gdzieś koło południa chłopiec posłyszał szczekanie Gapy. Psiak pędził na przelaj, z pyskiem roześmianym od ucha do ucha. Opędzając się przed jego karesami chłopiec niespokojnie spoglądał na ścieżkę. Może Agnieszka wróci sama i okaże się, że przyśnił mu się tylko gość z Kosmosu? Ale nie. Obok jasnej sukienki dziewczyny zobaczył wysoką sylwetkę nocnego gościa.

Zbliżał się do niego przybysz z innej planety, a nic się nie zmieniło. Stacja wyglądała po dawnemu, jak co dzień. Kamień na sznurku kołysał się lekko na poprzeczce, furkotała na wietrze flaga. Jun wcale nie przypominał dziwnych stworów z innych planet, jakie chłopiec oglądał w filmach fantastycznych. Ani jego oczy nie sterczały na szypułkach, ani nie sterczała nad głową antena. Gdyby Marcina spytano, kim jest ten człowiek, powiedziałby: „Taki młody Grey Owl”.

Tylko ubranie miał niezwykle. Koszula bez szwów. Nawet przy kołnierzyku i na bokach. Czyżby ją wydmuchali jak butelkę w hucie szkła, dopasowując do kształtu człowieka? I materiał dziwnie matowy, w kolorze niebieskim, jakiego chłopiec dotychczas nie widział.

- Dokąd chodziliście? - spytał Agnieszki.

- Zabezpieczaliśmy pojazd. Płacze się tu sporo ludzi nieodpowiedzialnych, gotowi byliby uszkodzić. A ten nocny ptaszek nie wracał?

- Nie.  
- Musimy uważać. A o Junie ani słowa - dodała, zniżając głos.  
- Dzwonił Antek i przychodził posterunkowy Jabłoński pytając, kto jest na stacji, więc im powiedziałem...

- I co?  
- Obrazili się, że robię z nich balona.  
- Masz nauczkę, żeby nie gadać za dużo. Powiemy, komu trzeba, we właściwym czasie. Na śniadanie Marcin podał kawę z mlekiem skondensowanym i chleb z serem. Gość jadł powoli, smakując każdy kęs. Długie, wąskie palce dotykały przedmiotów lekko i pewnie. Agnieszka przełknęła z pośpiechem kilka łyków i sięgnęła po kartkę papieru.

- Co druhna chce napisać?  
- Szukam sposobu porozumiewania się.  
- Przecież druhna go rozumie.  
- Ach - strzepnęła palcami - to nic nie jest!  
- Po co druhna rysuje figury geometryczne?  
- Zaraz zobaczysz. Jun, czy już zjadłeś? Nie jesteś głodny? Więc patrz - i podsunęła kartkę bliżej gościa. - Widzisz, Jun: to jest trójkąt, to kwadrat. Koło. Elipsa.

- Trójkąt - powtórzył wolno - kwadrat, koło, elipsa.  
- A teraz uważaj!  
Otoczyła kółko ośmioma elipsami, na każdej umieszczając kropki, jak pojedyncze koraliki różnej wielkości.

- To jest Słońce - zaczęła, przesuwając koniec ołówka od kółka do kropek. A dalej Merkury, Wenus, Ziemia, Mars, Jowisz, Saturn, Uran, Neptun, Pluton.

Ziemia - powtórzyła dotykając znowu trzeciej z kolei kropki - Z i e m i a - i zatoczyła ręką szeroki łuk, ogarniając nim zielen polanki i mapę na ścianie, i wszystkich obecnych. - Wylądowałaś na ZIEMI.

- Ziemia - Jun wstał i zbliżył się do mapy. Znow wpatrzył się w nią z wyrazem smutku czy tęsknoty. Kolejno ogarniał wzrokiem łądy, aż się zatrzymał na Oceanie Atlantyckim i położył rękę na jego błękitach.

- Chcesz poznać kontynenty? - zgadywała. - Czekaj, zaraz ci je wymienię. To jest Europa. Widzisz, my jesteśmy tu, w tym miejscu. Niżej jest A f r y k a, a na wschód A z j a. A tu, na półkuli zachodniej, znajduje się A m e r y k a. Teraz spójrz na dół. Ta duża wyspa jest też kontynentem. Nazywa się Australia. I to już koniec. Przepraszam. Mamy jeszcze biały łąd, A n t a r k t y d ę.

Jun lekko drgnął.

- Zapomniałam o niej, bo to jest łąd nie zamieszkały. Są tam tylko stacje badawcze. Musnął oczyma białą plamę na dole mapy i jego wzrok zatrzymał się znow na Oceanie Atlantyckim.

- To jest Ocean Atlantycki. Atlantyck. Na nim są tylko wyspy.

- Atlantyck? - powtórzył - Atlantyck?

Świat wyglądał pozornie tak samo jak zawsze, ale stał się naraz jakiś zwichrowany i nic do niczego nie pasowało.

Marcin kręcił się między spiżarnią i namiotami, jako że na stację spadła duża grupa turystów.

- Jakie nowiny ze świata? - dopytywali się. - Jaka prognoza pogody?

- Radio się zepsuło - podpowiadali, kiedy milczał nie wiedząc, jakie dać wyjaśnienia.

Agnieszka wyłączyła radio, nie mówiąc, czemu to robi.

Po południu, dzwoniąc menażkami, zjawił się Wiesiek z obiadem dla obsługi stacji.

- Druh drużynowy pyta, czy chcesz pójść na wyprawę.

- Na jaką wyprawę?

- Meteor spadł gdzieś niedaleko. Drużynowy podjął się poszukiwań i mamy jutro od rana przeczesywać teren. Pójdiesz?

- Nie mogę.

I przekładając do rondelków jedzenie, zastanawiał się, czy wystarczy na obiad dla trzech osób.

Wiesiek powiódł wzrokiem po rozwieszonych na słupkach plecakach i bieliznie trzepocącej na sznurkach i rzekł domyślnie:

- Tłok u was, co?

Wszyscy sami znajdowali odpowiedź i wyręczali go, nie dostrzegając niczego, co mogłoby ich zadziwić.

- Jeśli chciałbyś iść, Marcin, to ja zostanę za ciebie - zaofiarował się pocziwie.

- Nie. Dziękuję. Ale wiesz co? Jeśli chcesz nam pomóc... poproś, żeby dawano więcej jedzenia. Taki jakiś jestem ciągle głodny...

- Jak Dondek? - roześmiał się Wiesiek, składając menażki. - Obwołaliśmy go „Mistrzem Niedopychem Pierwszym”, zjada największą ilość kromek chleba z masłem. Powiem Dondkowi, że mu przybył konkurent.

Po południu goście poszli do sklepiku po zakupy. Agnieszka zabrała Juna na spacer i Marcin został sam. Ogarnęło go zniechęcenie. Agnieszka nic wtajemnicza go w sprawy Juna. Wydaje jakieś dziwne zarządzenia: wyłącza radio, zabrania mówić komukolwiek o Junie. Co prawda, to wcale nie łatwa sprawa, ale kiedyś trzeba to wreszcie zrobić. Będą odpowiadać za przechowywanie nie meldowanego gościa. I to j a k i e g o gościa!

Zresztą niech Agnieszka robi, co chce. On nie będzie się napraszał ze swoją opinią. Szkoda, że nic poszedł na wyprawę. Można byłoby spokojnie pogadać z Antkiem.

- Marcin - odrzucony kaptur zachrobotał lekko - cóż ty tak siedzisz w ciemnościach?

Jasna sylwetka Agnieszki zamajaczyła na ciemnym tle. Rozległ się trzask przekręcane-go kontaktu i zobaczył jej twarz w aureoli jasnych włosów.

- Marcin, przyznaj się, masz do mnie żal?

Nie potrafi wykręcać się, kiedy patrzyła na niego tak prosto, przezroczystymi oczyma.

- Marcin - siadła na swoim ulubionym miejscu przy krótkofalówce, opierając twarz na dłoniach. - Słuchaj, Marcin, co ty byś zrobił na moim miejscu?

- Powiedziałbym druhowi drużynowemu.

Niecierpliwym gestem odrzuciła w tył włosy.

- Och, już cię język śwędzi, żeby rozpaplać tajemnicę. W czym może mi dopomóc drużynowy? To ty mi możesz pomóc, tylko ty!

- Ja?

- Tak. Musisz uważać na to, co czyta Jun i czego słucha, na co patrzy, co lubi.

- A na co niby taka kontrola?

- Nie kontrola! Chodzi tylko o to, żeby od razu na początku nie dowiedział się o tym, co najgorsze. Wyobraź sobie, otwieramy głośnik, a tam co? Procesy. Bratobójcze walki... Próby z bombą atomową. Co on pomyśli o Ziemi? Zrazi się do nas i odleci, nie czekając na żadne poważne rozmowy!

- Druhna boi się, że będzie tak jak z tym psem...

- Z jakim znów psem?

- Kiedy jeszcze tylko psy i mały latały raketami, opowiadano taki kawał w Warszawie, że Istoty Wyższe napotkały w Kosmosie jedną z raket i przyholowały ją do siebie na jakąś swoją planetę. Otwierają zasobniki, a stamtąd wyskakuje kundelek i merda ogonkiem. Postalili chwilę, patrząc na kundla, a wreszcie jedna z uczonych Wyższych Istot tak powiada: „Wiedziałem, że mieszkańcy Ziemi są jeszcze na tym stopniu rozwoju, że chodzą na czworakach, ale nie przypuszczałem, że mają ogony...”

- No, widzisz. Gdyby Jun wylądował wśród Pigmejów, sądziłby ludzi według nich,

trafił na nas, więc my jesteśmy odpowiedzialni za to, co pomyśli, jak osądzi Ziemię. Rozumiesz?

- Ale jak to zrobić, żeby zobaczył najpierw najlepsze?

- Obmyślaj dokładnie plan każdej wyprawy, sprawdzaj teren.

- No, a jeśli trafię na ruiny, to co? Można przecież powiedzieć, że to z powodu wojny!

- Tego właśnie brakowało - odwróciła się żywo i rumieniec zalał jej policzki. - Błagam cię, nie wspominaj mu ani słówkiem o wojnie. Może u nich wcale nie ma wojen?! Też mamy się czym chwalić! Wojny to barbarzyństwo. Można walczyć ze sobą, nie zabijając się nawzajem!

- Jak?

- Bardzo zwyczajnie. Kiedyś rycerze zabijali się, walcząc na białą broń. A dziś szermierka jest sportem. Dziś Wołodyjowski byłby mistrzem świata w szabli i dziwiłby się dawnym ludziom, że brali udział w pojedynkach, które kończyły się śmiercią.

- Może i tak - powiedział chłopiec bez przekonania - ale kiedy do tego dojdzie?

- Mam nadzieję, że już niedługo. A gdyby nawet nie... Opowiem o tym Junowi później, kiedy nabierze do nas zaufania, zobaczy lepsze strony naszego życia. Przecież nie wszystko u nas jest złe? Prawda?

- A jeśli się zorientuje, że go oszukujemy?

- Nie oszukujemy - zawołała - Marcin, nie! Ja go nie chcę oszukać. Tu chodzi tylko o kolejność, zrozum! Pomóż mi, Marcin. I staraj się nawet nie myśleć o wojnie i takich rzeczach, bo Jun umie czytać w myślach.

Kiedy wyszła, żeby przygotować kolację, chłopiec rozejrzał się bacznie, jak gospodarz wyczekujący gości. Mimowolnym ruchem sięgnął po ściereczkę i starannie wytarł półki. Metalowe części telefonu nie błyszczały jak nowe, Jun gotów pomyśleć, że wszyscy w Polsce, na całej Ziemi używają przedpotopowych, sfatygowanych aparatów. Wyjrzał z namiotu. Takim samym baczным spojrzeniem ogarnął las i polankę rozdzwonioną głosami świerszczy. Nigdy się nie zastanawiał nad tym, jaka jest Ziemia, przyjmował to, co go otaczało, jako coś, co istnieje poza nim, niezależnie od niego. Dziś poczuł się za wszystko odpowiedzialny. To była Ziemia. Jego Ziemia.

## TAU CETI

Po otwartej książce wędrowały cienie kołyszącej się trawy. Wiatr z szelestem przewracał stroniczki. Jun spoglądał w zieloną przestrzeń, zapominając o czytaniu. O czym myślał? O planecie, którą opuścił, czy też po prostu nie zrozumiał czegoś w słowniku geograficznym, który wertował od rana. Gapa podbiegła do niego i poufale skrobnęła pazurami jego ramię. Pogłaskał ją, ale żaden błysk nie rozświetlił mrocznej głębi jego oczu. Czy mieszkańcy planety, z której przybył, nie znają uśmiechu? Gapa zaskomliła. Jun spojrzął na nią, potem na błękitny rękaw koszuli, delikatnie zdjął kosmatą łapę. Podniósł się z trawy i z książką w ręku ruszył do namiotu.

Marcin widział za szeroko odrzuconym kapturem stolik w słonecznej plamie i głębiej, w mroku, mapę świata wiszącą na przepierzeniu. Był pewien, że gość jak zwykle stanie przed tą mapą.

Jun znikł mu jednak z oczu, a psiak, który pobiegł za nim, przypatrywał się teraz czemuś ze skupieniem, przekręcając łepkę to w jedną, to w drugą stronę.

Co robi Jun? I czy można sprawdzić, co on robi?

Instrukcje Agnieszki, dotyczące postępowania z gościem, brzmiały bardzo jasno, ale stosowanie ich w praktyce nastęrczało chłopcu niejakię wątpliwości. Jeśli wejdzie w ślad za Junem do namiotu, czy to będzie „uważna obserwacja” (co było pożądane i nakazywane), czy też „natręctwo” i „ograniczenie swobody ruchów gościa” (czego robić nie należało pod żadnym pozorem!).

Marcin namyślał się chwilę, ale zwyciężyła ciekawość, więc wszedł do namiotu. Smukła ręka gościa wodziła delikatnie po złączeniach płóciennych ścianek.

- Pan coś zgubił?

- Nie. Brudne - Jun wskazał ciemne smugi na błękitnym rękawie.

„Co ma piernik do wiatraka, a brudna koszula do ścianek namiotu” - przemknęło przez myśl chłopca.

- Oczywiście, Gapiszon musi wszędzie pakować swoje brudne łapska - odezwał się głośno. - Proszę mi dać koszulę, zaraz ją upiorę.

- Ja sam.

- Sam? Dobrze.

Między namiotami kręciło się sporo turystów. Niebieskawy dymek unosił się nad kuchnią, zmieszane głosy dochodziły od strony „łazienki”, czyli płytkiego miejsca w strumyku. Goście tym razem przysli z jakiejś dalekiej wyprawy i robili wielkie porządki: czyli pranie, reperacje i uzupełnianie zapasów żywnościowych.

Po chwili na pniaku przed Junem znalazła się miednica z ciepłą wodą i kawałek mydła. Jun dotknął ostrożnie wizerunku jelenia, wytłoczonego na brunatnym kwadracie, potem powąchał końce palców.

Doprawdy zachowywał się dziwacznie, nieomal jak Eskimosi ze starych powieści.

Zaledwie chłopiec zdołał to pomyśleć, kiedy doznał dziwnego wrażenia: ktoś słuchał jego myśli. Tak samo wyczuć można obecność osoby, która włączy się na linię telefoniczną podczas rozmowy.

„I któż to widział, żeby podsłuchiwać myśli? — obruszył się. - Myślenie i rozmowy telefoniczne to nie to samo, co chodzenie po krótkofalarskich ścieżkach, dostępnych dla wszystkich”.

Jun spojrział na Marcina z uwagą.

- Nie lubisz? - spytał. - Nie chcesz? To ja nie będę. Tylko kiedy sami tego zechcecie.

- Proszę mi dać koszulę - powiedział zmieszany chłopiec - pokażę, jak się u nas pierze.

Jun zarzucił na siebie luźne wdzianko o matowej bieli i z ciekawością obserwował, jak też odbywa się ziemskie pranie. Może obawiał się, że „kosmiczny nylon” nie wytrzyma tej próby?

Brud spłynął z niebieskiego materiału natychmiast po włożeniu go do wody.

- On po raz pierwszy widział mydło - szepnął Marcin Agnieszce, rozwieszając upraną koszulę na sznurku między gałęziami srebrzystego buka i starej jodły...

Agnieszka coś rysowała, siedząc przy stoliku. Ściągnięte brwi i ruch głowy, odrzucający z czoła niesforne kosmyki włosów, wskazywały, że jest pochłonięta pracą.

- Oczywiście - powiedziała, nie odrywając oczu od kartki - mydło jest przeżytkiem. U nas wkrótce też będzie się prac przy pomocy ultradźwięków - to rzekłszy umoczyła wieczne pióro w buteleczce z napisem „Drakon” na niebieskiej nalepce. - Wyobraź sobie, Marcin - zapaliła się do perspektyw przyszłości - nic nie będzie się niszczyć w praniu ani nie wypłowie, ani się nie skurczy!

- I nawet guziki nie odleca - dokończył tym samym tonem. - Znakomity interes, zwłaszcza dla tych, których nie stać na nowe ubranie.

- Też pomysły - fuknęła - w przyszłości wszyscy będą mogli otrzymywać nowe ubrania, ile razy będzie im to potrzebne.

- A druhna zafunduje sobie nowe pióro! Prawdziwe wieczne, kosmiczne, atomowe! Cud



techniki dwudziestego wieku, którego nie trzeba będzie maczać w atramencie jak gęsie czy zwykłą stalówkę. Na razie zreperuję druhnie stare...

Roześmiała się. Na policzkach utworzyły się dołeczki. Niczym nie przypominała surowej Miss Quiz, wygłaszającej do nich długie przemówienia. Gdyby ją Antek widział w tej chwili, na pewno zmieniłby o niej zdanie.

- Co druhna rysuje? - odważył się spytać.

Rozbawienie znikło z twarzy dziewczyny, oczy patrzyły teraz badawczo, ale przyjaźnie.

- Powiem ci, Marcin, mam do ciebie zaufanie. Ale nikomu a n i s ł o w a.

- To się wie.

Rozejrzała się. Nikogo w pobliżu nie było. Młody turysta, który kończył wielkie pranie, nie mógł słyszeć ich rozmowy.

- Zrobiłam mapę miejsca, gdzie ukryliśmy pojazd Juna - powiedziała ciszej. - Od czasu do czasu trzeba będzie sprawdzać, czy wszystko w porządku na szczycie. Włożę tę mapkę do zielonej teczki. Pamiętaj!

Gdzieś w pobliżu trzasnęła złamana gałąź. Gęste krzaki kaliny poruszyły się.

- Ktoś tam łązi!

- Pewnie wiewiórka. Z tamtej strony nikt do nas nie przychodzi, przecież tam wąwóz! Powiedz mi lepiej, co robi Jun?

- Nastawiłem radio pianissimo na Warszawę drugą i słucha Mazowsza. Nasze chóry nadają się na eksport nawet do Kosmosu... Druhno, tam naprawdę ktoś jest.

Odgarnął gałęzie. Nie było nikogo. Ale przygięta ku ziemi, przydeptana trawa nosiła ślady czyjejs obecności. Marcin zajrzał w głąb ciemnego wąwozu, na dnie którego płynął strumień, ale za gęstymi krzakami olchy i grabu nie mógł nic dojrzeć.

Zawrócił do Agnieszki. Obok stolika stał wysoki blondas z nareczem mokrej bielizny i powolutku roztrzepując każdą sztukę, rozwieszał ją na sznurku.

- Z czego to jest? - spytał wskazując koszulę Juna. - Jakie ładne. Pewnie wyrób zagraniczny. Ale skąd? Ciekawe, czy to nylon, czy też stylon? Muszę spytać właściciela! Czyje to jest?

- Och - ruszyła ramionami Agnieszka - przemysł produkuje różne dziwy i naprawdę trudno, żeby użytkownik wiedział, czy nosi koszulę z węgla, czy też z igieł sosnowych... czy mleka... Marcin - zawołała do powracającego chłopca - zostań na polance! Koncert na pewno się skończył - dodała ciszej - czas na lekcje.

I obdarzywszy turystę uroczym uśmiechem, znikła w dużym namiocie.

Holowanie Juna nie należało do rzeczy łatwych i wymagało tyleż pomysłowości, co rozwiązanie zadania o wilku, kozie i kapuście, które trzeba łódką przewieźć na drugą stronę rzeki, tak aby wilk nie zjadł kozy, a koza kapusty...

- Jun - powiedziała, kiedy zasiedli przy stole obok krótkofalówki - czy potrafisz obliczyć odległość twojego słońca od nas? Sprawdzaliśmy wczoraj w encyklopedii, ile wynosi rok świetlny, pamiętasz?

Zdołała się już przekonać, że Jun rozumie wszystko błyskawicznie. Chodziło tylko o to, aby skojarzył nowe dla siebie słowo z pojęciem, a natychmiast okazywało się, że posiada potrzebny, ba, znacznie większy, zasób wiedzy.

W zamyśleniu obrócił na palcu pierścioneł, na którym wyryte były jakieś znaki. Czy to był przyrząd, czy też Jun po prostu skupiał myśli, patrząc na niego?

Zdecydowanym ruchem wyrysował dwa kółka na podsuniętym skrawku papieru, połączył je kreską i napisał: II,8.

- Co to jest, Jun?

- Słońce. Twoje. Moje.

- A ta liczba?! Och! Leciałeś do nas tak długo?! Prawie dwanaście lat! Czy wiesz, że

kiedy wylatywałaś ze swojej planety, u nas był rok tysiąc dziewięćset czterdziesty dziewiąty? Miałam wtedy siedem lat i ciotka odprowadzała mnie do szkoły. Mieszkaliśmy w dzielnicy jeszcze nie odbudowanej.

Zobaczyła znów ulicę zasypaną gruzem, ziejące pustymi oczodołami domy, pod którymi przebiegały obie z pośpiechem. Robotnicy ściągali stalowymi linami i obalali ściany, sterujące nad chodnikami.

Pod taką walącą się kamienicą zginęła podczas powstania jej matka, spiesząc na pomoc rannemu.

Dziewczyna napotkała pytające spojrzenie ciemnych oczu przybysza i opanowała się. Nie mogła rozmyślać przy Junie o dawnych czasach, bo nie mogła o nich mówić. Czyż Jun zdoła zrozumieć tak zawile i bolesne sprawy?

- Ile miałaś lat wylatując do nas? - spytała szybko.

- Tyle samo.

- Jak to?

- Spałam. I wtedy czas... - szukał potrzebnego wyrazu - czas był inny...

- Z powodu wielkiej szybkości pojazdu?

- Tak. I snu.

- Czy czas na waszej planecie jest taki sam, jak u nas?

- Nie. Inny.

Tymczasem Marcin krążył niespokojnie, nie mogąc doczekać się chwili, kiedy opowie Agnieszce o śladach znalezionych nad wąwozem. Stacja powoli pustoszała. Kilku turystów poszło do sklepu, inni opalali się leżąc na trawie. Można było spokojnie opuścić „posterunek”.

- Agnieszko - zajrzał do namiotu - niech druhna wyjdzie na chwilę...

- Marcin - zawołała wymachując kartką — chodź tu! Właśnie o tobie myślałam! Patrz, patrz! To jest słońce Juna. Znajduje się w odległości prawie dwunastu lat świetlnych od naszego! Czy ty rozumiesz? Jun leciał z tak daleka!

Chłopiec zapomniał o wąwozie, o turystach, o wszystkim na świecie.

- Dwanaście lat świetlnych - rozważał - no to... no to przecież łatwo można sprawdzić, jak się nazywa to słońce. Jun, z której strony pan przyleciał?

- Z południowego wschodu - odpowiedziała za niego Agnieszka. - Pokazywałeś mi pierwszego dnia, tak Jun?

- Więc trzeba zadzwonić do Towarzystwa Astronomicznego. Tych danych chyba im wystarczy do określenia gwiazdy?!

Agnieszka ześliznęła się ze stołka. Prawda. Że też nie przyszedł jej do głowy tak prosty pomysł. Marcin jest nieoceniony!

Poczta przyjęła zamówienie i telefonistka sama wyszukała potrzebny numer. Agnieszka dziękowała jej z uśmiechem, którego tamta nie mogła widzieć, zapewne jednak wyczuła to w głosie dziewczyny, bo stała się jeszcze bardziej uprzejma. Jakoś szybko odezwała się znów, zawiadamiając, że uzyskała połączenie.

- Tu Warszawa. Proszę mówić.

- Och, jaka pani miła! - powtórzyła jeszcze raz Agnieszka i słysząc, że odpowiada jej zdumiony męski głos, chrząknęła i zmieniła ton: - Halo?! Warszawa? Warszawskie Towarzystwo Astronomiczne? Dzień dobry. Tu harcerska stacja turystyczna w Bieszczadach. Przepraszam za kłopot, ale potrzebna nam wiadomość: jaka gwiazda znajduje się na południowym wschodzie, w odległości 11,8 lat świetlnych od naszego systemu słonecznego? Nie dla zgaduj-zgaduli. Dziękuję. Poczekam.

- Strasznie miły pan magister obiecał mi, że zaraz poprosi do telefonu któregoś z astronomów - szepnęła.

W słuchawce zaszemrało i Agnieszka ze zmarszczonymi brwiami łowiła każde słowo,

potakując co pewien czas.

- Słuchajcie! - zawołała, kiedy wreszcie po dłuższych serdecznych podziękowaniach zakończyła rozmowę. - Twoje słońce, Jun, nazywa się TAU CETI. To jest gwiazda Tau - konstelacji Ceti, czyli Wieloryba. To zimowy gwiazdozbiór, w zimie wznosi się wyżej na nasze niebo i jest dobrze widoczny. Teraz wschodzi nad ranem i trudno go dojrzeć, bo wisi nisko nad horyzontem. Tau Ceti jest niewielką gwiazdą, o wielkości pozornej - zajrzała do kartki, na której notowała - 5,8. Ale i w rzeczywistości należy do mniejszych słońc.

Mówił mi astronom, że w pobliżu naszego układu słonecznego znajduje się czternaście gwiazd, przypominających nasze Słońce. Do nich należy właśnie Tau Ceti. Przez dłuższy czas w obserwatorium w Green Nank nasłuchiowano sygnałów z Tau Ceti i Epsilon Eridani, ale astronom Frank Drake odbierał tylko nic nie znaczące trzaski. Na razie doświadczenia przerwano, ale będą podejmowane dalsze próby.

Ty pomożesz naszym uczonym, Jun!!

Policzki jej pałały, oczy stały się świetliste, wąskie pasmo światła, przenikając przez otwór w płóciennej ścianie, rozpało błyski w jasnych włosach.

Marcin drżał z niecierpliwości. Jun zaczął nareszcie mówić o swojej planecie, a tymczasem Agnieszka powtarza znane z prasy wiadomości o nieudanych ziemskich próbach. Jun wlepił w nią oczy i słucha, jak nie wiadomo o jakich cudach...

- Jak nazywacie swoją planetę - przerwał jej, zwracając się do gościa - Jun, jak nazywacie swoją ziemię? - i pociągnął go za rękaw.

Jun spojrzał na niego jak obudzony ze snu.

- Słucham cię...

- Pytam, jak nazywacie swoją planetę?

- Atis.

- A jak wygląda?

- Pokażę... kiedyś...

- Narysuj. Jun, proszę cię! O, masz ołówkę, nawet w czterech kolorach. Tatusiowy!

- Narysuj - poparła chłopca Agnieszka - to ciekawe.

Jun naszkicował kulę i nakreślił na niej zarysy niewielkiego lądu, potem innym kolorem poszerzył znacznie jego kontury.

Pochylili się nad rysunkiem, nie rozumiejąc, co oznacza.

- Ląd - wyjaśniał Jun powoli. - Ląd prawdziwy, dawny, a to nowy, dodany...

- Osuszacie oceany - domyśliła się Agnieszka. - Zupełnie jak w Holandii. Wiesz, Jun, jeden z europejskich krajów czwartą część swojej powierzchni odebrał morzu. Ta czwarta część ich kraju leży poniżej poziomu morza! A to co? - wskazała zakreskowane wyspy, rozrzucone po oceanie.

- Wyspy. Zrobione.

- Ach, sztuczne!

- Jakie macie zwierzęta? - dopytywał Marcin, obawiając się, że Agnieszka zacznie opowiadać o radzieckich osadach na Morzu Czarnym i o miastach napowietrznych, które mają budować Japończycy.

- Zwierzęta? W wodzie. Dużo.

- Ryby?

- I ryby.

- Aha, to wy macie wodne zwierzęta, jak nasze wieloryby i delfiny. A na lądzie?

- Też mamy.

- A co jadacie? - przysunął się bliżej Marcin.

- W oceanie są małe... - Jun szukał znów brakującego wyrazu.

- Plankton - wykrzyknęli równocześnie., - Przyrządzacie go w domu czy w fabrykach?

- W domu nie.

- I to jest smaczne?  
- Jakie się chce.  
- Jaka energia porusza wasze pojazdy, oświetla domy?...

Jun zamyślił się, a po chwili powiedział:  
- Różne. Inne niż tu. Ale słońce i woda też.  
- Wykorzystujecie energię słoneczną - ucieszyła się Agnieszka. Niedawno w Ameryce odbyła się międzynarodowa konferencja w tej sprawie.  
Przed namiotem zadzwięczały menażki. Ktoś z obozu przyniósł obiad. Dziewczyna wyskoczyła na polankę.  
- Marcin - szepnęła, wywołując chłopca po chwili. - Nie wydziwiaj przy obiedzie, że nie ma mięsa. O n i t a m nie jadają czegoś takiego.  
- Czy to możliwe?  
- Zupełnie pewne. Słyszałeś przecież, że przyrządzają najróżniejsze potrawy z planktonu. I mają rację, bo jądanie mięsa jest barbarzyństwem. Z czasem i u nas nikt nikogo nie będzie zabijał. Tylko kiedy do tego dojdziemy?  
- Ależ Jun będzie głodny! - zawołał chłopak, zaglądając do menażek. - Dziś nic ma ani klusek, ani pierożków z serem, tylko schab i ziemniaki z marchewką.  
- Usmaż jajecznicę.  
Stojąc nad buchającą żarem kuchenką Marcin ciskał Gapię kawałki mięsa. Psiak chwycił je w locie i natychmiast wlepił w chłopca oczy pełne oczekiwania.  
- Wszystko sama byś zjadła - chłopiec rozbijał jajko o brzeg patelni i, wylewając jego zawartość na skwierczące, podrumienione masło, dodał: - A ja to co, pies?  
Wiedział jednak dobrze, że nie tknie tego schabu. Nawet jeśli Agnieszka przesadzała swoim zwyczajem, to nie odpowiadało mu jądanie czegokolwiek ukradkiem, w tajemnicy przed Junem. I tak za dużo przed nim ukrywali.  
Po południu Agnieszka wystąpiła z nową niespodzianką.  
- Słuchajcie - oznajmiła - trzeba zobaczyć, co się dzieje z pojazdem. Marcin - zwróciła się do chłopca - chyba zatelefonuję do drużynowego, żeby nam kogoś wypożyczył.  
- Po co robić tyle piany koło tej wycieczki? - obruszył się chłopak.  
- Zostaniesz sam?  
- Pewnie, że zostanę. Na wszelki wypadek poproszę Antka, żeby nasłuchiwał moich dzwonek. Już on potrafi kręcić się przez cały dzień koło telefonu, nie zwracając niczyjej uwagi.  
- Cały dzień? - powtórzył Jun.  
- Tak. Wyprawa zajmie dużo czasu. Na szczyt daleko. Trzeba jechać autobusem, a potem, co gorsza, wspinać się pod górę - wyjaśnił dokładnie jak małemu dziecku.  
- Po co jechać? - spytał Jun. - Polecimy.  
- Czym?  
Jun uśmiechnął się tylko w odpowiedzi.  
- Druhno - powiedział Marcin, kładąc chleb na kolację, podczas gdy Agnieszka rzucała suche gałęzie na palenisko - druhno, czy Jun schował gdzieś w pobliżu jakiś mniejszy pojazd? Taki latający spodeczek...  
- Na pewno nie.  
- Więc jak polecicie? Bo przecież nie ukrył chyba w namiocie składanego powietrznego kajaka?  
- Zobacysz wieczorem.  
Chłopiec żałował, że ich przyjaciel nie ma już zwyczaju zaglądać nieoczekiwanie do jego myśli. Może odpowiedziałby sam, nie pytany?  
Zapadł zmierzch. Jun zjawił się w dużym namiocie w srebrzystym skafandrze, drugi podobny podał Agnieszce.

Dziewczyna ukryła się za przegródką i po chwili wyszła ubrana spoza mapy.

Jun troskliwie naciągnął hełm na jej włosy.

- Lecimy? - spytał.

- Lecimy. Marcin, sprawdź, czy nikt się nie kręci w pobliżu.

Cisza panowała na polance, tylko nad strumieniem kumkały żaby.

- Tor wolny! - krzyknął chłopak.

Jun dotknął ręką hełmu Agnieszki i nagle oboje oderwali się od ziemi, srebrną kreską przecięli powietrze. Już znikli, a Marcin wciąż jeszcze patrzył za nimi. Bezksiężycowe niebo jarzyło się światłem gwiazd, rozproszonym w międzyplanetarnym pyłe i w powietrznym płaszczu otaczającym Ziemię.

Och, jakże Marcin zazdrościł dziewczynie! Był tak przejęty, że nawet nie słyszał rozżalonych pisków Gapy.

Późnym wieczorem zabrzączał telefon.

- Marcin, jesteś sam? - posłyszał głos Antka.

- W ogóle sam - odpowiedział. - Druhna poleciała...

- Wcale nie jestem ciekaw, gdzie lata Miss Quiz - przerwał mu Antek. - Mam dla ciebie nowinę. Drużynowy powiedział, że zatrzymał nas dłużej wcale nie z powodu kary. Jak tylko znajdziemy meteor, zaraz wrócimy do was. Cieszę się, bo w obozie opaliłem tylko prawy policzek i prawe „zбочe”. Jak staję do raportu, słońce świeci zawsze z prawej strony. Na stacji wszystko się wyrówna. A może byś jednak poszedł, Marcin, na to poszukiwanie? Mam paru chętnych, którzy by zostali zamiast ciebie. Co mówisz? Halo, Marcin, czy ty mnie słyszysz?

- Słyszę.

- Co ci jest?

W głosie przyjaciela brzmiał niepokój. Czyż Antek mógł przypuszczać, że Marcin boi się powrotu jego i Dondka? Oczywiście chodzi tylko o Dondka. Antkowi można zaufać. Nigdy go nie zawiódł. Nawet kiedy raz wybuchł mu w kieszeni proch Marcinowej produkcji, zniósł tęgie lanie od swego ojca i nie pisnął ani słowa. A przecież miał wówczas na swoje usprawiedliwienie, że przestrzegał Marcina przed eksperymentem i proch zabrał mu tylko po to, żeby pokazać swemu wujkowi, który studiował chemię.

- Słuchaj, Antek, coś ci powiem, ale to wielka tajemnica.

- No?

- Żadnego meteoru nie ma.

- Bredzisz.

- Słuchaj! Mówiłem ci o człowieku, który do nas przyleciał. To jego statek błysnął w nocy. Wiem już nawet, skąd on przyleciał.

- No?

- Z Tau Wieloryba.

- Czyś ty oszalał, Marcin? Ja do ciebie po ludzku, a ciebie się znów trzymają jakieś głupie kawały. Z b y k a spadłeś, a nie z w i e l o r y b a!!

W słuchawce zaległa cisza. Marcin chwilę czekał, ale nikt się nie odezwał.

Niełatwo się porozumieć, nawet z przyjacielem. Nie wszystko da się wypowiedzieć po prostu. Może miał rację stary mędrzec Plutarch, iż należy ostrożnie używać słów?

Gapa poruszyła się w kącie namiotu.

- Zostawili nas samych - pogłaskał jej miękkie kudełki. - Nie lubisz, kiedy idą bez ciebie na spacer? A zwłaszcza jeśli zamieniają się w ptaszyska, a raczej w jakieś powietrzne ryby. Ale i my też polecimy, zobaczysz!

Późno w nocy dosłyszał znajome głosy i wyskoczył w ciemność.

- Nikt nowy nie przyszedł na stację? - dopytywała się Agnieszka. - Jun, idziesz do łazienki? Więc przynieś mi wody w dzbanku, umyję się dziś jak piecuch i leniuch. A ty

będziesz miał karę!

- Druhno - chwycił ją za rękę Marcin - jak się latało? Szkoda, że w nocy, bo się nic nie widzi. Czy lądowaliście na szczycie?

- W tym skafandrze można widzieć i w nocy - odparła.

- Jak?

- Podobnie jak w świetle podczerwonym, rozumiesz? A co do pojazdu... Stał sobie spokojnie, więc nawet nie lądowaliśmy.

- Druhno, co złego zrobił Jun, że druhna chce go ukarać?

- Nie zdradził mi przed odlotem, że i tak wie, co się dzieje na szczycie. Pojazd nadaje do niego sygnały.

- Więc po co on poleciał w takim razie?

- Nie wiem - zastanowiła się. - Może lubi latać. Ja też chętnie bym znów poleciała. To naprawdę wspaniałe uczucie.

## ZAGINIONE ŁĄDY

Strumień płynął między czarnymi korzeniami, wśród liści łośpuchów. Woda odbijała błękit niezapominajek, zieleń i czerń lasu. Na płycznach widać było dno, a drobne, omulone kamyki wyglądały jak brązowa łuska jakiegoś gada.

Marcin prowadził Juna do „rybiego miejsca”, gdzie strumień rozlewał się szeroko, wpadając do rzeczki, chciał mu pokazać zimorodka czatującego na zdobycz. Ptak siadywał zazwyczaj na nisko pochylonej gałęzi, która za każdym podmuchem wiatru maczała liście, rysując na wodzie lśniące, trójkątne rozwidlenie. Małe, nieomal przezroczyste rybki całymi godzinami tkwiły w cieniu tego konaru. Spychane nieoczekiwanym zawirowaniem wody, wracały znów. Widać je było tylko w tym miejscu, dalej, na falach, słońce malowało świetliste, ruchome marmurki.

Tym razem czerwone łapki nie obejmowały gałęzi, długi dziób nie zwieszał się w zamyśleniu nad wodą. Błękitny zimorodek polował gdzie indziej, a może spłoszyła go swoim szczekaniem hałaśliwa Gapa, która warczała, parskała i prychała, drapiąc zawzięcie pazurami mech i trawę. Jun przywoływał ją od czasu do czasu, a kiedy ich doganiała, głaskał kremowe kudełki i bez gniewu przyjmował psie czułości.

Zbliżali się do szosy. Coś białeło za drzewami. Może samochód? W dzisiejszych planach Marcina znajdował się także drugi punkt programu: pokazać gościowi konie, i to nie tylko szkapy, ale i HP, konie mechaniczne. Garbaty kształt, majaczący wśród zieleni, coraz mniej podobał się chłopcu. Nie można było jednak zawrócić. Jun długimi krokami sadił naprzód.

Wyszli wprost na cygańskie wozy o wykrzywionych prętach, pokryte połatanym płótnem. Na domiar złego pręgowaty kociak przebiegł im drogę. Co za pech.

Gdyby Jun zobaczył takie wozy w muzeum jako szacowny zabytek, jako osobliwość! Ale na szosie!

- Nic ciekawego - chłopiec usiłował odciągnąć gościa od cygańskiej karawany.

Na próżno.

- Koń? - pytał Jun, wskazując starą chabetę, leniwie skubiącą trawę nad rowem. - K o Ń?

Szkapa machnęła długim ogonem, odganiając uprzykrzone muchy, niecierpliwie stuknęła przednim kopytem. Po jedwabistej skórze przebiegło drżenie.

Cygan odłożył uzdę, którą reperował, i ze zdumieniem spojrzął na człowieka, po raz pierwszy oglądającego konia.

- Jego kraj jest c a ł k o w i c i e zmotoryzowany - szybko wyjaśnił Marcin - u nich po szosach jeżdżą tylko samochody, motocykle, skutery i... poduszkowce, takie, co to nie mają kół, nie dotykają ziemi...

- Aaaa - mruknął Cygan ze współczuciem - koni nie mają, bywa, bywa, jak bida to bida...

Jun wyjął z kieszeni herbatnik i podsunął koniowi. Chabeta podniosła głowę, spojrzała mądrze i, wyciągając miękkie chrapy, ostrożnie zgarnęła przysmak z dłoni.

Z głębi wozu rozległo się pochlipywanie.

- Co to? - zaniepokoił się Jun.

- Głupi chłopak - powiedział Cygan, sięgając po fajkę - zimą poziomków mu się zachiewa, a w lecie ciastków!

- Koń dostaje, a on nie - wtrącił melodyjny głos i spod budy wychyliła się młoda Cyganka. Czarne, potargane włosy nie ujmowały jej wdzięku, na śniadej szyi podzwaniały korale i srebrne monety. Tuliła się do niej kędzierzawa główka Cyganiątka.

Marcin wyjął z kieszeni swoją porcję herbatników, a mała brunatna łapka wysunęła się z wozu i pochwyliła je zręcznie.

- Chcesz powróżyć? - śpiewnie spytała Cyganka, spoglądając na Juna. - Daj rękę, młody panie. Wszystko powiem: co było, co będzie, czego szukasz. Wszystko wiem... Z daleka przybyłeś, daleko odjedziesz...

- Chodźmy stąd - błagał chłopiec, ciągnąc Juna za rękę. - Mamy dużo koni. Całe stado w Majdanie. I jakie piękne rumaki! Kierownik stadniny udziela im urlopów. Słowo daję. Mówi, że konia też trzeba szanować, i jeśli koń ciężko pracuje cały rok, to należy mu się wypoczynek. Przez dwa tygodnie w roku każdy koń spaceruje po łące i skubie trawę. Naprawdę!

- Kto to? - spytał Jun pochylając głowę w stronę wozu.

- Cyganie. Cyganka tylko tak mówi, że wszystko wie. Chce zarobić. Domyśliła się z rozmowy, że pan przyjechał z daleka. A może pan się dziwi, że u nas są jeszcze plemiona koczownicze? Może pan myśli, że nasze budownictwo nie nadąza i oni nie mają gdzie mieszkać? Ależ oni mogą otrzymać przydział w murowanych domach. Prawda, pan jeszcze nie widział murowanych domów! Pan gotów pomyśleć, że my na Ziemi jesteśmy na etapie namiotów i płóciennych bud. Chodźmy, pokażę osiedle, to niedaleko, tam gdzie na zakręcie rośnie stara sosna. Widzi pan?

Osiedle nie należało do najbardziej reprezentacyjnych, ale domy kryte blachą wyglądały dość solidnie.

- O, tak mogliby mieszkać Cyganie - gorączkował się chłopak - ale oni nie chcą.

- I ja bym nie chciał - powiedział cicho Jun.

Szosa mknęły samochody, którymi chciał pochwalić się Marcin, ale Jun nie zwracał na nie uwagi. A przecież u nich samochodów nie było. Jun rysował tylko dziwne maszyny, trochę przypominające „poduszkowce”, które poruszały się na różnych wysokościach, zawsze ponad ziemią.

Wcale nie łatwo prezentować swój glob od jego najlepszej strony, jeśli się nie wie, co gościowi może się podobać...

Jedno było pewne: Jun lubił chadzać leśnymi ścieżkami. Przyglądał się wiewiórkom, jak gryzą szyszki, trzymając je w małych łapkach, jak prześlizgują się po korze drzew rudym błyskiem albo rozplaszczają się na pniu sosen tak, że nawet puszysty ogonek stawał się płaski. Takie „podchody” przerywała zazwyczaj Gapa, wytaczając się zza krzaków.

Weszli znów w głąb lasu. Słońce przebijało się przez gąszcz i suche gałązki sosen świeciły w półmroku pod czapą zieleni.

- Psst - posłyszeli nieoczekiwanie - zabierzcie psa!

Za krzakiem jałowca stał Dziadek junior z menażkami w ręku i wspinając się na palce przypatrywał się czemuś, marszcząc krótki nosek.

Marcin pochwycił Gapę w objęcia i zmusił do milczenia. Spoglądała na niego zażawionymi oczyma, urażona nietaktownym postępowaniem.

- Co tu robisz, Dziadek?

- Niosę dla was obiad. Podwójną porcję! Ledwie dźwigam. Troszkę zboczyłem z drogi, bo tu jest gniazdo. Spójrz, Marcin, jakie malutkie pisklaki!

- Zostaw je w spokoju. Rodzice mogą nadlecieć, przestraszą się i porzucą...

- Ale ja... - otworzył szeroko oczy chłopiec - ja naprawdę...

- Skąd mogą wiedzieć, że nie zrobisz im nic złego? Nic trzeba płoszyć ptaków. Daj menażki i wracaj do obozu.

- Dobra - zgodził się juniorek, ale ani myślał odchodzić.

Marcin obawiał się, że za chwilę chłopiec zapyta głośnym szeptem: „Kto z tobą idzie? Jakie on ma dziwne ubranie! Skąd przyjechał?”

Malec był jednak zbyt zafrapowany znalezionym gniazdkiem i własnymi planami i jego wścibiński nosek tym razem niczego nie wywęszył.

- A m n i e druhny zaprosiły na ognisko - oznajmił z dumą. - Inni druhowie fotografowali ich przedszkole i zrobili je na szaro, a ja robię zdjęcia z dźwiękiem i kolorem. Dziś będą zabawy dla dzieci. Może chcecie zobaczyć, to JA was wprowadzę.

- Druhny zaprosiły na ognisko cały obóz?

- Coś ty! Druhnie od rana są na wyprawie po meteor i nie wiadomo, kiedy wrócą. A JA wolałem zostać. Meteor obejrzę później. No to jak, przyjdziecie?

Zanim Marcin znalazł sensowny pretekst odmowy, Jun odezwał się pierwszy:

- Tak, dziękuję. Przyjdziemy.

- Nie wiem, gdzie to jest? - próbował wymigać się Marcin, ale Dziadek parsknął śmiechem.

- Traafisz! Od Solinki wiedzie tam śmieszna droga z drewnianych bali. Jak za czasów Mieszka Pierwszego. Druhny nazwały ją w o z o s t r a d ą. Dobre, co?

Z miną zwycięskiego wodza Dziadek junior prowadził Agnieszkę i Juna obok kwieciej łąki. Agnieszka na próżno usiłowała przerwać potok jego wymowy.

- Żałujcie, że nie jesteście w obozie - mówił. - W niedzielę z Rzeszowa przylecieli do nas piloci i zrzucili spadochroniki. Dla każdego po jednym. Myśmy krzyczeli: „desant, desant!” A po prawdzie to było bombardowanie.

- Co za głupstwa - obruszyła się Agnieszka. - Jakie znów bombardowanie.

- Czekoladą - roześmiał się malec. - Przy każdym spadochronie uczepiona była bomba.

- B o m b a - powtórzył nieznane słowo Jun. - Bomba? Co to jest?

- Nie wie pan? To taka okrągła, duża czekoladka. Miałem nawet dwie, bo mi tata swoją odstąpił. Szkoda, że nie zostawiłem dla pana.

Agnieszka westchnęła. Od momentu przybycia Juna nie miała ani jednej spokojnej chwili. Każdy spacer, każda rozmowa groziły katastrofą.

Opowiadała mu wprawdzie o Piwnicznej, miasteczku swego dzieciństwa: o jego czyścich uliczkach, o studni z portretem króla Kazimierza Wielkiego, stojącej na starym rynku, o kwiatach, które witają przybysza w każdym zakątku.

Opowiadała o tym, jak rozbudowuje się Warszawa, o zabytkach starego Krakowa i o porcie szczecińskim, do którego zawijają statki z całego świata. Ale cóż, kiedy Jun tego wszystkiego nie widział.

Musi mu to pokazać jak najszybciej. A kiedy Jun zrozumie przeszłość i dzień dzisiejszy jednego kraju, potrafi porozumieć się w sprawach całej Ziemi z przedstawicielami różnych



narodów.

Coraz trudniej przychodziło jej kierować Junem. Sam chciał decydować. A nawet jeśli ona przeprowadzała swoje zamysły, okazywało się, że to było z jakichś względów niepotrzebne - jak na przykład ostatnia wyprawa na szczyt. Kiedy wracali, Jun położył jej dłoń na przegubie swojej ręki i wyczuła delikatne sygnały.

- To pojazd - powiedział. - Da mi znać, jeśli tam ktoś przyjdzie.

Dostrzegła w mroku uśmiech na jego twarzy. Może wydawała mu się zabawna z tym swoim niepokojem o niego i o pojazd?

Całe stadko drухen wyprysnęło zza pagórka i Dziadek junior skoczył ku nim, wydając indiańskie okrzyki.

Dziewczynki pochwyciły gości za ręce i z tryumfem powiodły w stronę ślicznej bramy z brzoźowych pni.

- Prosimy - witała drухna komendantka, drobna ciemnowłosa kobieta. - Czekamy na was, mili goście. Prosimy! Dzieci, przywitajcie się!

- D z i e ń d o b r y - wyskandowały cienkimi głosikami maluchy, skupione za bramą w ciasną gromadkę. Wytrzeszczone oczy i palce w buzi wskazywały, jak bardzo dzieci są przejęte nieoczekiwaną wizytą.

Goście usiedli w „honorowej łoży”, czyli na kłodach drzewa, niżej, na kocach, ułożyły się dzieciaki. Na środek polanki wyszła długonoga harcereczka z krótko ostrzyżoną czarną czupryną.

- Mogę prosić do zabawy? - zwróciła się do przybyłych, wyraźnie jednak zezując w stronę Juna.

Wstał chętnie i dał się uprowadzić kilka kroków.

- O, niech pan uważa - dyrygowała, zadzierając głowę, jako że sięgała mu zaledwie do pasa. - Stawiamy przeszkody! Zochna, połóż plecak, nie ten, większy! Basiu, przysuń pniak! Beata, a gdzie miednica z wodą?

Musi pan - zwróciła się do gościa - przejść tędy, niczego nie omijając, ani razu nie potknąwszy się o przeszkody. A n i r a z u! Inaczej fant! Pozwalam panu sprawdzić dokładnie trasę i wypróbować swoje możliwości. Zaczynamy: r a z – d w a – t r z y!

Jun przeszedł trasę, zręcznie przeskakując przez miednicę i pniak. Pochwaliła go łaskawie, dopytując się, czy dobrze zapamiętał, co stoi na drodze.

Agnieszka była pewna, że Ewa knuje jakiś podstęp, bo usta dziewczynki drżały od powstrzymanego śmiechu.

Długo zawiązywała Junowi oczy, udając, że końce chustki wymykają jej się z palców. Tymczasem harcerki systemem bezszmerowym usuwały wszystkie przeszkody, a dzieciaki gapiły się na ogromnego pana, który stał posłusznie z zawiązanymi oczyma, jako „ślepa babka”.

Na komendę „Raz, dwa, t r z y!” - ruszył naprzód.

Co to był za widok. Unosił wysoko długie nogi tam, gdzie przed chwilą stał pień, przeskakiwał przez puste miejsce po miednicy. Dzieciaki aż piszczały z wielkiej uciechy, a Dziadek junior najgłośniej. Nawet Agnieszka nie mogła się powstrzymać od śmiechu. Czarnowłosa Ewa zdjęła wreszcie opaskę z oczu Juna. Zanim obejrzał się poza siebie, na przebytą trasę z przeszkodami, mrugnął porozumiewawczo do Agnieszki.

Wiedział, że go te szelmy nabierają! Zaraz potem świetnie rozegrał scenę zdumienia - i roześmiał się.

Agnieszka po raz pierwszy słyszała jego śmiech: cichy, melodyjny, radosny.

Druhenki splotły ręce dzieci i po trawie zawirowało barwne koło: - Uciekaj, myszko, do nory...

Dziadek junior miauczał jak prawdziwy kot, goniąc myszkę, dopóki nie udało mu się pochwycić jej za cienki warkoczyk.

Agnieszka stanęła obok Juna. Trochę raziło w oczy zachodzące słońce, więc dopiero po chwili spostrzegła, że czyjaś głowa wysuwa się spoza bramy obozu. Chuda dziewczynka spoglądała żałośnie na rozbawione dzieci. To robiła krok naprzód, to cofała się, bojaźliwie stulając ramiona.

Ale Ewa i Zocha już wyrwały się z koła i biegły do niej z wyciągniętymi ramionami.

- Marysia! Dobrze, że przyszedłeś! Czekamy na ciebie!

Jakby kto stuświecową żarówką oświetlił mizerną buzię.

Dziewczynka podniosła oczy na swoje opiekunki, chwyciła je za ręce, pewnym krokiem pobiegła do koła, z żebraczyny przemieniona nagle w wesołą, zaróżowioną dziewczuszkę.

Jun pociągnął Agnieszkę do dzieci, drugą rękę podając Marysi, która z dumą spojrzała na koleżanki i kolegów.

- Kot, pan będzie kotem! - rozkrzyczało się bractwo.

Wyskoczył na środek koła, zgiął się, próbując przedostać przez zwierające się szeregi malców, wyciągnął rękę, sięgając po myszkę.

I roześmiał się znowu, a za nim wszyscy. Śmieli się, nawet już nic nie wiedząc, czemu się śmieją, po prostu było im dobrze i radośnie.

Czerwone słońce znikło za lasem, ale zachód jeszcze płonął. Dziadek junior uwijał się razem z druhnami, rozdając kubki z parującą kawą i pajdy chleba z marmoladą. Ze zmieszonym uczuciem radości i żalu dostrzegł harcerski mundur swego ojca w grupie rodziców, którzy zbliżali się do obozu. Wieczór tańców, śpiewu, zabaw, radości miał się ku końcowi.

- Tata - krzyknął - przyniosłeś meteor?!

Kwatermistrz machnął ręką.

- Beznadzieja, synku, nigdzie ani śladu. Chłopaki staszczyli kupę kamieni, z których żaden nawet nie leżał koło meteorytu.

- Me-te-o-ry-tu?

- Tak, synku. Kiedy meteor spada na ziemię, to się staje meteorytem. Zapamiętaj to sobie!

- Patałachy - wydał wargi malec - jak JA pójde na wyprawę, zaraz znajdę ten me-te-o-ryt.

- Oczywiście - dobrodusznie potwierdził Dziadek senior - nie musisz nawet schylać się ku ziemi, żeby zobaczyć, co w trawie piszczy, niewiele od tej ziemi odrośles! Ale pozwól mi przywitać się z druhnami. Druhno Agnieszko! Jak druhna wypiękniała! Czy to blask słońca sprawia, czy cera taka śliczna! Istna morelka!

Twarz Agnieszki pałała. Z przykrością słuchała o całodziennych poszukiwaniach meteorytu, który nie istniał.

- Niech druhna nie zostaje sama na stacji - mówił dalej kwatermistrz - bo nam druhnę gotów porwać któryś z turystów. O, chociażby ten przystojny chłopak. Jak go dziewczuszki obkoczyły! Kto to jest?

Harcerki rzeczywiście obiegły Juna i tarmosząc go za rękawy, świergotały jedna przez drugą:

- Proszę pana, proszę pana, czy to prawda, że pan jest Meksykańczykiem? Dziadek junior mówi, że pan naprawdę nazywa się: Najszybszy z Orłów. Jak panu na imię?

- Jun - odparł z uśmiechem - mam na imię J u n.

Nic wiadomo, co strzeliło do główki Dziadka juniora, ażeby nazwać gościa Meksykańczykiem i Najszybszym z Orłów. Może chciał zaimponować druhnom, że coś wie o gościu, który przyszedł z Agnieszką, a który im się tak podobał?! A może wyobraził to sobie, patrząc na smukłą sylwetkę gościa i jego orli profil?

- Meksykańczyk! - zawołał kwatermistrz. - Ho, ho, to kraj ludzi o gorącej krwi, niech druhna uważa, druhno Agnieszko, żeby on druhnę nie porwał ze sobą do Meksyku.

- Niech tata uważa - wyrwał się malec - bo powiem mamie, że tata dokucza druźnie.

Czy pan naprawdę chce porwać nam druhnę Agnieszkę? - zwrócił się do gościa.

- Może - odpowiedział Jun i podniósł oczy na dziewczynę.

Wracali do domu z pośpiechem, bo zerwał się silny wiatr. Drzewa skrzypiały złowrogo, za ich szumem nic nie było słyhać.

Dopiero na polance przed stacją Jun zatrzymał się i spojrzał w niebo, na którym gwiazdy to rozbłyskiwały jaśniej, to gasły, ścierane szybko przepływającymi chmurami.

- Czy księżyc był zawsze?

Nie zwracał się z tym do Agnieszki, zdawał się pytać siebie czy nieba, na którym nie było księżyca.

„Czy był z a w s z e? - myślała zaskoczona. - Co też mu przyszło do głowy. Prawdopodobnie zawsze, odkąd istnieje Ziemia. Chociaż nie... Ciotka opowiadała kiedyś o preselenitach, o ludziach olbrzymach, starszych od księżyca. Preselenos - tak nazywano jednego z legendarnych władców Arkadii. Panował w tym kraju w czasach, gdy „nie wszystkie ciała niebieskie krążyły jeszcze na niebie”.

- Niektóre podania mówią, że księżyc przed wiekami nie było - odezwała się głośno. - I... czekaj... coś sobie jeszcze przypomniałam: księżyc miał spowodować straszliwą katastrofę. Bodaj że zatopienie kontynentu na Oceanie Atlantyckim. Tak, oczywiście. Ten kontynent nazywał się Atlantyda...

Urwała w pół słowa, czując, że sprawiła Junowi jakiś zawód.

- Jun! Co się stało?

Milczał.

- Co się stało?

I naraz drobne fakty, do których dotąd nie przywiązywała wagi, zaczęły się łączyć ze sobą, nabierać zrozumiałego sensu:

Jun czyta słownik geograficzny i leciutko podkreśla ołówkiem nazwy miejscowości leżących po obu stronach oceanu: Atitlan, Atalanta, Atlantyda, Atlas, Atlin Lake, Atalanti Kolpos.

Jun stoi przed mapą świata, wpatrzony w nią z wyrazem smutku, a jego ręka ciemnieje na błękitcie Oceanu Atlantyckiego, jak ład, którego tam przecież nie ma...

Jun na pytanie, jak się nazywa jego planeta, odpowiada: „Atis”.

A t i s ? Czyżby to był skrót od Atlantis?!!

Niemożliwe - odpowiedziała sama sobie - Atlantyda nie istniała. To wytwór fantazji Platona, który chciał na pięknym przykładzie pokazać ideał wymarzonego przez siebie państwa. Czyż mógłby zaginać bez śladu ogromny kontynent? Pamiętano by o nim.

Pamiętano by? A przecież zapomniano o wsiach i osadach bieszczadzkich, które były tu tak niedawno, zaledwie wczoraj. Kiedy leciała z Junem w nocy, przesunął ręką po jej oczach, opuszczając jakąś szybkę. Zaczęła widzieć w ciemności. Asfaltowa szosa wiła się jak rzeka. Równoległe do niej w lesie ciągnął się pas młodych drzew, znacznie młodszych, niższych niż te, które je otaczały. A nie opodał widziała coś jakby polanki; krzywe prostokąty, porosłe drzewami i krzakami.

To była dawna, przedwojenna droga, a wzdłuż tej drogi - fundamenty zapomnianych, zarosłych drzewami wsi i osad.

Może i na dnie oceanu, okryte mułem, leżą zapomniane szczątki dawnej wielkiej Atlantydy?

- Jun, skąd wiedziałeś o Atlantydzie? - zawołała. - Kto ci powiedział o preselenitach?

- Moi bracia przylatywali na Błękitną Planetę.

- Za czasów Atlantydy?!

Zwrócił się do niej, czuła, że chce powiedzieć coś ważnego, ale silne uderzenie wiatru wypełniło powietrze szumem i skrzypieniem pochylanych drzew.

- Namiot! Namiot! - dobiegło do nich rozpaczliwe wołanie Marcina. - Na pomoc! Wiatr zrywa brezent z dużego namiotu !

- Trzymaj linki! - krzyknęła. - Jun, biegniemy.

Zmęczona zmaganiem się z wichurą Agnieszka marzyła tylko o tym, żeby się znaleźć w swoim namiocie. Ale trzeba było jeszcze sprawdzić, czy działa centrala telefoniczna, i zawiadomić obóz, że u nich na razie wszystko w porządku. Kiedy więc młode małżeństwo, które pomagało im szamotać się z namiotem, odeszło wreszcie do siebie i kiedy pożegnała się z Junem, a Marcin znikł za swoim przepierzeniem, ujęła słuchawkę.

- Tu centrala - posłyszała znajomy głos telefonistki. - Komenda obozu nie mogła do was się dodzwonić, a także i posterunek pyta, co się z wami dzieje, czy nie trzeba przysłać kogo do pomocy.

- Dziękuję - odpowiedziała szybko - dajemy sobie radę. Właśnie chciałam panią prosić o to, żeby pani uspokoiła i obóz, i pana Jabłońskiego.

- A może jednak czegoś wam trzeba? - spytała telefonistka innym niż zazwyczaj tonem, tak jakoś serdecznie, prywatnie.

- Dziękuję... chociaż, jeśli pani tak dobra, proszę nadać depezę.

- Już notuję - powiedziała telefonistka skwapliwie.

- Adres: Serock, ulica Rybaki - dyktowała Agnieszka - do pani Anny Retmańskiej.

- Zapisałam. Jaka treść depezy?

- Proszę o przysłanie wszystkich materiałów o Atlantydzie.

- O czym? O Antarktydzie?

- Nie. O ATLANTYDZIE. A jak Anna, T jak Teodor, L jak Leopold...

- Zrozumiałam. Wyślę - obiecała telefonistka swoim zwykłym, urzędowym głosem.

- Po co druhnie Atlantyda? - wychylił się spoza mapy Marcin.

- Powiem ci, ale nie dziś. Czemu nie śpisz, Marcin?

- Kończę list do rodziców, burza przerwała mi twórczy nastrój.

- Kończ prędzej i śpij.

- Kończę, kończę. Tylko dopiszę, że spotkanie z kotem przynosi jednak pecha. Już dwa razy sprawdziłem!

Wichura trochę uspokoiła się i kiedy Agnieszka wchodziła do swego namiotu, dokoła panowała cisza. Zanim sięgnęła do kontaktu, wyczuła w namiocie czyjaś obecność. Ktoś przesunął się obok niej. Cień przesłonił na sekundę wejście - i znikł.

Zapaliła światło. Namiot był pusty. Niczego nie brakowało. Tylko zielona teczka była otwarta.

Może Marcin czegoś w niej szukał?

Wybiegła z latarką w rękę. Jasny krążek dotknął szarego pnia buka, przebiegł po ciemnej ścianie drzew.

Lunał deszcz.

## WYSPY SZCZĘŚLIWE

Nad światem przeleciały burze i huragany, odcinając na pewien czas Bieszczady od reszty kraju, jako że ulewy podmyły tory kolejowe między Jasłem i Rzeszowem.

Zimne strumienie ostro zacinającego deszczu wypłoszyły turystów ze stacji „Pod Planetą” do schronisk turystycznych, gdzie od wiatru osłaniały ściany i gdzie ogrzewały piece, a przynajmniej żelazne „kozy” na czterech nóżkach.

Na drogach błyszczały kałuże, wielkie jak stawy, i wypełnione wodą koleiny.

Rozlany szeroko, zmętniały strumień niósł na piennej powierzchni pnie wyrwanych drzew. Ryby znikły - pewnie skryły się w mule na dnie.

Nikt nie zjawiał się na stacji. Telefon ogłuchł i zaniemówił. Mała załoga nie odczuwała jednak samotności. W walce z wodą, przelewającą się brzegami ochronnych rowków, i z wichrem, który unosił w górę namiotowe płachty, wszyscy troje bardzo zbliżyli się do siebie, zrozumieli, że mogą na siebie nawzajem liczyć.

Niepodobna było upilnować wszystkich namiotów, więc je zwinęli, przenosząc się do dużego, który przedzielili na pół, oddając Agnieszce część bardziej zaciszną. Tam też zgromadzili zapasy. Popijając herbatę, gotowaną na koherze, zasypiali natychmiast, jak tylko uciszał się wiatr, bo w nocy budził ich często trzask zerwanych linek, uderzających o kołki.

Któregoś dnia przedarł się do nich drużynowy wraz z oboźnym, przynosząc trochę żywności. O codziennym dostarczaniu obiadów nie było nawet mowy. Drzewa w lesie trzeszczały niepokojąco, na ścieżce leżały pnie zwalone wicherem.

Agnieszka i Marcin stosowali zasadę: oblecz, co masz, a wytrzymasz. Jednak pomimo kilku swetrów, wciągniętych jedno na drugie, odczuwali dotkliwy ziąb i zazdrościli praprzodkom człowieka, którzy rozpalali ogniska u wylotu jaskiń. Namiot do tego się nie nadawał.

Jun nie narzekał na chłody. Chroniło go znakomicie ubranie, zrobione jakby z rozprasowanej pianki: ciepłe i miękkie w dotknięciu.

Piąta noc minęła spokojnie i Agnieszka obudziła się wyspana i w dobrym humorze. Myjąc się deszczową wodą, słyszała za przegródką jakieś szepty i śmiechy.

- Halo! - zawołała wciągając sukienkę. - Przyjdźcie dziś do mnie, ugotujemy tutaj śniadanie. Wciąż mam siedzieć na waszych śmieciach?

- Na jakich „śmieciach” - oburzał się Marcin. - Jun, ona nas obraża!

- Moi biedni obrażeni - roześmiała się - wyłaźcie już spod koców i ubierajcie się szybko. Jestem okropnie głodna.

W odpowiedzi rozległy się znów szepty i ściszone śmiechy, po czym Marcin zastukał w słupek, pytając oficjalnym tonem:

- Można wejść?

- Można - powiedziała, wpinając we włosy ostatnią spinkę.

Brzeg szarego koca uniósł się i Jun wszedł za przegródkę z parującym imbrykiem w ręku. Za nim Marcin wniósł tackę z kanapkami, żonglując nią z gracją zawodowego kelnera.

- A to dopiero! - wykrzyknęła patrząc na nich z rozbawieniem. - Już wstaliście?!

- Ha - mruknął Marcin - druhna nas nie docenia! I naszego kąta też. Nie wymawiając, u nas wygodniej, prawda, Jun? Będziemy się tu gnieździć na wyrku u druhny jak kury na grzędzie.

- Przynajmniej raz nie uśniecie po śniadaniu - odcięła.

- A co będziemy robili?

Zwinięta w kłębuszek dziewczyna usiłowała rozgrzać ręce o gorący kubek z herbatą.

- Co będziemy robić? - powtórzyła z namysłem. - Jun, czy mógłbyś, czy zechciałbyś opowiedzieć o dawnych czasach, kiedy twoi przodkowie odwiedzali Ziemię? Zacząłeś mówić o tym, pamiętasz, ale burza przerwała nam rozmowę. Nie wiem nawet, czy dobrze cię rozumiałam. Oni mieszkali wówczas na Atlantydzie, tak?

- Tak. I stamtąd odwiedzali całą Błękitną Planetę. Gdziekolwiek znaleźli ludzi, uczyli ich tego, co sami umieli.

- Ludzie na Ziemi byli wówczas dzicy?

- Dzicy? - nie rozumiał.

- Pierwotni - poprawiła się.

- Zapewne tak. Moi bracia mieszkali dość długo na Błękitnej Planecie, a kiedy już przekazali ludziom to wszystko, co ich zdaniem konieczne jest do życia, odlecieli. Ale nie wszy-

scy. Część ich pozostała na Atlantydzie.

- Czy dlatego, że wyspa była tak piękna?

- I tu pamiętają o tym, że była piękna? - Powiedz, co wiesz o niej?

- Niewiele, Jun. Tyle, że jest to legendarny, opiewany przez poetów ład, wcielenie marzeń o wiecznej wiosnie, o szczęściu, o miejscu na Ziemi, gdzie przez długi czas nie było trosk, nienawiści, chorób.

Skinął głową potakująco.

- A jak to się stało, że przyleciałeś, Jun?

- Przyszedł czas, aby zbadać na nowo te właśnie okolice naszej galaktyki. Niepokojono się, że w ciągu wieków nie nadchodziły żadne wieści z Błękitnej Planety.

- A czemu nie zbadano wcześniej?

- Moi bracia przebywali zbyt daleko. Ale ja urodziłem się już na Atis.

- Czy zawsze latacie w pojedynkę? - nie wytrzymał Marcin.

Jun odpowiedział dopiero po dłuższej chwili:

- Nie.

Agnieszce wydało się, że pytanie chłopca sprawiło przykrość Junowi, skinęła więc na Marcina, że chce przerwać rozmowę.

- Idźcie na spacer - zaproponowała - a ja tymczasem przygotuję coś na obiad. I zabierzcie Gapę.

Zaledwie ucichły kroki i wesołe szczekanie, kiedy na polanie rozległ się znów plusk roztrącanej stopami wody.

„Pewnie ekspres z Serocka i listonosz pofatygował się do nas sam” - pomyślała.

Nasiąkłe wilgocią płótno kaptura zachrzęściło i unoszone zagarnęło do wnętrza zapach mokrej ziemi.

- List? - spytała.

- List - roześmiał się przybyły, zrzucając lśniąca od rosy pelerynę - a właściwie paczka.

I na dodatek obiad.

Głos był znajomy, więc spojrzała uważniej na szczupłą twarz o wydatnych rysach.

- Tak się zmieniłem, że mnie już nie poznajesz, Agnieszko?

- Tadeusz! Ależ zmizerniałeś! I jak się tu dostałeś?!

- Tory naprawiono, więc przyjechałem normalnie, pociągiem. I nie patrz na mnie tak przerażonym wzrokiem, naprawdę czuję się dobrze. Chyba nie wyglądam najgorzej - przeciągnął dłońią po gładko ogolonych policzkach.

- Dobrze wyglądasz, tylko oczy ci wpadły... Czemu nie uprzedziłeś, że przyjeżdżasz?

- Chciałem zrobić niespodziankę. Nie cieszysz się?

- Cieszę się - potwierdziła bez przekonania, myśląc równocześnie z ulgą, że wyprawiła Juna na spacer. - Czy zostaniesz z nami, Tadziu?

- Właściwie tak. Ale, jeśli możesz, zwolnij mnie jeszcze na dzisiejsze popołudnie. Muszę pogadać z chłopakami o meteorytach, bo znów przydźwigają do obozu kupę mokrych kamieni. Opowiem im przy okazji o meteorycie z Orgueil, w którym uczeni znaleźli ślady życia organicznego spoza Ziemi. Ciekawe, co?

- Ciekawe...

- Na jutro PIHM przewiduje pogodę, więc Wiktor wybierze się z chłopcami na poszukiwanie tego utrapionego meteorytu. Ale już po raz ostatni! Co ci jest, Agnieszko, głos jakiś masz zmieniony, nie swój? Gniewasz się, że zostawiliśmy ciebie samą? Wiktor rzeczywiście poszkapił sprawę. Za długo trzymał Antka i tego grubasa u siebie. Ale to się już kończy. Jutro wrócimy wszyscy i będziesz wolna jak ptaszek. Słyszysz, Agnieszko?

- Ależ, Tadziu, było mi dobrze z Marcinem, to naprawdę dzielny chłopak. Zdaje mi się tylko, że druh Wiktor na próżno szuka meteorytu, którego wcale nie było...

- Raczej był znacznie mniejszy, niż przypuszczano. Rzadko spadają z nieba kolosy jak

w Arizonie czy Algierii. Meteoryt pułtuski ważył na przykład zaledwie kilogram i trzydzieści gramów. Niełatwo odnaleźć takie coś wśród mnóstwa kamieni. Ale wyleź, Agnieszko, z tego ciemnego kąta! W obozie cuda opowiadają o tym, jak wypiękniałaś. Pani doktor jest o ciebie zazdrosna. Przyznaj się, może zakochałaś się w jakimś wędrowniku, co? Tylko w kim? Bo tu ani żywego ducha. Namioty zwinięte...

- Napijesz się herbaty, Tadziu? - przerwała mu, szybko zsuwając się z pryczy.

Odetchnęła z ulgą, kiedy nareszcie wyszedł. Co za szczęście, że drużynowy tak uparcie poszukuje nie istniejącego meteorytu. Dzięki temu zyskała pół dnia. Ale Tadeusz wróci naza-jutrz. Jego bystre oczy zauważą każdy szczegół ubrania Juna, sposób mówienia, wszystko...

Zacznie wypytywać: Skąd przyjechał ten Meksykańczyk? Z jakiego miasta? Jak długo przebywa na stacji?

Znała dobrze Tadeusza. On by nie ścierpiął żadnego uchybienia formalnego, zmusi więc Juna do wypełnienia formularza meldunkowego: „Jun Atlan. Przybył z planety Atis, systemu słonecznego Tau Ceti, czyli Wieloryba. Urodzony w roku? Hm. To zależy, jak liczyć czas”.

Nie, Jun nie może tu pozostać. Musi natychmiast odlecieć. Pomieszka kilka dni w swoim pojeździe, a ona tymczasem, uwolniona od obowiązków na stacji, pojedzie do Warszawy i przygotuje spotkanie.

Najgorsze, że dotychczasowy plan bierze w łeb. Schwyciła ołówek i na skrawku papieru notowała:

1. *Telefnować do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, omówić spotkanie.*
2. *Lista osób, z którymi spotka się Jun:*  
*Sekretarz generalny ONZ. Szefowie państw...*

Oderwała ołówek od papieru i zamyśliła się.

A może lepiej, żeby Jun najpierw poznał najwybitniejszych uczonych? Na pewno łatwiej się z nimi porozumie. Kogo wybrać? Energicznie dopisała: *Minister poradzi* - i odłożyła kartkę.

Znacznie pilniejszą wydała jej się sprawa poinformowania Juna o złych stronach Błękitnej Planety. Czasu pozostało niewiele. Trzeba temu poświęcić ostatni wolny wieczór, jaki im pozostał.

Chuchnęła w zziębnięte palce. Jak zacząć? Może nawiązać do przeszłości? Do Atlantydy? Sięgnęła do paczki. Oczywiście, niezawodna pani Anna przesyła potrzebne materiały.

Szybko rozsupłała sznurek i wyciągnęła książkę i list.

*Moje najmilsze dziecko - pisała pani Anna - a to dopiero dałaś mi zadanie. I jakże mam ci przestać „wszystko” o Atlantydzie, skoro na ten temat wydane po dziś dzień tysiące książek, nie mówiąc o tym, że istnieją specjalne pisma poświęcone temu zagadnieniu i że tajemnicą zaginionego kontynentu zajmowali się zarówno literaci i uczeni z prawdziwego zdarzenia, jak też i hochsztaplerzy wraz z pomyleńcami. Znajdziesz w paczce dwa dialogi - Kritias i Timaios - w których Platon, powołując się na Solona, najmędrszego z siedmiu mędrców greckich, podaje dziwną, ale „ze wszech miar prawdziwą” opowieść, zasłyszaną od egipskich kapłanów z Sais.*

*Nie dziwię się wcale, że w czasach, kiedy człowiek sięga w Kosmos, ty, moja miła, chcesz spojrzeć w zamgloną przeszłość, w czasy, kiedy ludzie byli bliżsi gwiazd. Witold sprzecza się ze mną. Jego zdaniem materiały o Atlantydzie chcesz wykorzystać do pisania powieści. Jeśli mój syn tym razem ma rację, proszę cię - pisz raczej o tym okresie Atlantydy, kiedy to, jak mówią legendy, jej mieszkańcy nieśli wiedzę i kulturę do krajów leżących po obu stronach*

Atlantyku.

Najbardziej lubię legendę o Oannesie, który przybył z wyspy na oceanie do kraju międzyrzecza Tygrysu i Eufratu - zamieszkanego wówczas przez lud żyjący na równi ze zwierzętami - i nauczył go śledzić bieg gwiazd, obliczać czas, uprawiać ziemię i budować domy. A także, a może przede wszystkim, przyniósł ze sobą sprawiedliwe prawa i dobre obyczaje.

Z czasem takich jak on nauczycieli uznano za bogów, jak na przykład mitycznego Totha w Egipcie.

Po drugiej stronie Atlantyku spotkasz w legendach Indian również takich samych nauczycieli-bogów: Quetzcoatla, Bochikę, Wotana, Kon Tiki itd.

Po obu stronach Atlantyku nauczali oni podobnie, jak gdyby pochodzili z jednego kraju. I zawsze zjawiali się z Oceanu Atlantyckiego, z wyspy położonej na wschód od Ameryki, na zachód od Eurazji i Afryki. Z wyspy, gdzie nie znano nienawiści, różnic rasowych, gdzie „Czarni i Biali porozumiewali się jednym językiem”, gdzie nie było trosk i chorób.

Jest to jeden z dowodów, że musiała być kiedyś więź między kulturami kontynentów położonych po obu stronach Atlantyku.

Przyznam ci się, Agnieszko, do słabostki. Otóż nie podobieństwo kultur i legend, ani nawet brakujące ogniwa w rozmieszczeniu naszej ziemskiej fauny i flory przekonują mnie o tym, że historia opowiedziana przez Platona jest prawdziwa.

Do mojej wyobraźni trafiają najsilniej opowieści o dziwnym zachowaniu się niektórych stworzeń, które zdają się jeszcze wciąż pamiętać o istnieniu wielkiego lądu na Oceanie Atlantyckim. I tak na przykład, niektóre gatunki ptaków z Labradoru, wbrew ptasim zwyczajom, odlatują na południe - ponad oceanem, jak gdyby wciąż jeszcze czekały, że napotkają na swej drodze Wielki Ląd. Wracają zaś normalną drogą, wzdłuż Andów.

Najmilsza, przyjeżdż. Pokażę ci legendy o Wyspach Szczęśliwych, o wymarżonym Raju Ludzkości. Poczytamy razem poezje, przede wszystkim wiersz Horacego, który lubię najbardziej, a który zaczyna się tak pięknie: „Ocean, który otacza świat, nas wzywa. Popłyniemy na Wyspy Szczęśliwe...”

Zastanowimy się nad dziwnym zjawiskiem, że najstarsze ze znanych kultur zarówno w Azji, Afryce jak i w Ameryce - np. Sumerijska, Egipska czy Tiahuanaco - powstały jak gdyby znikąd, od razu gotowe, wspaniałe i w jakiś sposób do siebie podobne - jak egipska piramida króla Dżesera do piramidy z Pelenque w Meksyku.

Jak sądzisz, czemu indiańskie nazwy Wysp Szczęśliwych (z których przybyli do Ameryki legendarni praprzodkowie Indian), w brzmieniu tak bardzo przypominają Atlantyde: Atlan, Atzlan, Actlan, Tulan Zuiva, Tlapallan...

Ciekawam, czy zgodzisz się ze mną, że pierwszy znany prawodawca Hammurabi - który na stelli kazał wykuć prawa po to, aby „silny nie czynił szkody słabemu, a sierotom i wdowom wskazane było prawo” - mógł wzorować się na prawach Atlantów, którzy wykuwali je także na kamiennych słupach, nie tylko u siebie na wyspach, ale w krajach, gdzie nauczali, jak na przykład w Egipcie, w kraju Siriad...

Lubię podumać nad dziwnymi losami ludzkości, nad jej historią, której początki toną w mroku zapomnienia.

Nikt nie potrafi tak uważnie słuchać, jak ty, i być równie mądrym towarzyszem wędrowek w przeszłość. Na pewno i losy tajemniczych Synów Słońca, którzy czcili tarczę słoneczną, dawcę wszelkiego życia na Ziemi - potraktujesz równie osobiście, jak wszystko, co spotykasz na swojej drodze.

Przypominaliśmy sobie dziś z Witoldem dzień, kiedy przyjechałaś do nas po raz pierwszy: jasnowłosa, malutka, w niebieskiej sukience ze śmiesznymi kieszonkami. Powiedziałaś podając łapkę: „Jestem Aja, a ty?”

Przyjeżdż do nas, czekamy z utęsknieniem. Witold całe dni siedzi w łódce i łapie ryby. „Schudł, szcerniał i dziwnie wyszlachetniał” - mówiąc słowami poety. Żeby jeszcze zgolił



*brodę, byłby z niego całkiem przystojny chłopak. Szkoda, że tego nie dostrzegasz.*

*Przyjedź, Aju najmilsza, czekamy.*

*Zawczasu porządkuję notatki o Atlantydzie, żebyś miała odpowiedź na wszystkie swoje pytania. A czytając Platona nie zapominaj, że on nadal Atlantydzie cechy znanego sobie, ówczesnego świata.*

*Całuję cię*

*Twoja Anna*

Agnieszka odłożyła list. Plan działania zarysował się wyraźnie: najpierw uzyska audyencję w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, potem pojedzie do Serocka po materiały o Atlantydzie.

Ale przed wyjazdem to najtrudniejsze: r o z m o w a z Junem.

Po raz ostatni usiedli razem w dużym namiocie, pod mapą świata. Agnieszka energicznym ruchem przekreśliła gałkę radia. Niech się dzieje, co chce, niech Jun posłyszyna najgorsze!

Jun nie zwrócił uwagi na wiadomość o trzysta dwudziestym dziewiątym posiedzeniu Genewskiej Komisji w sprawie zaniechania doświadczeń z bronią jądrową. A kiedy Agnieszka sądziła, że on słucha uważnie zapowiedzi wystrzelenia następnego amerykańskiego kosmonauty, Jun zwrócił się do niej:

- Odprowadzisz mnie? Lepiej, żebyś leciała do Warszawy, a nie jechała. Nauczę cię, jak się lata, bo nad Warszawą polecisz już sama.

- Jun, muszę z tobą pomówić.

- O Atlantydzie? Zabiorę ze sobą książkę, jeśli pozwolisz. Czy list można przeczytać?

Godziny przed odlotem stanowczo nie nadawały się do przeprowadzenia zasadniczej rozmowy.

Marcin terkotał wciąż o Warszawie, namawiając, żeby się zatrzymała u jego rodziców; doradzał, gdzie ma lądować; wykreślał dokładny plan domu, gdzie mieszkali.

- Naszą klatkę schodową łatwo poznać po tym, że na dole u państwa Kawalczyńskich wycieraczka jest przytwierdzona do progu dość sobie grubawym łańcuszkiem, ale skrzynka do listów tych państwa jest zawsze otwarta... - mówił i dziewczyna nie mogła go nawet prosić, żeby odłożył wyjaśnienie na później.

Kiedy się ściemniło, Jun i Agnieszka ubrani w skafandry wyszli na polanę. Gapa, czując, że ją znów pozostawiają, piszcziała żałośnie.

- A może zabierzesz ze sobą Gapę? - spytała Agnieszka.

- Och - ucieszył się Jun - Gapa, chcesz lecieć ze mną?

- Na pewno chce. Widzisz, jak się cieszy. Ona wyraźnie cię faworyzuje.

Jun pochylił się i psiak skoczył mu na ramiona.

Marcin pozostał w namiocie, a oni poszli ścieżką w stron», lasu. Dał chłodny wiatr, przepędzając chmury.

- Spójrz - zatrzymał się Jun i wskazał szeroki, jasny pas Mlecznej Drogi - to Śnieżna Zamięć. A to Wielki Wóz. Dalej Gwiazdny Ptak. Niebo tu jest takie samo jak na Atis. Szkoda, że brakuje gwiazdozbioru, na tle którego widziałem Słońce, jako daleką gwiazdę. To ono mnie pociągało ku sobie. Marzyłem - tak mówicie, prawda? - m a r z y ł e m, że dolecę do niego i zobaczę Wyspy Szczęśliwe, na których pozostali nasi bracia.

- Ocean, który otacza świat, nas wzywa - powiedziała cicho - popłyniemy na Wyspy Szczęśliwe.

- O czym mówisz? Co to jest?

- Początek wiersza Horacego.

- Ocean, który otacza świat, nas wzywa - powtórzył - popłyniemy na Wyspy Szczęśliwe... Popłyniesz ze mną na Atis?

Myślała, że żartuje.

- Chociaż konstelacje gwiazd są u was takie same, Atis jest zbyt daleko od Warszawy! Zatręskniłabym się...

Na niebie występowały coraz liczniejsze gwiazdy. Miała wrażenie, że bezkres nieba przyzywa ją ku sobie. Pierwsi żeglarze czuli zapewne to samo - nad wodami oceanu. Teraz z kolei Kosmos otwierał się przed ludzkością, przed wszystkimi mieszkańcami Ziemi, a nie tylko przed tymi, „którzy jak Kolumb popłynęli w Nieznane i – powrócili”.

Milcząc podała mu rękę.

Dotknął jej hełmu i odbiła się od ziemi tak lekko, jakby nagle pozbawiona ciężaru, a błękitna kopała nieba zdawała się wciągać ją w swoją głębię, do oceanu, który otacza cały świat.

## ZAGUBIONY ŚLAD

Antek i Dondek zjawili się z samego rana.

- Tadeusz zaraz przyjdzie - wołali jeden przez drugiego. - Marcin, masz kartkę z domu.

Grubas podał „pocztę” i rączko pomknął do spiżarni, twierdząc, że bez niego nikt tam na pewno nie robił porządków.

- Żałuj, żeś nie był na wyprawie - powiedział Antek, stając obok przyjaciela - co prawda tośmy guzik znaleźli, a nie meteoryt, ale było wspaniale. Spotkaliśmy prawdziwego Murzyna z Ghany, studenta Politechniki Warszawskiej. Fajny chłop! Dziadek senior sfotografował go z naszą grupą i obiecał przysłać odbitki. A wczoraj w nocy mieliśmy alarm. Milicja goniła chuliganów, którzy wybili szyby w gospodzie. Ciekaw jestem, czy był z nimi ten drab, który dręczył Gapę, ten Skuternoga z „Wieloryba”.

Na matowe policzki Agnieszki wystąpiły rumieńce i Marcin wyczytał w jej oczach wszystkie myśli Plutarcha o gadułach. Unikając jej spojrzenia, zaczął czytać kartkę.

- Och - powiedział, żeby zmienić temat - tata pisze, że niektóre przesady są bardzo stare, już Babilończycy uważali, że jeśli kot przebiegnie im drogę, to lepiej zawrócić, bo i tak nic się nie uda. Aha, i jeszcze dodaje tata, że gdyby ludzkość tak samo dobrze pamiętała o swoich osiągnięciach w dziedzinie nauki, to nie byłoby okresów ciemnoty: na tabliczce znalezionej na wzgórzu w Kujundzuk zapisane jest działanie matematyczne z wynikiem sto dziewięćdziesiąt pięć milionów dziewięćset pięćdziesiąt pięć tysięcy dwieście.

- Kot wcale nie przynosi pecha - oświadczył Antek - ładnie bym wyglądał, żeby mnie spotkało co złego za każdym razem, kiedy mi Amik przebiega drogę. A gdzie jest Gapa? Gap, gap, gap, chodź tutaj!

- Gapa znalazła właściciela - wyjaśniła Agnieszka tonem nie zachęcającym do dalszych pytań.

- Muszę odpisać rodzicom - zawołał Marcin i pobiegł do stolika pod buczkiem.

Długo wyrównywał kartkę papieru, wypróbował pióro, szukał natchnienia w białych obłokach, przepływających wolno po niebie. Wiedział z doświadczenia, że listy pisane w tak nie sprzyjających okolicznościach wypadają zawsze na „śmy” i na „się”, na przykład: Czuję s i ę dobrze. Chodzili ś m y na wycieczki. Oglądali ś m y piękne widoki.

Właściwie mógł nie pisać. Wkrótce obóz się skończy. Pojedzie z rodzicami na wyspę Wolin. Tak niedawno jeszcze ta wyprawa była szczytem jego marzeń. Teraz jednak pragnął

zostać tu jak najdłużej, być blisko Juna, polecieć razem z nim jak Agnieszka.

A może zostać? Może rodzice się zgodzą? Pióro zaczęło zwawo biegać po papierze.

*Kochani Rodzice i droga Babciu!*

*Czy mógłbym przyjechać do Was później, od razu do Międzyzdrojów? Chciałbym jeszcze pójść na wycieczkę. Czuję się dobrze. Huragan nie wyrządził nam żadnej krzywdy. Dziś rozstawimy namioty, które trzeba było zwinąć. Turystów na razie nie widać. Ostatnią kartkę mogłem wystać do Was dzięki drużynowemu, który nas odwiedził podczas burzy.*

*Całuję Was*

*Wasz Marcin*

We wnętrzu namiotu połyskiwały jasne włosy Agnieszki. Chłopiec słyszał, jak prosiła Antka i Dondka, żeby po jej wyjeździe nadali do Wetliny paczkę z rzeczami, które nie mieściły się w plecaku. Potem zabrali się wszyscy do rozstawiania namiotów.

Chłopiec na próżno usiłował porozmawiać z Agnieszką. Zmieniła się znów w dawną surową Miss Quiz. Pytania zbywała krótkim słówkiem: Później.

Po obiedzie zajęła się przekazywaniem Tadeuszowi stacji i nie mógł nawet do niej się zbliżyć.

Przy kolacji powiedziała:

- Pożegnaj was od razu i bardzo proszę cię, Tadiusz, żeby mnie nikt nie odprowadzał, wyjadę jutro najwcześniejszym autobusem.

Marcin nieśmiało podał jej list. Wsunęła do kieszeni i nie patrząc na chłopca rzuciła w przestrzeń:

- Na pewno doręcę.

O świcie Marcina obudziło szarpnięcie. Przechylony ze swej pryczy Antek tarł go za ramię:

- Wstań! Nie ma druhny Agnieszki!

- Nie ma? - powtórzył i ziewnął, żeby zyskać na czasie. - No to co? Przecież miała wyjechać.

Na polance przed namiotem ścieliły się poranne mgły. Z lasu odzywał się nieśmiało pierwszy świergot ptaków.

- Ale ona wyszła w nocy. I ubrana była jakoś dziwnie, w skafander czy coś takiego...

- Przyśniło ci się.

- Nie jestem ani tobą, ani Dondkiem i nie mam przywidzeń. Mniejsza zresztą o ubranie, w ciemności wszystko wygląda inaczej. Ale dokąd poszła? Przecież tu nie kursują nocne autobusy? Czekam i czekam, ale ona nie wraca!

Masz tobie. Antek gotów zaalarmować Tadeusza i nawet komendę. Zaczną się poszukiwania, telefony.

- Agnieszka jest lunaticzką - próbował żartować.

- Nie wygłupiaj się, jeszcze nie pełnia!

- Więc może to było jej widmo?

- Jakie znów widmo, lebiego?

- Jak nas poucza nauka...

- Marcin! - w głosie Antka zabrzmiało oburzenie.

- Czego się gniewasz, nie słyszałeś o widmie słonecznym? A może chcesz burego petita?

Antek odwrócił się do niego plecami. Wystarczyło wyciągnąć rękę, odezwać się serdeczniej, odpowiedziałby żartem. Ale wówczas trzeba powrócić do rozmowy o Agnieszce,

wyjaśnić, że poleciała do Warszawy, a nie pojechała.

Nie mógł przewidzieć, co zrozumie Antek z jego opowiadania. Od pewnego czasu zauważył, że ludzie nieraz wkładali wiadomości do niewłaściwych „szufladek”, łączyli je nieoczekiwanie z faktami, z którymi one nie miały żadnego związku, i uparcie twierdzili, że mają rację. Może zresztą i on sam kojarzył wadliwie fakty, tworząc przedziwne całości, jakież k o t y z głowami p s ó w?

Należy mówić tak, aby słuchający dobrze rozumiał, o co chodzi. A jak miał opowiedzieć Antkowi o tym, co przeżył w ciągu ostatnich dni? Jak miał dowieść, że Jun naprawdę przyleciał z planety słońca Tau Ceti? Nie. Lepiej milczeć. Nie wolno narażać Juna na niebezpieczeństwo.

W Warszawie wszystko się wyjaśni - pocieszał siebie. Jun, nawet w nawale zajęć i spotkań z ważnymi osobistościami, znajdzie dla niego chwilę czasu, przecież obiecywał mu to przy pożegnaniu... Wówczas Antek także pozna Juna i dowie się o wszystkim...

Dzień zaczął się źle. Marcin snuł się dokoła namiotów, czekając nie wiadomo na co. Tadeusz wprowadzał nowe porządki. Kamień zdjęto z poprzeczki, a objaśnienia z tablicy. Odtąd stacja „Pod Planetą” miała ogłaszać wyłącznie wiadomości serio.

Przed południem rozzwoniła się międzymiastowa. Długo huczało w słuchawce przy akompaniamencie przeciągłego wołania:

- Tu Warszawa, Warszawa, Warszawa...

Kiedy stracił nadzieję, że posłyszysz coś więcej, z oddali przypląnął głos Agnieszki:

- Halo! Stacja? Tadeusz? Nie? Ach, to ty, Marcin, jak to dobrze, właśnie dzwonię do ciebie. Marcin, słuchaj, jestem niespokojna o Juna. Wolałabym, żebyś z nim był. Czy chcesz?

Marcin nie mógł wydobyć z siebie słowa.

- Twoja matka się zgadza - mówiła dalej Agnieszka. - Uważa, że trafisz sam do Międzyzdrojów. Więc jak? Pojedziesz? Dziś? Zaraz?

- Tak - odpowiedział basem, bo nagle zachrypl.

- Dać ci aspiryny? - spytał Antek zaglądając do namiotu.

Machnął ręką, żeby mu nie przeszkadzał. Głos Agnieszki oddalał się, zatracił w szumie, w gwizdach i w pytaniach telefonistki:

- Mówi się? Mówi się? Mówi się?

- Jedź zaraz, Marcin?! Słyszysz?

- Ale ja nie znam drogi! Jak się tam idzie?

- Do Berechów Górnych i dalej za znakami. Sprawdzisz na mapce, leży w zielonej tece!

Mapka?! Zupełnie o niej zapomniał!

- Czy na pewno?! - krzyknął, ale w słuchawce słyhać było tylko dalekie rozmowy i monotonne, zagłuszające wszystko pytanie:

- Mówi się? Mówi się? Mówi się?

Chwila ciszy i telefonistka oznajmiła wyraźnie, gdzieś blisko:

- Warszawa się rozłączyła. Koniec rozmowy.

- Kto dzwonił? - spytał Dondek, włączając do namiotu z kromką chleba w garści.

- Z Warszawy. Muszę wyjechać - i podbiegł do stolika.

Zielona teczka leżała na samym wierzchu. Po kolei odkładał kartki, notatki. Mapy nie było. Całą godzinę przesiedział pod buczkiem, usiłując odtworzyć zagubioną trasę. Wszystko na nic. Widział ją przecież tylko raz, przelotnie, zaglądając Agnieszce przez ramię. Co to mógł być za szczyt? Jawornik? Nasiczne? Czemu nie spytał, przynajmniej o to?

Mimo woli spojrzął na pień buka, może kartkę wiatr podczas burzy porwał i zawiesił między gałęziami albo cisnął na trawę. Ale gdyby nawet tak było, deszcze zmyłyby rysunek.

Antek małymi grabkami starannie wygrzebywał wydeptaną trawę, udając, że nie zwraca uwagi na przyjaciela.

- Czego szukasz - spytał wreszcie - może ci pomóc?

- Ach, nic takiego...
- Kiedy będziesz w Międzyzdrojach?
- Nie wiem.
- Jak to nie wiesz?
- Bo ja najpierw... jadę gdzie indziej. Będę na razie tu niedaleko...
- Aha, w Wetlinie, rozumiem.
- W pobliżu Wetliny...
- Jeszcze jedna tajemnica - z żalem powiedział Antek.

Pożegnanie wypadło chłodno. Tadeusz załatwiał jakieś sprawy Z grupą turystów, którzy zjawili się po obiedzie. Zawołał:

- Cześć, Marcin! Życzę słonecznych dni nad morzem!

Antek podał rękę jak komuś obcemu.

- Do widzenia! Wcale się nie dziwię, że wolisz wyjechać. W tym roku wakacje się nie udały.

W pośpiechu chłopiec zapomniał o Dondku, ale ten dogonił go na skraju polanki i wsunął do plecaka pękata torebkę sporych rozmiarów.

- Chcesz jechać bez zapasów? - mruknął z wyrzutem. - Jak się je, to się lepiej myśli!
- Do widzenia, Dondek, dziękuję!

I chłopiec odwrócił się, żeby spojrzeć raz jeszcze na rozłożysty buczek, w cieniu którego tak przyjemnie było wypoczywać. Na antenie, gdzie lubiły siadywać sikorki, kołysał się błękitnostalowy kowalik.

Coś zachrypiało, ryknęło... ptak poderwał się do lotu.

„Gdy mi ciebie zabraaknie...” - rozjęczała się melodia.

- Dobrze, że Gapy nie ma - westchnął Marcin - zaraz wyciem wzmocniłaby refrenik. - Za czasów Agnieszki rzadko zdarzały się takie okazje. Tadeusz wypłoszył wszystkie ptaki w okolicy.

- Ale turyści z daleka usłyszą naszą stację - odparł na to spokojnie Dondek - a my przecież jesteśmy dla turystów.

I przyjaźnie pomachał ręką na pożegnanie, tak zabawnie, jak gdyby trzepał niewidzialną ściereczkę.

Droga była koszmarna. W autobusie tłok i ścisk nie do wytrzymania, a na domiar złego konduktor wzbraniał się otworzyć okna. Potem Marcin rozpoczął mozolne wspinanie się pod górę, co było tym przykrejsze, że nie wiedział na pewno, czy to jest szczyt, na którym znajdzie Juna. Zmachany przedzierał się chaszczami, wspominając serdecznie na każdym postoju grubego Dondka. Pajdy chleba z serem i dżemem dodawały sił. Starał się odpoczywać na polankach zarosłych kępami jagód i gasił pragnienie, pakując do ust garście liliowych owoców.

Minął pas mieszanego lasu, buczyny, jodeł i jaworu, przeskakując pnie starych drzew, które zagradzały drogę. Góra wyglądała jak Jasiel, o którym dawniej mawiano, że nie stanęła na nim noga ludzka. Ptaki przelatywały nad głową, nawołując się miękko.

Drzewa nareszcie zaczęły rzednąć, między konarami prześwitywało niebo. Stare, wypróchniałe jodły o korze osrebrzonej porostami wyciągały ku niebu połamane wichrami gałęzie. Po trawie i kamieniach płużyły się grube konary dziwnych, poskręcanych jakby w męce buków. Nigdzie ani śladu ludzkiej obecności. Siadł na skałce i patrzył z rozpaczą na podłużne pasma gór, ciągnące się równolegle jedno za drugim, aż do wału koralowych chmur na horyzoncie, nad którymi wisiało miedziane słońce, powoli zsuwające się w morze czerwieni.

Przytłaczał go ogrom i pustka. Gdzie szukać Juna? Na której z połonin rozsypanych na grzbietach jasnymi plamami? Które turniczki, rumowiska, grzebień skalne zasłaniają mu

widok na pojazd Juna? Co robić: wracać czy też wdrapywać się po kolei na wszystkie sąsiednie szczyty?

- Jun - zawołał głośno - Jun, gdzie jesteś?!

Płomienny rąbek słońca jarzył się jeszcze na horyzoncie, ale cienie gęstniały i zaścielały stopniowo dolinki. Słońce malowało czerwienią już tylko wierzchołki drzew i zębate skałki.

Szybko zbliżała się noc.

## SYNOWIE SŁOŃCA

Jun odwiózł Agnieszkę małym pojazdem w pobliże Warszawy. Wśród bezładnie rozrzuconych świateł odcinała się wyraźnie linia Wisły obrzeżona płonącymi latarniami.

W mglistej ciemności dalszą drogę wskazywał dziewczynie wierzchołek Pałacu Kultury, błyszcząc krwawo jak planeta Mars.

- Pora na mnie - powiedziała spoglądając w dół, gdzie jasnym wężykiem wił się pociąg.  
- Jakie to zabawne, że wyskoczę w nic, w pustkę... Do widzenia, Jun.

Ujął oburącz jej rękę.

- Cieszę się, że zobaczę tych, których cenisz - powiedział - cieszę się, że mieszkańcy Błękitnej Planety są tacy jak ty i jak Marcin. Będę czekał na ciebie...

Chciała krzyknąć: „Jun! Nie znasz całej prawdy, posłuchaj!” - ale na wschodzie niebo przecięła jasna pręga zwiastująca świt.

Niepodobna było zwlekać. Musiała przecież znaleźć się w Warszawie, zanim się rozwi-  
dni.

Uniosła ramiona i skoczyła jak z trampoliny. Tuż obok niej jeszcze raz przesunęła się burta pojazdu Juna i spojrzały serdecznie ciemne oczy.

Leciała na dość dużej wysokości. Czerwone snopy iskier, wzbijające się nad tramwajami i trolejbusami, ukazywały czasem pajęczą sieć przewodów rozpiętą nad ulicami.

Dopiero nad dawnym polem Mokotowskim zaczęła opadać i wylądowała na cichej ulicy Wołoskiej, za białym domem, obok którego złociły się jasne liście małego drzewa. Dokoła pusto. Szybko ściągnęła skafander i wsunęła go do plecaka.

Dzień zapowiadał się pięknie. W Warszawie nie pozostało ani śladu po niedawnym okresie niepogody. Wolniutko poszła ścieżynką wzdłuż ogródków, zbacząc czasem na garbek pokryty trawą, w miejscach gdzie gałęzie żywopłotu zagradzały drogę.

Kamienice ciągnęły się tylko po jednej stronie ulicy, a w niektórych oknach błyskały już światła. Po drugiej stronie, w kierunku Raławickiej, majaczył w półmroku gmach szpitala. Zgodnie ze wskazówkami Marcina skręciła obok śmietnika i trzepakzki na osiedle Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Cisza panowała na wewnętrznym podwórku. Porzucone zabawki leżały w piaskownicy.

Przy zielonej ławce zatrzymała się. Policzyła okna na pierwszym piętrze i odetchnęła z ulgą. Ktoś nie spał u państwa Więckowskich. Można było wejść do nich i odpocząć.

Wolniutko wchodziła po schodach, długo wycierała nogi, zanim zdecydowała się zapukać.

- Kto tam?

- Agnieszka Janicka ze stacji „Meteo”.

- Ze stacji „Pod Planetą”, bo „Meteo” to nic nazwa, tylko NIEWIADOMOCO - poprawił ją ze śmiechem kobiecy głos i drzwi otworzyły się szeroko.

Wysoka pani spjrzała na nią jasnymi oczyma Marcina.

- Agnieszka! - zawołała. - To tak wygląda Agnieszka? Mam nadzieję, że nic złego się nie stało?! Nie? Niczego mój syn nie zmalował? Żadna rakieta nie wylądowała w namiocie, żaden niedźwiedź nie został oswojony?

- Nie - odpowiedziała dziewczyna - wszystko w porządku. Bardzo przepraszam za nieoczekiwane najście. Mam do załatwienia kilka spraw i Marcin zaproponował mi... w lecie Dom Akademicki jest zamknięty, a ja...

- Nie tłumacz się, moje dziecko - i pani Więckowska wciągnęła ją za rękę w głąb przedpokoju - świetnie zrobiłaś. To ja przepraszam, że mówię bezceremonialnie po imieniu do kierowniczkii stacji i przełożonej mego syna. Ale cóż, na upartego mogłabyś być moją córką. Dlatego posłuchaj dobrej rady. Zanim wyjdiesz załatwiać swoje ważne sprawy, połóż się i zaśnij. Musisz nabrać sił, bo dziś będzie trudno gdziekolwiek się dostać. Rozgość się w pokoju Marcina albo jeszcze lepiej u nas, bo tu jest telefon. Mąż wyjechał służbowo i wróci dopiero pojutrze, a ja zaraz wychodzę do szpitala. Moja matka zajmie się tobą jak rodzoną wnuczką. Nie może odżałować, że Marcin jest chłopaczyskiem. A jak tam Marcin?

- Mam list od niego - Agnieszka sięgnęła do kieszeni.

- Tym razem krótki! - rzadko się to zdarza memu synowi - zauważyła pani Więckowska i przebiegła oczyma kartkę papieru.

- No, no - uśmiechnęła się - świetną musisz być kierowniczką, skoro Marcin pragnie dłużej pozostać na stacji. Niech zresztą zostanie, niech idzie na tę wycieczkę w góry. Znajdzie nas łatwo w Międzyzdrojach.

Agnieszka obudziła się, kiedy słońce stało już wysoko na niebie. Na stolyczku obok łóżka ktoś pozostawił dla niej talerzyk ze słodkim ciastem, spodek z dżemem i termos.

- Css - posłyszwała szept w przedpokoju - nie hałasuj, Joasiu, bo obudzisz...

- Panią doktor? - spytał dziecięcy dyszkancik.

- Nie. Koleżankę Marcina.

- Aaa - powiedziała dziewczynka - to ja przyjdę do pani doktor jutro.

- Przyjdź, przyjdź - i drzwi stuknęły, zamykając się za małym gościem.

Agnieszka zsunęła się z tapczana. Książka telefoniczna leżała na jesionowym stoliku obok aparatu telefonicznego.

Dziewczyna podniosła słuchawkę i wybierała numer, a czarna tarcza okręcała się z niepokojącym syczeniem.

- Gabinet ministra - odezwał się męski głos.

- Chciałabym mówić z panem ministrem...

- W jakiej sprawie?

- W... sprawie przylotu kosmonauty...

- Gagarin wylądował na Okęciu o trzynastej. Mogłaby pani zdobyć tę wiadomość w każdej redakcji, u każdego milicjanta.

- Kiedy mi nie o Gagarina chodzi.

- A o kogo?

- O kosmonautę, który przyleciał z planety innego systemu słonecznego i właśnie...

- Droga pani - głos stał się niemiły, zirytowany - dziś nie prima aprilis!

Odłożyła słuchawkę jak jadowitego węża. Nie uwierzono jej. Nie dostanie się do ministra. Trzeba będzie prosić o pomoc państwa Więckowskich. To znaczy dopiero jutro. A może tymczasem poradzi coś pani Anna? Może Witold, który ma w Warszawie tylu znajomych?

W każdym razie uzyskanie audiencji u ministra będzie trwało przynajmniej kilka dni. A Jun pozostał sam na szczycie. Gdyby chociaż Marcin był przy nim!

Szybko nakręciła numer międzymiastowej.

Błękitne wody Bugo-Narwi rozlewały się szeroko, przecięte gdzieniegdzie żółtymi wzgórzami wałów, które miały zmienić bieg rzeki. Pani Anna przysłoniła ręką oczy. Ktoś szedł do niej od strony migocącej w słońcu wody. Na pewno nie Witold, bo nie sterczały nad głową idącego długie wędziska. Pani Anna przymknęła powieki. Wzrok jej nie dopisywał. A przecież kiedy Witold był chłopcem, odróżniała jego sylwetkę nawet w łódce na środku rzeki.

„Kto to może być? - rozważała, wycierając mimowolnym ruchem ręce w kolorową ściereczkę i odstawiając z kolan na ławkę miskę z porzeczkami. - Na pewno jakaś kobieta, bo w ręce trzyma coś różowego. Kwiaty, a może szal? Jedna z warszawskich kum, która chce wykorzystać wolne popołudnie na odpoczynek nad wodą? Czy też któraś z miejscowych działaczek z prośbą o pomoc w pilnej sprawie?”

W każdym razie gościa należało poczęstować herbatą. Kruche ciasteczka i konfitury zawsze były w domu przygotowane na takie okazje.

Piaszczysty wzgórek zasłonił zbliżającą się, teraz gość stanie się widoczny dopiero przy furtce.

- Dzień dobry - posłyszała za sobą znajomy głos.

- Agnieszka! - wykrzyknęła, odwracając się. - Córuchna. Nie poznałam ciebie z daleka! Tak cicho podeszłaś. Że też Lord państwa Kopińskich nie zaszczekał. Od razu domyśliłabym się, że to ty idziesz naszym skrótem!

- Przyzwoity pies nie obszczekuje swoich przyjaciół - powiedziała Agnieszka.

- Może jesteś zmęczona, głodna? Na obiad jak zwykle ryby. Witold dostarcza codziennie świeżych. Ale ty wolisz zsiadłe mleko, ser i jajka, prawda?

- Oczywiście, że tak!

- Więc skocz, córeńko, do naszej znakomitej l o d ó w k i i wyjmij te wiktuały. A nie chciałabyś wypocząć?

- Dziękuję. Wyspałam się u rodziców Marcina, mojego pomocnika ze stacji. O której przyjdzie Witold?

- Prawdopodobnie o zmroku, jak co dzień! Dzięki tobie zjem obiad o właściwej porze, i nie sama.

Mały dom, opleciony dzikim winem, uginał się po prostu pod masą liści i pędów. W miskach na ławie czerwieniły się porzeczki. Widok był tak znany i swojski, że dziewczyna zapomniała na chwilę o wszystkich kłopotach.

Przebiegła podwórko i u stóp wzgórza, na którym rosły owocowe drzewa, pochyliła się nad studnią. Chłodny, wilgotny łańcuch sparzył jej ręce.

- Hop, hop! - zawołała do własnego odbicia, które chybotliwie kołysało się w lusterku wody, a głos zadudnił głucho, odbity o cembrowinę.

- Ukroić masła czy zabrać całą osełkę? - krzyknęła w stronę domu, wyciągając wiadro, które w tym małym gospodarstwie służyło w lecie jako lodówka.

- Wszystko zabierz, tu odkroimy! I urwij, bądź dobra, trochę pietruszki i szczypiorku w ogródku. Masz młode nogi, to dla ciebie głupstwo.

Z koszykiem pełnym zapasów Agnieszka wróciła do domu. W znajomej ciemnej sionce dostrzegła kadź z zapasem wody. Napełnianie jej było stałym obowiązkiem Witolda.

W kuchni pani Anna nastawiała ziemniaki na elektrycznej kuchence.

- Gazu jeszcze nie ma?

- Nie ma, kochanie.

W pokoju pani Anny - kolorowym i przytulnym, pełnym książek, kwiatów i pięknej ceramiki, stał stół nakryty barwną serwetą. Agnieszka postawiła na nim ser i chleb, po czym dawnym zwyczajem zajrzała do sąsiedniego pokoju, gdzie znajdowała się półka z ulubionymi książkami Witolda. Tu wszystko wyglądało inaczej, Witold hołdował niemal spartańskiej prostocie.

Na podpórkach leżał sprzęt rybacki. Srebrzyły się metalowe rybki, czerwienią błyskały



pławiki. Okno zasłaniał kawałek sieci. We wnęce wisiały brezentowe ubrania i szerokoskrzydły rybacki kapelusz.

Agnieszka sięgnęła po książkę leżącą na wierzchu, przerzuciła kartki, z ciekawością przyglądając się polarnym krajobrazom.

- Już się zaczytałaś! - stanęła w progu pani Anna.

- Okazało się, że nie znam „Tajemnic szóstego kontynentu” - odpowiedziała zamykając książkę. - Nie wiedziałam, że Antarktyda została nazwana „Kontynentem Nauki”, „Kontynentem Pokoju”. A to ważne...

- Kochana moja, zjedz najpierw cokolwiek. Ziemniaki już gotowe!

Usiadły przy stole.

W ścianach tego mieszkania jakoś nie mieścił się Jun ze swoimi sprawami przybysza z dalekiej planety Atis.

Agnieszka gotowa byłaby uwierzyć, że jego przylot przyśnił się jej tylko. Jedyne realna była tu Bugo-Narew, błyskająca za oknami, nagrzane słońcem liście winorośli, chwiejące się na tle firanki jak zielona koronka, i serdeczne spojrzenia pani Anny.

- Wujek pisał? - dopytywała się pani Anna, napełniając jej talerz zsiadłym mlekiem, którego białe bryły wyglądały niby lodowa kra.

- Pisał. Zaprasza do siebie na kilka lat, żebym mogła spokojnie studiować.

- I pojedziesz? W taką dał, do Australii?

- Złożyłam papiery w biurze paszportowym, zobaczymy, co z tego wyniknie.

- Ale nie zostaniesz na zawsze z kangurami?

- Jakżebym mogła żyć bez Warszawy i Serocka?

- Z Serockiem skończy się wszystko, jak tylko założysz własną rodzinę. Nie zaprzeczaj. Wiem, że nie chciałabyś tego, ale życie ma swoje prawa. O jedno mam do ciebie żal, kochana, że nie chcesz wyjść za Witolda.

- Ależ on ma sympatię! I wcale mnie o rękę nie prosił!

- Kogo nazywasz „sympatią”, tę osóbkę z włosami lila i z wyskubanymi brwiami? Powiedział sam, że to nie jest „serio”. On naprawdę jest tylko do ciebie przywiązany.

- Jak brat. Jak najrodzeńszy brat. I bardzo sobie cenię jego braterskie sentymenty.

Pani Anna westchnęła.

- Pożałujecie z czasem oboje swej lekkomyślności. I z kim mogłoby ci być lepiej, najmiłsza, jak nie z nami. Zawsze możesz na nas liczyć.

- Wiem. Toteż żyć wam nie daję depeszami i prośbami.

- Ach, w sprawie Atlantydy. Dostałaś, córuchno, moją paczkę? Przydała ci się?

- I jeszcze jak! Chciałabym wiedzieć jak najwięcej o Synach Słońca.

- Wiedziałam, że będziesz o nich myśleć, ty też uwielbiasz słońce jak i ja.

W sionce zabrzczało stawiane wiadro.

- Witold - spytała pani Anna - tak? Umyj ręce i chodź na obiad. Mamy gościa! Cóż to się stało, że dziś wróciłeś wcześniej?

- Ryba nie bierze - donośny bas młodego człowieka wypełnił małe mieszkanko.

- Tylko dlatego? - powiedziała pani Anna z naganą w głosie.

- Przepraszam - poprawił się, stając w progu. - Wyczułem, że Agnieszka przyjechała. Jak się masz? Wyładniałaś, słowo daję. Przy ciemnej cerze włosy masz całkiem złote. Ostatnio, muszę wam powiedzieć, zniechęciłem się do fiołkowych, wyglądają ładnie tylko parę dni, a potem głowa jest w dwu kolorach. Mamo, będziesz musiała jednak wpłynąć na Agnieszkę, żeby wyszła za mnie.

- Wstyd mi za ciebie! - czarne oczy pani Anny rozbłysły nieudawanym gniewem. - Cóż to za mężczyzna, który wzywa pomocy przy zdobywaniu ukochanej. Naprawdę, jeszcze trochę, a zamienisz się w zimnokrwistą rybę!

- Mamo, zamiast mi pomóc, jeszcze mnie oczerniasz? - powiedział z komicznym

wyrzutem. - Na brodę Mahometa i moją własną, cóż to za matka wyrodna! Nie słuchaj mamy, Agnieszko, i nie bój się ani mnie, ani ryb, ani Bugo-Narwi. Zapraszam cię na przejażdżkę łódką. Zobacysz cuda i dziwy. Współcześni ludzie nie zdają sobie sprawy z tego, co się dzieje dokoła nich. Posłuchają jednym uchem tego, co różni faceci szczebiocą w radio, i uważają, że wszystko wiedzą. A życia trzeba dotknąć, trzeba je zobaczyć samemu. Napisz, Agnieszko, powieść o ludziach Bugo-Narwi. Nie masz pojęcia, jacy są wspaniali! I to, co robią, jest znacznie ciekawsze od wszystkich bajd o Atlantydzie.

- Chcesz mi pokazać współczesne dziwy? - powiedziała dziewczyna, odkładając ciastko. - To brzmi zachęcająco. Powiedz w takim razie, co byś pokazał przybyszowi z innej planety. Co uważasz za najciekawsze, najbardziej wartościowe na naszym globie?

- Kapitalny temat! - wydał wargi Witold. - Mamuśku, nalej mi więcej tego pysznego mleka! A więc co bym pokazał? Hm. Przede wszystkim zaprowadziłbym go na którąś z międzynarodowych narad.

- Na którą?

- Trudny wybór. Nie ma dnia, żeby w stolicach wielkich i mniejszych państw nie odbywały się takie konferencje. To jest chyba najbardziej charakterystyczny objaw naszej epoki, znak scalania się świata, który jednoczy się, wbrew wszystkim trudnościom politycznym.

- Witold, jesteś strasznie mądry! Mów dalej.

- Mamo, pomimo twoich knoń moje szanse rosną. - Witold wyprostował się i poglądził brodę dumnym gestem. - Pytaj, Agnieszko, otworzę przed tobą skarbnicę mojej mądrości, niech tylko przełknę kawałek chleba z masłem...

- Od czego byś zaczął, Witold?

- Pokazałbym zgodną współpracę przedstawicieli dwunastu narodów na Antarktydzie, potem wielkie inwestycje, robione dla człowieka, a nie przeciw człowiekowi, to znaczy w pokojowej intencji.

Wybór ogromny. Ale ja, oczywiście, chociaż nie jestem szowinistą, pokazałbym przede wszystkim stopień wodny na Bugo-Narwi, który, jak wiadomo, ma stanowić część warszawskiego węzła wodnego. Wał i siłownia już są budowane. Pokażę ci, Agnieszko. A za parę lat przyjedziesz tu podziwiać wspaniałe tereny wczasowe na sześćdziesiąt tysięcy osób.

- Witek, powiedz, kogo byś zawiadomił o zjawieniu się gościa z innego układu słonecznego?

Młody człowiek skrzywił się, jak gdyby rozgryzł coś gorzkiego.

- Nikogo - powiedział po chwili.

- Jak to n i k o g o? Jeśli chcesz pokazać mu Ziemię, musisz zawiadomić o jego obecności... i właśnie, kogo należy zawiadomić w takim wypadku? Kogo najpierw?

- Milicję - mruknął. - Sam nie wplątywałbym się w tak niepewny interes.

- Co ty pleciesz? - oburzyła się pani Anna.

- Kochana mamo, monsieur Adamski ośmieszył dostatecznie „Wenusjan”, a reszty dokonała afera we Włoszech.

- Jaka? - spytała Agnieszka, zaciskając mocno palce. - O czym ty mówisz, Witek?

- Nie słyszałaś? Zjechali do Wiecznego Miasta hochsztaplerzy z Niemiec, podając się za wysłanników W y ż s z y c h I s t o t. Tym razem - z Marsa. I jako przedstawiciele przyszłego Państwa Świata, które przez nich właśnie miało być zorganizowane, udzielali za grube pieniądze... odpuszczenia win... Trudno uwierzyć, że głupota ludzka jest aż tak bezgraniczna, ale fakt pozostaje faktem, że sprzedali świstków zapewniających pomoc i opiekę Wyższych Istot, tudzież praw do tłustych posadek na różnych szczeblach kosmicznej administracji na sumę - nic zgadniecie - aż trzydzieści tysięcy dolarów! Głupich nie brak na tym najlepszym ze światów, jakim jest nasza staruszka Ziemia. Tamci hochsztaplerzy siedzą pod kluczem, ale na pewno grasują już ich następcy.

Agnieszce wydało się, że dopiero teraz zajrzała w mroczną głąb bezdennej studni.

Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach.

Gagarin powiedział raz, że ciężar popularności dorównywa ciężarowi kuli ziemskiej. A przecież wszyscy dobrze wiedzieli, kim był, cały świat go podziwiał. A co będzie jeśli na Juna zwali się ciężar „popularności” hochsztaplera? Jak go osłonić, jak ratować?

- Nabieracze są wszędzie, fałszerze obrazów także - powiedziała z trudem - czy to znaczy jednak, że należy wątpić w autentyczność dzieł, zebranych w Louvrze?

- Słusznie - przyznał Witold, sięgając po następną kromkę chleba - ale znacznie łatwiej wykryć fałszerstwo obrazu niż pseudoprzybysza z innej planety.

- Jak to łatwiej? Chyba trudniej. Taki przybysz ma przecież swój, inny niż nasze, pojazd kosmiczny, inny strój, inaczej mówi...

- Pojazd kosmiczny jako dowód rzeczowy? To jest w tej chwili dowód k o m i c z n y! Czy jesteś pewna, że gdzieś, w jakimś państwie, nie zbudowano już pojazdu nie przypominającego w niczym rakiety? A jeśli taki gość pokaże dziwną maszynę i powie, że mu się p r z e p a l i ł a? A strój? Miła moja, o taką maskaradę chyba najłatwiej w czasach, kiedy panuje moda na Kosmos. Hochsztaplerzy będą się teraz specjalizować w tej dziedzinie. Minęły czasy, kiedy sprzedawano tramwaj czy też kolumnę Zygmunta...

O czym tu zresztą mówić. Ręczę ci, że nasi dzielni kosmonauci wcześniej zwiedzą inne systemy słoneczne, niż doczekamy się prawdziwego gościa z daleka. Od wieków jakoś nie zdarzył się na globie ziemskim taki wypadek.

- Nie ręczę - przerwała mu pani Anna. - To wcale nie jest takie pewne. Dotychczas nie wytłumaczono sobie różnych zjawisk, jak tetyty \*, tarasy w Baalbek \*\*.

- I to mają być dowody, że lądowano na Ziemi w pojazdach kosmicznych? Błagam cię, mam, nie mów nawet takich rzeczy, nie mogę tego spokojnie słuchać!

- Uspokój się, rozważamy sprawę teoretycznie.

- Nawet w takim wypadku, mam, obowiązuje naukowe podejście. Nie można się opierać na baśniach, legendach i przywidzeniach.

- Będzie z ciebie taki uczony - zirytowała się na dobre pani Anna - jak ci, którzy dowodzili, że król Nabuchodonozor nie istnieje, bo wiemy o nim tylko z podań i legend... i że pismo klinowe to cegiełki stoczone przez robaki. Dopiero kiedy nowy Schliemann wydobędzie na jaw dowody, uznasz je po długim oporze, ale sam niczego nie odkryjesz!

- Przepraszam - skulił się Witold, udając przestraszonego - dotknąłem nieostrożnie najdroższego hobby mojej mamy. Wiesz, czemu mama się tak oburzyła - zwrócił się do Agnieszki - bo wiarę w istnienie ukochanej Atlantydy opiera na baśniach i legendach. Ani słowa więcej o legendach! Chcę być w zgodzie z mamą, bo gotowa mi nie dać drugiej porcji ziemniaków z jajecznicą. A swoją drogą, jak bardzo sprawy Kosmosu i kontaktów z innymi układami słonecznymi stają się bliskie współczesnym ludziom, skoro wywołują gorące spory. Prawda, Agnieszko?

Dziewczyną oderwała wzrok od szerokiej, srebrnej płaszczyzny wodnej, która migotała za oknami.

- Tak - powiedziała myśląc o czym innym.

Znów popełniła błąd. Nie spytała Juna, jakie może przedstawić dowody swej autentyczności. Sądziła, że wystarczy jego słowo, a w końcu pojazd, inny niż te, na których latają ziemscy kosmonauci. Trzeba spieszyć wracać i wszystko zaczynać od nowa. Ale teraz już razem z Junem.

- Czy mogę pożyczyć notatki o Atlantydzie? - spytała.

\* Tetyty - czarne, szkliste, spłaszczone kule o nieregularnej powierzchni, na których znać działanie wysokiej temperatury. Między różnymi hipotezami, co do ich pochodzenia, istnieje także i ta, że mogły powstać przy starcie pojazdu kosmicznego.

\*\* Tajemnicze tarasy - ułożone z ogromnych płyt kamiennych, które, jak mówi legenda, służyły do startu i lądowania.

- Będzie na to dość czasu - zaniepokoiła się pani Anna. - Przecież zostaniesz u nas dłużej?

- Nie. Muszę wracać jeszcze dziś.

## JAK KAMIEŃ

Ucichły ptasie nawoływania, nic nie zakłócało ciszy. Nagle Marcinowi wydało się, że nie jest sam. Podniósł głowę i napotkał przyjazne spojrzenie. Jun? Dotknął srebrzystego skafandra, cieplej, przyjaznej dłoni, żeby się przekonać, że to nie sen, nie ułuda.

- Jun, skąd pan wiedział, że tu jestem?

- Wolałeś mnie. Chodź, Marcin, do domu!

- Do domu? - zdziwił się, ale nie zdążył o nic spytać.

Silne ręce oderwały go od ziemi, unosząc w górę. Lekki jak piórko szybował ponad pływającymi się konarami buku, nad jodłami, wyciągającymi w niebo czarne, połamane wichrami gałęzie, nad skałkami, które nabierały liliowych barw.

Lot trwał krótko, kiedy jednak chłopiec dotknął stopami zbocza okrytego jedwabistą, wysoką trawą, z nieba znikły ostatnie ślady czerwieni, a półksiężyc wystąpił wyraźnie na ciemnym błękitcie.

Zobaczył przed sobą dom o dziwnych ściankach, podobny trochę do łupinowych konstrukcji, jakie oglądał w pismach z biblioteki ojca. Nie miał czasu przyjrzeć się mu bliżej, bo Jun pociągnął go za sobą i chłopiec znalazł się w środku pokoju, którego ściany rozsiewały łagodne światło.

Stał chwilę, ogłuszony nowymi wrażeniami i szczekaniem Gapy, tańczącej dokoła niego.

Pośrodku pokoju znajdował się tapczan, a może łóżko, sprzęt opierający się o podłogę dziwnym zawijakiem, którego zagięcie stanowiło coś w rodzaju zagłówek.

Powierzchnia tej leżanki, chłodna, gładka i żywa jak babcine lniane prześcieradło, nie miała w sobie martwoty sztucznego tworzywa, wytłaczanego bezlitośnie w kwiatki, ząbki i inne deseniki. Matka tłumaczyła kiedyś Marcinowi, że ludzie nie umieją jeszcze obchodzić się z nowymi tworzywami i nadają im kształty właściwe materiałom znanym od wieków, jak metal, drzewo i szkło. Ojciec dodał wówczas, że ludzkości trudno wyzwolić się z dawnych przyzwyczajzeń i pokazał fotografię pierwszego samochodu, zrobionego na wzór dorożki konnej.

- Chodź, wykopiesz się - powiedział Jun, przeprowadzając chłopca do małego pomieszczenia.

Marcin zrzucił ubranie i posłusznie wszedł za przegródkę. Naraz trysnął na niego suchy, szybki prąd powietrza, wydmuchując zmęczenie, upał, przebytą ciężką drogę. I kiedy wreszcie obmył go strumień wody, smagający jak biczem, Marcin wyskoczył z „łazienki” wypoczęty i świeży.

Chodzili po domu, a za nimi jak cień snuła się Gapa, uznająca teraz za swego pana przybysza z Kosmosu.

Marcin nie dostrzegł nigdzie ani śladu najmizerniejszego drucika, jego przyjaciel wywoływał „czary”, naciskając znane sobie miejsca w ścianach lub wypowiadając słowa brzmiące jak rozkaz. W kuchni nie było piecyków, tylko wgłębienia w ścianach, a w nich coś jakby kolbki i pudełka z dziwnych materiałów i otworki, z których tryskała woda. Śmiecie wrzucało się do skrzynki, a tam zmieniały się natychmiast w szary popiół.

„My także - rozmyślał sobie na pociechę chłopiec - wyplątujemy się z masy drutów i nasze przyrządy stają się coraz mniejsze i bardziej precyzyjne, chociażby dzięki półprzewodnikom. I my dojdziemy do cywilizacji bezdrutowej”.

- W dwa dni zbudować taki dom to naprawdę nadzwyczajne - powiedział głośno.
- Proste, jeśli się umie.
- Czy wszyscy u was umieją?
- Wiedza jest przekazywana tylko w godne ręce. Czy tak mówicie: „godne ręce”?
- A jak można udowodnić, że się jest „godnym”?
- Trzeba przejść próby.
- Egzaminy?
- Nie. Próby. Całe życie jest próbą i jutro można zdobyć to, czego nie zdobyło się dziś.

Ale siadaj, Marcin.

Chłopiec obejrzał się, nie zauważył jednak żadnego stołka. Czyżby na planecie Atis ludzie siadali na podłodze jak w Japonii? W takim razie gdzie są dywaniki, chodniczki czy coś podobnego? Ale Jun dotknął ściany i spod podłogi wysunęły się krzesła, wygięte, dostosowane jak i leżanka do kształtu człowieka.

- Och, Jun, my nie umiemy robić takich cudów!
- Wszystkiego można się nauczyć. Najważniejsze...
- Co najważniejsze, Jun?
- Żeby człowiek umiał właściwie używać swej wiedzy i swoich... - namyślał się chwilę - i swoich umiejętności - dokończył.
- A kto u was na Atis jest najważniejszy? - zainteresował się chłopiec.
- Ci, którzy uczą i wychowują.
- Naprawdę?
- Czemu się dziwisz?
- Nie. Nie dziwię się.
- Powiedz, Marcin, co się dzieje na stacji?

Chłopak zaczął opowiadać o ryczącym radiu i o tym, że zdjęto kamień z poprzeczki, i jak zablądził, ponieważ nie mógł znaleźć mapy.

- Pan nie zdradzi mnie przed Agnieszką? - zakończył.
- No pewnie, że nie.
- Pan też jej się boi?

Leciutki uśmiech przemknął po twarzy Juna; szybkim ruchem zwichrzył czuprynę chłopca.

- Idź spać, Marcin. A ubranie włoż tu. Rano znajdziesz je czyste.

Układając się do snu Marcin zdał sobie sprawę, jak bardzo brakuje mu określeń. Trudno znaleźć nazwy dla przedmiotów widzianych po raz pierwszy w życiu. Czy kieszeń ścienna, wskazana mu przez Juna, była szafą czy też pralką? Ubranie, które włożył do niej, l e z a ł o czy też w i s i a ł o podtrzymywane prądem powietrza?

Leżanka ugięła się elastycznie pod chłopcem, czuł się zacisznie i przyjemnie pod „obłoczkiem”, którym go nakrył Jun. Obłoczek ten ani ciążył, ani grzał, w ogóle go nie było, tyle że otulał dokładnie.

Wychodząc Jun „zgasił światło”. Ściany straciły blask, stały się przezroczyste i z trzech stron Marcina otaczały drzewa.

Chłopiec był ciekaw, czy i zagłówek jest równie elastyczny jak leżanka, więc dotknął jego brzeżka. Natychmiast zajaśniało przyćmione światło jakby lampki nocnej. Dotknął po raz drugi. Światło zgasło. I znów nad jego głową błyszczą gwiazdy na głębokim szafirze.

Jak przyjemnie spać pod gwiazdami, niby na polance. A jednak sen nie przybywał. Chłopcu marzyło się wciąż, że leci z Junem nad górami.

- Długi cień przemknął na zewnątrz budynku, za nim drugi mały, tuż przy ziemi.

Marcin odrzucił „obłoczek”, jednym susem przekroczył ścianę.

- Jun - zawołał, chwytając za rękę przyjaciela - Jun kochany! Tak bym chciał polecieć! Ale samodzielnie! W skafandrze! Bodaj nad tą górą! Jedno kółeczko! Nigdy jeszcze nie próbowałem latać „na piechotę”!

Srebrzyste skafandry lśniły księżycowym blaskiem, kiedy unieśli się nad szczytem. Gdzieś pod nimi leżały spłaszczone góry, pokryte ciemnym kożuszkim lasu. Marcinowi przyszło na myśl, że się zgubi w tym aksamitnym mroku, i ścisnął mocniej rękę Juna. To byłaby dopiero historia! Rano leśnicy zauważyliby chłopaka wiszącego w powietrzu niby Twardowski bez księżycyca.

Pod nimi błyskały światła, bezładnie rozrzucone gwiazdy ziemi. Cisna? Dołżyce? Wetlina? A może już Lesko czy nawet Czarna? Nie zdawał sobie sprawy, z jaką szybkością lecieli i w jakim kierunku. Owiewał ich to chłód, to znów jakby tchnienie południowego wiatru tam, gdzie ziemia oddawała nocy ciepło pochłonięte w ciągu dnia. Żeby to mieć na własność taki skafander! Latałby w nim „na piechotę” do szkoły, oglądając ludzi tłoczących się do tramwajów, autobusów i samochodów.

Zapewne i na Ziemi wynajdą z czasem takie sposoby poruszania się. Tylko że tłok się zaraz zrobi w powietrzu, o ile człowiek przejdzie do następnej ery z obciążeniem chuligańskim. Co taki łobuz potrafiłby „narozrabiać”, lecąc nad miastem, strach pomyśleć! Więc może będą wydawać „latające kombinezony” wypróbowanym osobom? Ludzie otrzymają specjalne karty, upoważniające do lotów „na piechotę”? Ale czy obok „złodziei rowerów” i innych specjalistów w tym „fachu” nie powstanie grupa „złodziei skafandrów”? Handlarze zaczną sprzedawać je spod lady swoim znajomym albo po wyższej cenie? Na Bazarze Różyckiego rozlegną się nawoływania: „Komu, komu skafander do latania w najlepszym gatunku! Komu, komu, bo lecę do domu!”

W gazetach, w rubrykach „Wypadki” i „Z dnia”, ukazały się wzmianki: „Tragiczna katastrofa. Powietrzny chuligan potrafił latającego piechura, który wpadł pod śmigło samolotu pasażerskiego!”

Spojrzał w niebo. Gwiazdy to rozjaśniały się, to przygasaly, bo przepływające chmury ścięrały ich blask. Złotem lśnił półksiężyc, otoczony jeziorkiem ciemnego granatu.

Jun pociągnął chłopca za rękę. Spływali w dół jak na niewidzialnych nartach, ruchem spadającego liścia.

Nogi chłopca zahaczyły o nierówności terenu i gdyby go Jun nie podtrzymał, runąłby na ziemię jak długi. Chwilę stał oszołomiony przestrzenią, lotem i nagłym zetknięciem się z szosą.

Szosa była pusta i ciemna, tylko od czasu do czasu auta, śmigające po asfaltowej nawierzchni, oślepiały światłami reflektorów. Tuż koło nich zazgrzytały opony zatrzymującego się samochodu.

- Ilu was? - spytał dobrodusznie szofer, wychylając się z ciężarówki. - Tylko dwóch? Włażcie!

Czerwone ogniki papierosów zdradzały czyjaś obecność. Na platformie jechali robotnicy. Marcin obawiał się, że skafandry obudzą sensację, ale w Bieszczadach ludzie przywykli do widoku najbardziej fantastycznych strojów i nie mogła ich zadziwić żadna maskarada. Zresztą było ciemno.

Jun wzbudził od razu sympatię. Poczęstowano go papierosem. Przyjął, dziękując grzecznie, i... zakrzuszył się dymem.

Wywołało to wybuch śmiechu.

- Jeszcze się chłopak nie nauczył! Ale chce pokazać fason. Wyrzuc lepiej to świństwo, bracie! A wy skąd?

- Z harcerskiej stacji turystycznej - odpowiedział Marcin.

- Dokąd się wybieracie?

- Ty nie pytaj - przerwał mu drugi robotnik - na zabawę gnają! Nie wiesz, że dziś zabawa? Cichcem się wymknęli po nocy. No, może nieprawda?

- Prawda - potwierdził Jun i roześmiał się.

W najlepszej komitywie dotarli do pierwszych domów. Jun wyskoczył, pociągając za sobą Marcina.

- Bawcie się dobrze! - wołali robotnicy, kiwając rękoma. - Do widzenia!

Narożny budynek rozbrzmiewał muzyką. Jun zdażał do niego z miną uczniaka, któremu się udał pyszny kawał.

- Jun, po co my tam idziemy?

- Na zabawę!

- Ale to jest inna zabawa.

- Jun otworzył drzwi.

W głębi rześcicie oświetlonej sali, na podwyższeniu ozdobionym girlandami kolorowej bibułki, orkiestra przygrywała do tańca kilku parom.

Pod oknem, z którego zwisały strzępy zdartej firanki, dokoła butelek z piwem skupiło się towarzystwo porykujące fałszywie: „Wszystkie rybby-ki śpią w jeziooorze plum, plum, plum, plum, plum, plum, plum, plum!”

Dym z papierosów spowijał ten obraz, nadając mu pozory nierealności. Butelki i szklanki poniewierały się na brudnej podłodze, między kałużami rozlanego płynu. Zabawa na sto dwa!

Jun zamarł w progu, z ręką na klamce.

- Wyjdźmy stąd - błagał chłopiec. - To nie zabawa, to pijatyka!

Ktoś kopnął krzesło, które z hukiem przeleciało na środek sali. Wśród hałaśliwego śmiechu Marcin dosłyszał głos zwracający się do niego. D o n i e g o, bo w pijanym bełkocie wyróżnił słowo „stacja” i „harcerze”. Nie wierzył własnym oczom. Z butelką w ręku chwiał się przed nim Skuternoga.

- Pijj, szczeniaku - mówił przysuwając się, a zapach wódki uderzył chłopca w nos jak gąbka umaczana w alkoholu. - Nnno, pppij, jjja fffunduję. Porrachunki porrachunkami, llallecza obberwie jjak nic, a wwypić mmożna, nno nnie? Ja wwas i tak dosstanę, znajdę, co ukrywacie! - i zarechotał.

Szczupłe ramię Juna znalazło się błyskawicznie między chłopcem a twarzą draba. Butelka z trzaskiem rozbiła się o podłogę, ochlapując nogi Marcina. Skuternoga stracił równowagę, zatoczył się, ale się odbił od ściany i szedł do nich straszny, półprzytomny, pochylony naprzód jak do ataku.

- Cco? Sstawiacie się? MMNIE! A ja was zniszczę, zniszczę! WSZYSTKO MMOGĘ!

Marcin wyszarpnął Juna na ganek w świeżość wieczoru.

- Uciekajmy - błagał - chodźmy już stąd! On idzie za nami!

Pijany gramolił się przez próg, mrużąc pod nosem groźby, ale próby kończyły się niepowodzeniem, bo opadał jak podbijana do góry piłka. Jeden niepewny ruch i runął po schodkach, nieruchomiejąc na trawniku.

- Co to? - spytał Jun.

- Zabawa. Chciał pan zabawy, no to ją pan ma!

- Kto to jest?

- Awanturował się, idiota, bo się upił.

- Ale po co? - w półmroku Marcin widział pobladłą twarz i rozszerzone źrenice Juna. - Po co?

Po co? Licho wie. Czemu Jun przejmuje się takimi głupstwami. Wielkie rzeczy, że ktoś się upił i ciska stołkami.

- WSZYSTKO MOGĘ - wybełkotał Skuternoga, usiłując wstać, ale opadł na trawnik.

Wszystko mogę!

Nie po raz pierwszy zdarzyło się chłopcu słyszeć takie słowa. W domu, gdzie mieszkał z rodzicami, przez pewien czas upijał się jeden z sąsiadów. Na co dzień cichutki, boczkiem przemykający się w kusej marynareczce i wiatrem podbitym paletku, w sobotę, po wypłacie, **MÓGŁ WSZYSTKO**. Takie przynajmniej miewał złudzenia, wracając z knajpy do domu. Awantury kończyły się zazwyczaj pobiciem żony, t y l e mógł. Aż go przekwaterowano z osiedla do „starego budownictwa”.

- Słyszał pan przecież - powiedział głośno chłopiec. - On krzyczał, że **WSZYSTKO MOŻE**. Wyobraził sobie, że m o ż e. No i rozbijał stołki, tłukł, co mu wpadło pod rękę. Taki mocarz dwudziestego wieku. Walistołek! Wyrwidrzewko!

- Chory? Przyjadą po niego?

- Przyjadą. Pewnie, że przyjadą. Milicja zabierze go do izby wytrzeźwień, a jeśli kogoś pobije, to i do więzienia.

- Do więzienia? Co to jest?

- Mieszkanie za kratkami. Dla takich, jak ten, chuliganów, co to innym obrzydają życie.

- Trzeba ich leczyć!

- A któż im tego broni? Są lecznice, przychodnie. Radio nadaje całe audycje o różnych okropnościach, o kalekich dzieciach, o wypadkach spowodowanych przez pijanych kierowców. A oni dalej swoje. Dobrze im z tym.

- Jeśli im z tym dobrze, to są chorzy.

„Może i chorzy - rozmyślał chłopiec. - Nikt o zdrowych zmysłach nie będzie podpierał nosem trawnika, leżąc na ścieżce pod schodami, jak ten Skuternoga. Matka opowiadała, że dawniej wariatów wsadzano do więzienia, jako opętanych przez diabła, i torturowano. A dziś odwożą ich do szpitala. Może chuligani i pijacy też nie mają wszystkich klepek w porządku i należałoby im poustawiać je po kolei?”

Ale już miał dość wywiadu o pijakach. Gniew ścisnął go za gardło i na Skuternogę, który skompromitował wobec gościa mieszkańców Ziemi, i na Agnieszkę, tak długo łudzącą przybysza upiękuszonym, wyretuszowanym obrazem ziemskiego globu, odnoszącą się do Juna jak do dzikiego ptaka, którego można spłoszyć głośniejszym odezwaniami się, gwałtowniejszym ruchem, i na samego Juna, który wyciągnął go na tę „zabawę”, a teraz zadręcza pytaniami, spoglądając ze zdumieniem, a pewno i z pogardą.

- To wy nie macie u siebie pijaków i chuliganów? - krzyknął chłopiec. - Święta jest ta wasza planeta?

- U nas? Chorzy mieszkają osobno, na Merope - i szczupła ręka wyciągnęła się w kierunku świetlistego krążka błyskającego wśród obłoków.

- Zsyłacie ich na księżyc, żeby wam nie przeszkadzali.

- Wysyłamy ich, żeby się wyleczyli.

- Tak się to mówi. To są bajeczki dla gości - i Marcin urwał czując, że się stało coś złego.

- Bajeczki - powtórzył Jun powoli i spojrzał na pijaka. - Opowiadacie gościom bajeczki o tym, co potraficie budować, a ukrywacie takich jak on? I co jeszcze ukrywaliście przede mną?

Ciemny kształt pod schodami poruszył się, wydając przejmujące wycie.

To człowiek leżał obok nich głuchy i ślepy, bardziej głuchy i ślepy niż kamień. Człowiek, który sam wyrzekł się swego człowieczeństwa. Nie myślał o niczym. Nie rozumiał nic.

Nie widział ani ziemi pachnącej nocą, ani nieba opowiadającego dziwy o dalekich światach. Nie czuł nic - poza chęcią bezmyślnego niszczenia. Nie potrafił nic więcej. A mówił o sobie przecież, że „wszystko może”.



Gończy rumieniec wstydu załzał twarz Marcina. Jakimże głupcem wydał się sam sobie w tej chwili. Czemu się martwił, że na Atis znają lepsze sposoby budowania; że ich maszyny i urządzenia są znacznie doskonalsze niż na Ziemi? Jun uważał, że tego można się nauczyć.

Dla Juna najważniejsza była sprawa, jaki jest człowiek Błękitnej Planety, jak potrafi wykorzystać swoją wiedzę, czy można mu ufać.

Ach, czemuż nie zabrał w porę Juna do Warszawy, do swoich rodziców.

Dotychczas wydawało się chłopcu samo przez się zrozumiałe, że jego matka pracuje w szpitalu, a ojciec buduje domy.

Ale w tej chwili pragnął opowiedzieć Junowi, jak bardzo zmęczona wraca mama z dyżuru i że, zanim zaśnie, telefonuje zawsze do szpitala, żeby się dowiedzieć o ciężko chorych pacjentów.

I o tym, jak się cieszy ojciec, przechadzając się po nowym osiedlu, do którego wprowadzają się nowi mieszkańcy.

Jego matce i jego ojcu Jun mógłby zaufać, oni umieliby przekazać wiadomość o Ziemi - nie wprowadzając w błąd.

- Jun!

Ale na twarzy gościa spostrzegł wyraz napięcia. Jun nasłuchiwał.

- Co się stało, Jun?

- Ktoś jest na szczycie, w naszym domu...

Obok skałek, które blask księżycy upodabniał do zębanych ruin średniowiecznego zamku, coś mżyło delikatnym blaskiem. Dom nie dom? Duży namiot czy konstrukcja łupinowa?

Tak zbudowane ulice nie potrzebowałyby latarni, bo półokrągłe, z uroczymi wygięciami, ściany wydzielały poświatę.

Agnieszka patrzyła jak urzeczona. Ostrożnie dotknęła gładkiej płaszczyzny i jej palce zapadły w coś, co było i czymś, i niczym jak powietrze, tyle że stanowiło nieprzebytą przeszkodę dla wzroku.

Oto miała przed sobą dowód, że Jun przybył z daleka, spoza Ziemi, na której nikt jeszcze nie umiał tak budować.

Jun, który wyczarował te dziwy na odludziu, zechce na pewno zrobić to samo i w Warszawie przed uczonymi całego świata!

Ze ściany wysunęła się nieoczekiwanie pocziwa psia morda. Tkwiła samoistnie, bez tułowia, jak głowa kota, która ukazała się Alicji w Krainie Czarów. Ale nie znikła jak tamta. Przeciwnie - z tryumfalnym: gap, gap! - psiak wyskoczył na zewnątrz, zmieniając się w wysoko skaczący kłębuszek radości.

- Gapciu - dziewczyna głaskała miękkie kudełki. - Gapciu kochana! Gdzie Jun? Gdzie Marcin? Poszli swoim zwyczajem na spacer? Tak? I psa zostawili samego? No to nie będziemy ich wołać. Niech mają niespodziankę. Czy wiesz, że nam teraz wszystko się uda? Ach, Gapciu, jak ja się cieszę!

Cieszyła się naprawdę. Zaraz przyjdzie Jun, przywołany głośnym szczekaniem, i Agnieszka opowie mu wszystko: o swoich nieudanych próbach i o tym, jak bardzo załuje, że usiłowała załatwić jego sprawę bez niego...

Cieszyła się, ale i lękała czegoś. Nie samotności, nie tego, że Jun i Marcin zabłądzą wśród nocy, ani przyznania się do porażki...

Sama nie wiedziała, czemu dojmujący chłód wyziębiał czubki jej palców, zimnym ostrzem sięgał serca.

Na widok dwu srebrzystych sylwetek, spływających z księżycowym światłem, porwała się z miejsca i, aby zagłuszyć wzrastający niepokój, zawołała głośno:

- Jun, czekam na was! Pokażesz te cuda naszym uczonym, nauczysz nas, jak się to robi?

I nagle zdała sobie sprawę, że przez cały czas oczekiwania lękała się tego krótkiego:

NIE - jakie padło w odpowiedzi.

## JEDEN DZIEŃ I JEDNA NOC OKROPNA

Pokój zapożyczył barw od ziemi i nieba. Przejrzyste ściany wchłonęły purpurę zachodzącego słońca i srebro chmur świecących nocą, których oślepiająca biel piętrzyła się w głąb firmamentu.

Agnieszka przez cały dzień ślęczała nad zeszytami pani Anny. Z doświadczenia wiedziała, że najlepiej się myśli, jeśli się zajmować jednocześnie czymś innym. Niby się zapomniała wówczas o tej najważniejszej sprawie, a nagle wypływa gotowe postanowienie, gotowa odpowiedź na pytanie. Tym razem nic z tego nie wychodziło. Czytała, a zamierzchła, legendarna przeszłość mieszała się z rzeczywistością w jakąś dziwną całość.

Powstawały pytania, cały las pytań, tym większy i niedostępniejszy, im bardziej w niego się zagłębiała. Zniechęcona odsunęła notatki.

„Co robić? - pytała siebie ściskając głowę. - Może odjechać? Jun wcale nie potrzebuje ani moich rad, ani mojej opieki. W razie niebezpieczeństwa potrafi obronić się sam”.

Wiedziała jednak, że lęk o Juna nie pozwoli jej odejść od niego.

„Wszystko się skończy i powróci do normy, kiedy on wreszcie odleci” - próbowała się pocieszać, ale ta myśl wywołała tym większy niepokój.

Przenikliwy ziąb nie opuszczał jej od chwili, kiedy to Jun jednym słowem odciął się od jej planów i zaprosił ją do domu z uprzedzającą, ale chłodną grzecznością. Odtąd nie widzieli się jeszcze. Minęła bezsenna noc, mijał dzień, a nic nie zostało zdecydowane ani wyjaśnione.

Poczuła głód. Od rana odwracała się od stolika, który w porze śniadania wyłonił się spod podłogi, zastawiony miseczkami i czarkami różnego kształtu i koloru, mieniącymi się przesłiznie. W porze obiadu stół znikł, żeby pojawić się później z nową zastawą.

Sięgnęła niechętnie po tęczową czarkę i przechyliła dziobek do ust. Orzeźwiający płyn o nieznanym smaku dodał sił. Kiedy zdecydowała się na zjedzenie ciemnego placuszka czy też ciasteczka, czyjaś ręka z umazanymi atramentem palcami zjawiła się naraz w ścianie, dając znaki.

- Marcin? - spytała.

- Można? - i jasna głowa ukazała się obok rozcapierzonej ręki.

- Wejdz.

Chłopiec wyskoczył ze ściany i zatrzymał się nieśmiało.

Nigdy nie widziała u niego tak żalostnej i zbolalej miny. Nawet czupryna nie sterczała zawadiacko jak zazwyczaj, tylko zwisała żalostnymi kosmykami.

- Co się stało?

Milczał.

- No, Marcin.

Po raz pierwszy trzeba było go namawiać do mówienia.

- Ja przepraszam - wykrztusił wreszcie - to wszystko przeze mnie. Żeby nie mój głupi pomysł, Jun nie zobaczyłby pijaków...

- Jakich pijaków?

- No, Skuternogi i innych.

- Zmiłuj się, Marcin, skąd się tutaj wziął ten łobuz?!

- Nie tutaj. Prosiłem Juna wczoraj, żeby ze mną poleciał, bo nigdy nie latałem na piechotę i chciałem spróbować. No i poleciliśmy. A po drodze trafiliśmy na zabawę. Taką

najgorszą, wie druhna... Nie chciałem, żeby Jun oglądał coś takiego, ale on się uparł. On wcale nie jest łatwy do sterowania...

No i w tym Domu, co się nazywa, nic wymawiając, Domem Kultury - wpakowaliśmy się na rozróbkę. Ciągnąłem go za rękę, żeby wyprowadzić, a on stał i patrzył jakby skamieniał: Po raz pierwszy w życiu widział taką z a b a w ę. Nie wiem, skąd wylał ten Skuternoga. Coś tam mamrotał, że się zemści, że nas odnajdzie... Wódkę mi pchał pod nos... - Jun znalazł się po męsku i odepchnął Skuternogę. Nie mógł zrozumieć, po co się pije wódkę i tłucze stołki. Oni na Atis pewnie już wyrosli z chuligaństwa. Więc ciągle pytał: „A po co?, a dlaczego?”

Zirytowałem się i wygadałem, co nie trzeba. On teraz myśli, żeśmy z niego „balona” zrobili.

Dziewczyna pochyliła głowę.

- Druhno - szepnął żałośnie - proszę mi darować, ja już nigdy...

- Uspokój się, Marcin. Uprzedzałeś mnie przecież, że nie trzeba przed nim niczego ukrywać. To moja wina. Jun słusznie przestał mi wierzyć.

- Ale on prosi, żebyśmy do niego przyszli, więc może mu już przeszło?

- Chodźmy.

- Ja zaraz... tylko obiegnę dom dokoła, sprawdzę, czy wszystko w porządku. Cały dzień stoję na warcie. Ale jakoś cicho.

Jeden rzut oka na chmurną twarz Juna rozproszył nadzieje dziewczyny, że Junowi „już przeszło”. Wskazał jej wygodny fotelik obok stołu.

- Chciałbym, żebyś posłuchała razem ze mną relacji Platona.

- Chętnie, Jun.

Ściany pokoju zmierzchny wraz z niebem. Agnieszka z ulgą pomyślała, że szara godzina ułatwi rozmowę, osłaniając twarze.

- A więc zaczynamy.

Jun dotknął pudełeczka wielkości włoskiego orzecha, które leżało na stole. Rozległ się metaliczny głos:

*- Jest w Egipcie, w delcie, która opływa rozszczępiony u góry strumień Nilu, powiat zwany saickim. W tym po wiecie największym miastem jest Sais...*

Kiedy Marcin wpadł z pośpiechem do pokoju, ktoś mówił. Ale nikogo prócz Juna i Agnieszki nic było.

*- Na waszej Ziemi mieszkał najpiękniejszy i najlepszy rodzaj ludzki - posłyszał - a wy o tym nie wiecie. Dlatego że ci, co pozostali, przez wiele pokoleń ginęli, głosu nie umiejac zamknąć w litery...*

- ...głosu nie umiejac zamknąć w litery - powtórzył chłopiec. - To jest opowieść o dawnych czasach, kiedy ludzie nie umieli jeszcze pisać. Ale gdzie jest ten, który to mówi? Kto mówi? - szepnął pochylając się do dziewczyny.

- Platon. Powtarza to, co Solonowi opowiedział jeden z kapłanów egipskich w Sais.

- Platon?

Chłopiec gotów był uwierzyć, że Jun potrafi wywołać cienie wszystkich mędrców i uczonych greckich z Plutarchem włącznie, a nie tylko ich głosy. Kiedyś w radio opowiadano o próbach uczonego, który usiłuje pochwytać fale wysyłane przez Ziemię w Kosmos i powracające po odbiciu od napotkanych po drodze ciał niebieskich.

Najbardziej nieprawdopodobne marzenia ostatnimi czasy stawały się rzeczywistością, więc może po latach - na lekcji historii nauczyciel będzie nastawiał specjalne odbiorniki na

obrazy dawnego życia, na epokę, którą jego klasa właśnie przerabia?

Głos mówił dalej, ale żaden cień nie spływał z przezroczystego granatu wieczornego nieba, z gwiazd, które zapalały się jasnymi punktami.

Marcin zaczął gubić tok opowieści, poszybował myślą pomiędzy gwiazdy, wraz z Junem i Agnieszką, których udało mu się w marzeniach pogodzić.

Agnieszka słuchała, nie unosząc głowy. Wiedziała i tak z całą pewnością, że nie napotka spojrzenia ciemnych oczu. Trudno jej było uwierzyć, że jeszcze niedawno patrzyły na nią z taką serdecznością.

*... Pisma nasze mówię, jak wielką niegdyś państwo wasze złamało potęgę, która gwałtem i przemocą szła na całą Europę i Azję. Szła z zewnątrz, z Morza Atlantyckiego. Wtedy to morze było dostępne dla okrętów. Bo miało wyspę przed wejściem, które wy nazywacie Słupami Herkulesa \*. Wyspa była większa od Libii \*\* i od Azji razem wziętych. Ci, którzy wtedy podróżowali, mieli z niej przejście do innych wysp. A z wysp była droga do całego lądu \*\*\* leżącego naprzeciw, który ogranicza tamto prawdziwe morze \*\*\*\*.*

*Otóż na tej wyspie, na Atlantydzie, powstało wielkie i podziwu godne mocarstwo pod rządami królów władających całą wyspą i nawet wieloma innymi wyspami i częściami lądu stałego. Oprócz tego oni panowali nad Libią aż do granic Egiptu i nad Europą aż po Tyrrenię. Więc cała ta potęga zjednoczona próbowała raz jednym uderzeniem ujarzmić wasz i nasz kraj i całą okolicę Morza Śródziemnego. Wtedy to, Solonie, objawiła się wszystkim potęga waszego państwa: jego dzielność i siła. Wasze państwo stanęło na czele wszystkich, zachowało równowagę ducha, rozwinęło sztuki wojenne i już to na czele Hellady, już też odosobnione, bo inni je opuścili... pokonało najeźdźców i wzniosło pomnik zwycięstwa... nie pozwoliło ujarzmić tych, którzy jeszcze nie byli ujarzmieni, i nam wszystkim, którzy zamieszkujemy po tej stronie Słupów Herkulesa, zachowało wolność, nie zazdroszcząc jej nikomu. Później przyszły straszne trzęsienia ziemi i potop, nadszedł jeden dzień i jedna noc okropna - wtedy całe wojsko zapadło się pod ziemię, a wyspa Atlantyda tak samo zanurzyła się pod powierzchnia morza i znikła.*

Zapadła cisza.

Przed oczyma dziewczyny przesuwają się obrazy katastrofy przekazane przez legendy Indian. „Płomienie tryskały w górę aż do gwiazd, które jak ogniste łyzy spływały na ziemię. Wody oceanu wznosiły się nad równinę, stały nieruchome jak szklista, zielona ściana, aż przecięte błyskawicą runęły, zatapiając dolinę...”

„Przyroda powstała wówczas przeciw człowiekowi. I rośliny, i skały. Ludzie próbowali wejść na drzewa, ale drzewa ich strącały, do domów, ale domy ich nic wpuszczały, do skał, ale pieczary zamykały się przed nimi - aż wreszcie zmyła ich woda... A kiedy wrócił spokój, nic było już Atlantydy”.

- Dlaczego zginęła, dlaczego? - spytał Jun.

Przez cały dzień spędzony w samotności Agnieszka szukała w notatkach pani Anny odpowiedzi na ten temat. Jedno było pewne. Około jedenastu tysięcy lat temu nastąpiła na Ziemi gwałtowna zmiana warunków klimatycznych. Prawdopodobnie glob ziemski obrócił się wówczas o trzydzieści stopni, zmieniając położenie swej osi. Uczeni dawali różne wyjaśnienia dla tego zjawiska.

Które z nich ma przekazać Junowi?

- Dlaczego? - postęsyła znowu, czując na sobie jego spojrzeniem.

\* Słupy Herkulesa - dziś Gibraltar.

\*\* Libia - dawna nazwa Afryki.

\*\*\* Platon mówi o Ameryce.

\*\*\*\* Ocean Atlantycki zwany Morzem Zewnętrznym.

- Nikt nic wie na pewno.
- Ale co ty sądzisz o tym?

Zawahała się. Nie mogła milczeć, a obiecała przecież sobie, że niczego nigdy przed Junem nie zatai.

- Jeśli koniecznie chcesz, tylko że ja nie jestem znawcą tych spraw.
- Mów!

- Znalazłam w notatkach mojej znajomej legendę chińską, która jakoś mi się skojarzyła z tym, co mówi Platon. To jest legenda o straszliwym smoku Kung Kungu, który przez wiele lat był potężny i niezwyciężony. Aż raz przegrał bitwę. W gniewie i żalu, nie mogąc przeboleć klęski, uderzył głową w słupy, podtrzymujące sklepienie niebieskie, i runęły - a wraz z nimi gwieździsty strop.

To może być śladem tej samej katastrofy - mówiła dalej. - Nie nawykli do klęsk Atlanci mogli użyć siły, która zniszczyła nie tylko wroga, ale także i ich samych. Podobno rozporządzali energią, która poruszała ich statki powietrzne...

Nie pytałam nikogo i nie wiem, czy taki wybuch mógłby wywołać zaburzenia w ruchach Ziemi.

Jeśli to jest możliwe, wówczas stałyby się jasne przyczyny dalszych kataklizmów... Jun, przepraszam cię, ale chciałam, żebym powiedziała, co myślę.

- Zanim odleczę - odezwał się po dłuższej chwili - chciałbym zobaczyć miejsca, o których mówią legendy o Atlantach. Próbowałem przywołać obraz krainy Siriad, gdzie niegdyś stały słupy z wykutymi na nich prawami Atlantów, i krainę Sais, którą odwiedził mędrzec Solon. Ale zobaczyłem tylko piaski. Gdzie są te krainy? Może ich mieszkańcy przenieśli się gdzie indziej?

Wyciągnął rękę i na jednej ze ścian wewnętrznych, matowej jak ekran, pojawiły się cienie. Agnieszka ze zdumieniem zaczęła odróżniać zakrzywione pręgi piasków, ciągnące się aż po horyzont.

- I tu nic nie ma! - zawołał.

Jak zaprzeczenie jego słów, gdzieś w głębi pustyni wykwitły w górę pióropusze dymu. Wybuch. Jeden. Drugi. Trzeci. Zbliżały się do nich. Rosły w oczach. Już widać mundury biegnących żołnierzy.

- Nie! - krzyknęła. - Nie szukaj krainy Siriad, Jun, ani krainy Sais. Zniszczyły je wojny. Zasypał je piasek.

- Więc pokaż mi stare pisma, mówiące o nich. Czy w dawnych czasach nie było bibliotek, czy nikt nie przechowywał ksiąg i dokumentów? Czy o przeszłości wiecie tylko z legend i podań?!

- Takie dokumenty mogły się znajdować w Bibliotece Aleksandryjskiej, ale spalili ją Rzymianie, a potem reszta zbiorów zginęła podczas zamieszek religijnych...

- Wojny! Zamieszki! - zawołał. - Dzieje Ziemi są dziejami wojen. Dziejami zniszczeń. Jej mieszkańcy nie umieją używać wiedzy i siły dla swego dobra! Dziś tak samo jak przed wiekami. Chciałaś to ukryć przede mną. Teraz rozumiem, czemu nie lubicie, kiedy ktoś czyta wasze myśli. Boicie się, że wykryje kłamstwa waszych słów! Nie można ufać mieszkańcom Ziemi.

W górze rozpościerała się granatowa gwieźdzna przestrzeń i Agnieszka miała wrażenie, że Jun mówi do niej z daleka, z głębi wieków czy spośród gwiazd. A ona sama jest zawieszona między tajemniczą przeszłością a nieznaną przyszłością, która się zbliżała.

Nie odpowiadała na zarzuty. Nie broniła się. I cóż pomogłyby jakiegokolwiek słowa, skoro Jun zwątpił w ich prawdziwość, skoro przed ich oczyma wzbijały się w górę słupy dalekich wybuchów.

Nagle ściany rozjarzyły się ciepłym blaskiem, pułap zamknął się nad nimi, oddzielając od wszechświata. Wnętrze pokoju stało się przytulne, bezpieczne.

Wstała. Pragnęła odejść jak najszybciej. Ale odwrót od stolika miała zamknięty. Marcin, który zsunął się z krzesła, spał tuż obok niej, zwinięty w kłębuszek, przytulając zaróżowioną twarz do Gapcynych kudełków. Nic słyszał gniewnych słów Juna, które zwracały się wyłącznie przeciwko Agnieszce.

Jun pochylił się nad chłopcem. Jego twarz złagodniała.

- Marcin, chciałeś zobaczyć swój dom. Patrz!

Chłopiec natychmiast otworzył zaspane oczy.

- Dom? Naprawdę?

Ściana jak gdyby rozstała się, ukazując wnętrze pokoju. Jakże niedawno Agnieszka, w pół leżąc na tym zarzuconym barwną tkaniną tapczanie, snuła projekty rozmów Juna z politykami i uczonymi. Przy jesionowym stoliku, z którego zdjęto telefon, siedziała teraz pani Więckowska i wyjmowała drzazgę z palca małej czarnulki.

Babcia opowiadała Agnieszce, że Joasia boi się lekarzy i pielęgniarek, podnosząc wrzask na widok białego fartucha. Tylko matce Marcina wolno robić z nią wszystko, czego wymaga medycyna w razie choroby. I teraz Joasia odwraca wprawdzie głowę i krzywi zabawnie nosek, ale nie wyszarpuje ręki.

Czarny pudel Nero zastukał pazurami o podłogę i z westchnieniem ułożył się u nóg pana Więckowskiego, który coś kreślił pochylony nad biurkiem.

- Dziękuję - szepnął Marcin, kiedy obraz znikł.

- I ja ci dziękuję. Cieszę się, że zobaczyłem twoich rodziców.

A kogo ty chcesz zobaczyć? - zwrócił się do dziewczyny.

- Dziś nikogo - odpowiedziała porywczo.

## **ŻEBY BYĆ W ZGODZIE Z PLUTARCHEM**

Jun zamknął się w swoim pojeździe, a z nim Gapcia, która tylko od czasu do czasu przybiegała do Agnieszki i kładąc puszysty łeb na jej kolanach, wpatrywała się w nią wilgotnymi paciorkami oczu, jakby przepraszając za zdradę.

Dziewczyna wolała nic widywać Juna. Zdawała sobie sprawę, że dopóki czuje wewnętrzny nieustanny ziąb, nie zdobędzie się na żadne serdeczniejsze słowo ani na wyjaśnienia, które mogłyby rozproszyć jego nieufność czy też złagodzić żal.

Od dzieciństwa w trudnych chwilach życia stawała się milcząca i szorstka.

- Co ci, Aju? - pytała wówczas ciotka. - Twoja nieprzystępna mina zdradza, że spotkała cię przykreść. Chodź, córuchno, opowiedz mi wszystko, bo gotowaś się zmienić w bryłkę lodu...

To się nazywało w ich domowym języku: „odchuchać albo odmrozić Aję”. Nikt inny, prócz ciotki, nic potrafił odgadnąć, że w takich momentach potrzebna jej bywa serdeczność...

Agnieszka musiała jednak przyznać, że Marcina nie zrażała jej oschłość. Wpadał parę razy dziennie, meldując służbiście:

- Wszystko w porządku! Wroga nie widać na horyzoncie!

Dziewczyna sądziła, że to zabawa w oblężenie zamku albo też w marynarza wypatrującego z bocianiego gniazda nieprzyjacielskiej korwety. Tymczasem chłopiec poważnie traktował dobrowolnie przyjęte na siebie obowiązki wartownika. Nie mógł zapomnieć groźby Skuternogi: „Ja was odnajdę. Ja się zemszczę”.

Co prawda nie tak łatwo by byłoby wysledzić kogokolwiek w rozległych puszcach bieszczadzkich, ale chłopiec wolał mieć się na baczności.

- Marcin - powiedziała któregoś dnia Agnieszka - zanieś Junowi te materiały. To są różne atlasy, słowniki, no i notatki pani Anny o Atlantydzie. Może zechce je przejrzeć?

Chłopiec wrócił dopiero po kilku godzinach, promieniejący, wzruszony, z czubem sterującym zawadiacko.

- Druhno! Co ja widziałem!!!

Spojrzała pytająco.

- Jun umie wywoływać nie tylko to, co jest na Ziemi, ale i swoją planetę.

- Jak to?

- Widziałem Atis tak blisko, jak druhnę w tej chwili. Pokazał mi swój dom, ładniejszy od tego na szczycie. Kwiaty tam są duże jak spodki, przeważnie niebieskie. Po niebie latają „poduszkowce”, podobne do tych, jakie Jun rysował. I żadnych nie mają przystanków. Ludzie wysiadają po prostu w powietrzu i lecą dalej już „na piechotę”. Wszyscy mają na sobie skafandry. Aż się mieni w oczach, bo każdy w innym kolorze! I nurkują w tych samych skafandrach! Widziałem faceta, który z „poduszkowca” skoczył od razu do wody. Myślałem, że się utopi, ale Jun wytłumaczył, że oni żyją nie tylko na ziemi, ale i w powietrzu, i w wodzie. Mają piękne podwodne ogrody... Oni są takimi a m f i b i a m i, wie druhna? Ale u nas też są ludzie-żaby i my za parę lat dojdziemy do tego samego, co oni.

- Poznałeś rodzinę Juna? - spytała z wahaniem.

- Nie. Ale nad jego domem z „poduszkowca” wyskoczyła czy wyfrunęła (bo ja wiem, jak to powiedzieć), jakaś dziewczyna i wylądowała w ogrodzie, jak u siebie.

- I co?

- Nie wiem, bo się obraz zmienił i zobaczyłem faceta skaczącego do wody. Ta pani to pewnie jego siostra, taka już trochę starsza, na oko ma ze dwadzieścia lat, oczywiście naszych ziemskich lat.

- Podobna do Juna?

- Nnie. Raczej do cyganichy, co jej się tak Jun przyglądał, kiedyśmy spotkali cygańskie wozy. Też była ładna jak ta dziewczyna z Atis, tyle że rozczochrana.

- Aha...

- Jun specjalnie dla mnie przywołał swoją planetę, bo kiedy przyszedłem, on grał.

- Na czym?

- Żebym to ja wiedział. Na patyku. Takie dylu, dylu na badyłu. Druhna nie wierzy? Poruszał laseczką obok prętu. I to grało. Dziwnie. Bo u nas nie znamy takich dźwięków, nawet w poematach elektronowych... Aha!! Druhno! Przecież nie opowiedziałem najważniejszego! Jun prosi, żebyśmy z nim polecieeli szukać Atlantydy. Polecimy, prawda?

- Polecimy.

- Napiszę list do rodziców, bo potem nic będę mógł wysłać.

- A teraz jak wyślesz?

- Pójdę do Wetliny, a przy okazji kupię zapasów na drogę. Druhna pozwoli? Kosmiczna dieta smakuje lepiej, kiedy się ją przegryza czymś ziemskim. Już dawno nie jadłem chleba z masłem, sera i burego petita.

- Kiedy Jun chce odlecieć?

- Chyba za dwa dni, bo tak jakoś powiedział, że mu dwa dni wystarczą na przeczytanie tego, co mu druhna pożyczyła. Aha. Dziękował za książki i powiedział, że mu pomogą wybrać trasę...

- Dobrze. Uprzedź Juna, że jutro o świcie wyjdziemy oboje na cały dzień. Przy okazji odbiorę na poczcie swoje rzeczy.

Słońce stało wysoko na niebie, kiedy Agnieszka i Marcin wyszli z olszyn na rozległą dolinę zamkniętą z obu stron górami. Wieś ciągnęła się wzdłuż rzeki, między lesistymi wzgórzami a długim wałem Połoniny Wetlińskiej, której łyse szczyty, pokryte trawą, srebrzyły się ponad pasem bukowych lasów.

- Idę do sklepu - powiedziała Agnieszka - wrzuc list i przyjdź po mnie.

Wsuwając kopertę do skrzynki, Marcin ze zdumieniem spostrzegł na czerwonej ścianie różę wiatrów - znak, którego używali obaj z Antkiem, chcąc porozumieć się ze sobą w sprawach nagłych. Znak alarmu.

Obejrzał uważnie skrzynkę ze wszystkich stron i wszędzie znalazł różę wiatrów. Co więcej, na drzwiach urzędu pocztowego czerwoną kredką wyrysowane były strzałki, skierowane ostrzem do wnętrza domu. A obok nich zarys koperty.

To nie był przypadek. Antek szukał go w Wetlinie!

Chłopiec wszedł jeszcze raz do małego pokoju i stanął przy drewnianej balustradzie.

- Cóż, kawalerze, za mało kupiłeś znaczków? - spytał urzędnik.

- Nie... tylko... czy ktoś nic zostawił dla mnie listu? Nazywam się Marcin Więckowski.

- Więckowski? Więckowski?

Urzędnik sięgnął do przegródki z listami. Bez pośpiechu przeglądał niewielką paczuszkę, popatrując przy tym w okno.

- Hej - porwał się nagle z miejsca i zastukał w szybę.

- Panie Grochowski, ej!

W oknie mignęła czyjaś sylwetka i w drzwiach stanął robotnik w wyszarzałej marynarce, z piłą na ramieniu.

- Panie Grochowski, pan idzie w stronę Berechów Górnych, tak?

- Zgadza się.

- Więc zabierz pan listy i rozdaj po drodze, akurat wszyscy adresaci tam mieszkają...

- Dobra - zgodził się robotnik. - Dawaj pan!

- Zaraz, zaraz, jeden list należy do tego kawalera. Marcin Więckowski? Tak? Masz twój list.

Marcin niecierpliwym ruchem rozerwał kopertę. Co się mogło stać w obozie? Czemu Antek go alarmuje?

*Marcin!*

*Z posterunku dano nam znać - czytał - że zatrzymano jakiegoś pijanice, który odgrażał się, że pokaże harcerzom, gdzie raki zimują (delikatnie mówiąc...). Coś tam krzyczał jeszcze, że znajdzie „gościa”, którego my ukrywamy.*

*Posterunkowy Jabłoński pytał oficjalnie, kogo przechowujemy i w jakim celu. Wyjaśniłem łopatologicznie i jak umiałem najformalniej, że nikogo nie ukrywamy, że pijaczynie tylko się coś przywidziało...*

*I jeszcze pytał pan Jabłoński, czemu nie zameldowaliśmy Meksykańczyka, który przebywał u nas na stacji przez dłuższy czas. Powiedziałem, że Meksykańczyk zgłosił się na stację przed samą burzą, a zaraz po burzy odpłynął w dalszą drogę, więc nie było kiedy go meldować. Nie wiem, czy moje zeznanie było tak dalece zgodne ze „stanem faktycznym”, jak tego żądał Jabłoński, ale oparłem się na twierdzeniach Dziadka juniora i Dziadka seniora. Tadeusz też poświadczył, że nikogo obcego nie spotkał na stacji, namioty były nawet chwilowo zwinięte.*

*Aha, ten pijak na razie „odpoczywa” w areszcie, ale mają go wypuścić, bo tylko się upił i trochę narozrabiał. Jabłoński zatrzymał go do wyjaśnienia sprawy. Napisz, jakiemu turyście naraziliście się i dlaczego?*

*Co mam dalej robić?*

*Powtórz wszystko druhnie Agnieszce. Uważajcie na pijaków.*

*Ciao.*

A.

Antek jeszcze raz dowiedział, że jest niezawodnym przyjacielem, który spieszy z pomocą,



nawet kiedy się czuje urażony. W pierwszym odruchu Marcin chciał wskoczyć do autobusu i gnać do obozu. Nareszcie raz wszystko Antkowi opowie, wyjaśni, naradzi się z nim...

Odrzucił jednak ten plan jako nierealny. Skuternoga grasował w okolicy i gdyby go spotkał, mógłby niechcący wskazać mu trop wiodący do kryjówki.

Poza tym, opowiadając prawdę Antkowi, postawiłby przyjaciela w przykrew sytuacji, zmuszając do kłamstwa. Przecież Antek obronił ich znakomicie, nie zdając sobie sprawy, że to, co mówi, wcale nie jest „zgodne ze stanem faktycznym”.

Trzeba było raczej poradzić się druhnny Agnieszki. W proggu chłopiec cofnął się jednak. Jeśli pokaże list druhnny Agnieszce, wyjdzie na jaw, że on rozmawiał z Antkiem o swoim pobycie w pobliżu Wetliny. Druhna Agnieszka nazwie go gadułą i straci do niego całkiem zaufanie.

Nie. Raz przynajmniej musi postąpić zgodnie z radami Plutarcha, który powiada, że: „Przemilczaną rzecz zawsze można wypowiedzieć, ale wypowiedzianej już nie pokryje milczenie...”

Jak wynikało z listu Antka, nie tylko Skuternoga ich poszukiwał, ale i jakiś turysta. Kto to mógł być? Komu się narazili niechcący? I czemu? Może to Król Węży ma do nich żal, że mu nie pozwolili pozostać na stacji i patroszyć żmij?

Za oknami piętrzyły się górskie szczyty. Daleko na wschodzie strzelał w niebo stożek Połoniny Caryńskiej.

Król Węży nie przejdzie tędy ze swoją walizką. Ale Skuternogi trzeba się strzec.

- Czy mogę prosić pana o papier listowy? - spytał urzędnika.

I kiedy otrzymał niebieską, nieco pogniecioną kopertę i arkusik poliniowanego papieru, szybko napisał:

*Antek! Dziękuję za sygnał. Żadnemu turyście nie narażaliśmy się, chyba że Królowi Węży. Sprawdź na wszelki wypadek, czy to na pewno był „turysta”, a nie Skuternoga na przykład. Uważaj na niego, bo on parę razy groził nam zemstą za Gapę. Niech posterunkowy Jabłoński zainteresuje się zielonym skuterem i niech sprawdzi, czy ktoś przypadkiem takowego nie poszukuje.*

*Twój list znalazłem na poczcie, dzięki znakom.*

*Tadeuszowi zdaj relację z awantur, jakie wyrabiał Skuternoga. Strasznie żałuję, że ciebie tu nie ma. Niczego nie chciałem przed tobą ukrywać, tylko tak głupio się złożyło...*

*Opowiem ci wszystko, kiedy się spotkamy.*

*Pojutrze stąd wyjeżdżam.*

*Dziękuję ci raz jeszcze*

*M.*

- Marcin! - W drzwiach stała Agnieszka z pękatym plecakiem przewieszonym przez ramię. - Marcin, co ty robisz tak długo, już myślałam, że się coś stało?

Dopiero teraz spostrzegł, jak bardzo zmizerniała w ciągu ostatnich dni. Twarz jej stała się mniejsza, po prostu ginęła w gęstwinie jasnych włosów.

Marcin odrzucił pokusę, żeby jej wszystko opowiedzieć. „Po co martwić niepotrzebnie - usprawiedliwiał się sam przed sobą. - Będzie na to dość czasu”.

- Napisałem jeszcze jeden list - powiedział głośno. - Przepraszam, że druhna czekała.

Dopiero późnym wieczorem dotarli na szczyt. Ciężki plecak utrudniał wspinaczkę. I chociaż nieśli go kolejno, dobrze odczuli jego ciężar.

- Szkoda, że nie zabraliśmy ze sobą skafandrów - narzekał Marcin. Dziewczyna nie odpowiadała.

Dom jarzył się ciepłym blaskiem. Gapa ze szczekaniem wybiegła na spotkanie. Agnieszka przytuliła jej łebek, ale patrzyła na dom.

- Trzeba będzie prosić Juna, żeby zabezpieczył jakoś tę powietrzną budowlę - powie-

dział Marcin, sądząc, że dziewczynę niepokoją te same myśli, co jego, i zerknął niespokojnie czy się nie zdradził.

- Słusznie - przytaknęła z roztargnieniem - ktoś mógłby przypadkiem tu zawędrować. No, Gapiu, puść mnie - zwróciła się do psiaka. - Nie mamy na co czekać...

Na polanie, pod srebrzystymi splotami płużącego się buka, Gapa pilnowała pakunków.

- Gapiu - szepnął Marcin - polecimy takim pojazdem, jakim nie latał nikt z mieszkańców naszej planety. Zwiedzimy Egipt, Wyspy Szczęśliwe, czyli Kanaryjskie, czyli Psie... i Gibraltar, czyli cieśninę między Słupami Herkulesa, i... zajrzemy na dno oceanu. A jeśli znajdziemy gdzieś szczątki Atlantydy, staniemy się tak znanymi odkrywcami, jak sam wielki Schliemann! Chcesz być sławną, Gapa?

- Wrrau - wyraziła swój pogląd Gapcia i ziewnęła szeroko.

- No to masz burego petita - podsunął psiakowi herbatnik i dodał, zgniatając puste opakowanie: - Szkoda, że Antka nie ma z nami. Kto wie, może nas Jun zabierze nawet w Kosmos?

- Chodźmy, dom zamknięty! - zawołał Jun.

Zabawnie brzmiały ziemskie określenia dla przedmiotów i czynności związanych z planetą spod słońca Tau Ceti. Bliższe prawdy byłyby powiedzenia: że dom jest z a m u r o w a n y czy też s k a m i e n i a ł y, bo z daleka wyglądał jak stożkowaty, ogromny głaz. Jego ściany stały się nieprzezroczyste i tak szare, jak otaczające je skały.

Chłopiec podbiegł i dotknął twardej, chłodnej jak kamień powierzchni.

Doprawdy nie było powodu do obaw. Dom nie różnił się od otoczenia, tworzył z nim całość. Dopiero bliższe przyjrzenie się skamieniałym ścianom mogło wzbudzić podejrzenia.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział sobie. - Naprawdę Plutarch miał rację, wychwalając milczenie...

- Chodź, Marcin!

Chłopiec chciał włożyć do kieszeni puste opakowanie po herbatnikach, ale przypomniał sobie, że leci w daleką podróż, więc obciążanie się śmieciami nie jest wskazane. Wsunął papier w wygrzebany naprędce dołek i przycisnął go kamieniem.

Na polanie, przy srebrnym dysku pojazdu, czekali na nich Agnieszka i Jun.

Jun rzucił krótkie, brzmiące jak rozkaz, słowa i natychmiast w obudowaniu pojazdu powstał otwór, do którego z wprawą i ochotą wskoczyła Gapa.

- Wsiadamy.

„W dwudziestym wieku - rozmyślał Marcin, idąc korytarzem o ścianach gładkich i elastycznych, przez które wpadało zielonkawe światło - w dwudziestym wieku urzeczywistnią się wszystkie baśnie i marzenia... Jun na przykład potrafi czynić z a k l ę c i a lepsze niż czarodzieje, a nawet nasi uczeni pobili na głowę dawnych alchemików”.

W ślad za Junem weszli do kabiny, skąd rozpościerał się daleki widok. Zaledwie usiedli, miękkie pasy unieruchomiły ich, przytroczyły do foteli-leżanek.

Chłopiec na próżno usiłował odszukać coś w rodzaju klamer czy uchwytów, a kiedy zniechęcony podniósł wreszcie głowę, Juna w kabinie już nie było, Gapa swoim zwyczajem wybiegła za nim.

- Lecimy - szepnął do Agnieszki, bo musiał się z nią podzielić swoją radością i niepokojem.

Dziewczyna, zapatrzona w fiołkowe pasma chmur, nie odezwała się ani słowem.

Przezroczyste ściany kabiny stały się koralowe jak wnętrze rozżarzonego pieca. I nagle znaleźli się wysoko ponad światłami osad i miast.

Zdawało się, że wiszą nieruchomo, a tylko Ziemia mknie w szalonym pędzie i na niebo wznoszą się nieznane dotychczas konstelacje.

Jasna Kapella osunęła się za horyzont i znikła. Żłocista planeta Jowisz zabłysła obok

Koziorożca. Niedźwiadek rozwijał na błękitnie swój gwiazdzisty ogon, a jego czerwony Antares \* połyskiwał niby groźne oko legendarnego potwora.

W oddali mżyły światła dużego miasta: pastelowe, delikatne, widziane jakby przez mgłę.

K a i r.

Według planu, tego wieczoru mieli odpoczywać, aby przed świtem ruszyć pod piramidy w Gizah. Wybrali je jako najlepiej zachowane ze wszystkich piramid. Zwiedzanie Kairu nie było przewidziane. Marcin nie mógł się z tym pogodzić. I cóż by to szkodziło, żeby Jun polatał z nimi razem nad miastem. Może nigdy w życiu nie trafi się taka druga wspaniała okazja.

- Jun kochany!

Pasy przytrzymujące chłopca opadły. Mógł wstać.

W blasku bijącym od pojazdu zobaczył piaski jak zamarte fale dziwnego morza.

Krąg światła zacieśniał się, malał, przewyciężany, wchłaniany przez otaczający go mrok.

- Marcin - posłyszał obok siebie głos Juna i ręka przyjaciela dotknęła jego ramienia - chcesz lecieć, tak? Więc jeśli i Agnieszka ma ochotę, polecimy!

## OBLICZE SFINKSA

Nadlatywali nad miasto, które nazwę swą - El-Kahira, czyli Zwycięska - wzięło od gwiazd. Roje świateł błyskały niby cekiny naszyte na czarny aksamit. Jasne skupiska świateł luksusowych dzielnic sąsiadowały z ledwie mrugającymi, pojedynczymi światłami części miasta, gdzie mieszkali biedacy, a czarny, pusty kwadrat wskazywał miejsce oddane zmarłym.

Potężny Nil, spięty świetlistymi paskami mostów, rozlewał się daleko poza granice nadbrzeżnych latarni. Nadeszła pora Akhet - wezbrania wód, kiedy to „drżą serca, widząc wody Haapi - Nilu, ale pola się śmieją, rzeki ożywają...”

Białe, strzeliste minarety i kopuły meczetów wznosiły się nad Kairem. Ulicami mknęły ruchome światelka aut i autobusów.

Kiedy zajaśniał ogromny plac, z którego we wszystkich kierunkach rozchodziły się szerokie, rześciste oświetlone aleje, Marcin rozejrzał się, szukając miejsca, gdzie by mogli wylądować.

„Bodaj gałązka - myślał - jak się prowadzi ptasi tryb życia, to i takie oparcie powinno wystarczyć”.

Nie opodal zobaczył płaski dach. Lampy oświetlały kolorowe krążki stolików i barwne plamy wirujących tancerzy. Dancing widziany „po ptasiemu”! I roześmiał się, wyobrażając sobie zdumienie rozbawionych gości, gdyby na parkiet pomiędzy tańczących spadli z nieba skoczki bez spadochronów...

Na dachu innej kamienicy spostrzegł przylepione w kącie coś jakby jaskółcze gniazdo. A obok? Cóż to? Koza? Tak.

Biała koza spała obok lepianki, którą zbudowano na płaskim dachu. Marcin parsknął śmiechem. Doprawdy Matka-Ziemia miała pomysły. Z każdego szanującego się domu przy-

\* Antares - gwiazda nazwana tak przez Greków jako przeciwstawienie planecie poświęconej bogu wojny Aresowi i świecąca także czerwonym blaskiem. My nazywamy tę planetę Mars - jak Rzymianie.

najmniej raz do roku mieszkańcy wyrzucali śmiecie i skorupy, wszystko to, co jest zbyt stare i już niepotrzebne. Ale o generalnym uporządkowaniu ziemskiego globu jakoś nikt nie myśli. Pozostałości z epoki kamienia łupanego sąsiadują ze zdobyczami technicznymi ery atomowej.

„U nas w kraju wyrzucamy jednak skorupy - pomyślał z dumą - wykwaterowuje się przecież ludzi z baraków i zagrożonych domów, przydzielając im mieszkania w nowym budownictwie”.

Obejrzał się na Juna, nawet byłby rad, gdyby go Jun „podstuchał”. Nie śmiał jednak pociągnąć za ramię przyjaciela ani szepnąć mu czegokolwiek. A nuż Jun powie, że mu wszystko jedno, gdzie na Ziemi jest coś nie w porządku, albo przypomni, że i w Polsce widział niejedną pozostałość z epoki polodowcowej?

Wtem w ciemności, rozpościerającej się za miastem, rozbłysła seledynowa smuga i z czerni wyłoniły się trójkątne budowle, tak jasne, jakby księżycowa poświata skupiła się tylko na nich.

Po chwili buchnęła czerwień i piramida Chefrena stanęła w płomieniach. Światła zmieniły się, przelewały, wydobywając to chropowate powierzchnie piramid, to ruiny świątyń i rozrzucone kamienie, to całą okolicę. Blask padał na rozlane wody Nilu, na pierzaste wierzchołki zatopionych palm i domki skupione na wyspach rozlewiska.

- Och, leśmy tam! - zawołał chłopiec. - Tam się coś dzieje.

Dokoła oświetlonego miejsca noc zdawała się być jeszcze głębsza i tłumy zapatrzone w feerię barw, zasłuchane w głosy przywołujące zamierzchłą przeszłość, nie dostrzegły trzech sylwetek opadających na dach małego domu. Nawet ci, którzy stali na dachu, nie obejrzel się na przybyszów.

Różowe światło wkradło się między potężną piramidę Chefrena i piramidę Mykerynosa - która z woli tego faraona jest najmniejsza z trzech piramid doliny Gizeh - i odnalazło w ciemności wykutą w skale postać ni to zwierzęcia, ni to człowieka. Agnieszka patrzyła z podziwem na ludzką twarz w obramowaniu trójkątnej chusty faraonów, na wysunięte naprzód potężne lwie pazury, na kamienne oczy zapatrzone w przeszłość sprzed tysięcy lat.

Blask potęgował się, luna ożywiła kamienne rysy odwiecznego stróża faraonów, który sam był faraonem o wielu imionach i któremu po wiekach pozostało tylko jedno imię - SFINKS - nadane przez greckiego podróżnika Herodota.

Muzyka podkreślała sens słów rozbrzmiewających głośno i tryumfalnie \*. Dziewczyna nie miała wątpliwości, że potężny głos przemawia w imieniu Sfinksa:

*- Od zarania dziejów, każdego świtu widzę, jak wstaje bóg słońca na drugim brzegu Nilu.*

*Jego pierwsze promienie padają na moją twarz, zwróconą ku niemu.*

*Pozdrawiam cię, Nilu, który toczysz swe wody tam nisko, ty, który jesteś ojcem tej pięknej krainy. To dzięki tobie budowle zajęły miejsce lasów, zostały osuszone bagniska, tamy spiętrzyły wody w rzekach, a kanał połączył dwa morza.*

*Kiedy u moich stóp uczeni śledzili bieg gwiazd, geometrycy wymierzali ziemię, architekci budowali piramidy, uznane za jeden z cudów świata - w innych krajach ludzie polowali w lasach albo mieszkali w pieczarach.*

*Chwała ci, Nilu!*

Światła przygasły, w mroku majaczyła tylko głowa Sfinksa i tablica pomiędzy jego potężnymi łapami.

Jeden z głosów opowiadał, że na tej tablicy faraon Tutmosis IV polecił wyryć historię swego spotkania z panem pustyni. Były to czasy, kiedy zapomniano o Sfinksie, a jego lwie

\* Widowisko „Światło i Dźwięk” — odbywające się przy słynnych piramidach w Gizeh.

ciało zasypały piaski. Nikt nie przychodził składać mu hołdów.

Pewnego dnia młody książę egipski, zmęczony polowaniem, spoczął w cieniu głowy Sfinksa. I we śnie posłyszał słowa:

- Spójrz na mnie, na pana tej równiny! Uwolnij mnie, a będziesz królem. Twoją będzie korona biała i korona czerwona, korony Górnego i Dolnego Egiptu. Twoje będą ziemie, jak długa i szeroka jest ta kraina...

Obudził się książę i natychmiast kazał wydobyć Sfinksa z piasków, które go pogrzebały...

Sfinks spełnił obietnicę. Wkrótce tłumy zebrane nad brzegami Nilu witały nowego pana. Kolorowe łodzie tańczyły na falach.

Faraon Tutmosis IV obejmował władzę.

W dźwiękach muzyki Agnieszka słyszała tętent konnicy faraona pędzącej po piaskach pustyni. Stuk kopyt wzmagał się, lada chwila wynurzą się z ciemności żołnierze.

Ale rozpylone światło obrysowało czarne sylwetki piramid. Zielony krąg padł u wejścia do grobowca. Ucichł tętent koni. Rozległa się żałobna muzyka.

Faraon Tutmosis IV umarł. Odprowadzany pieśnią i lamentem spoczął w sekretnej komnacie swojej piramidy, budowli, której kamienie nie łączone żadnym spoiwem przylegają do siebie najściślej, tak a b y n i e u m k n ę ł o z n i e j m a r z e n i e o n i e ś m i e r t e l n o ś c i ...

- Agnieszko, o czym oni opowiadają? - szepnął Marcin.

- O przemijaniu - odpowiedziała cicho.

I spojrziała na Juna. W półmroku jego profil jakże był podobny do starych egipskich rzeźb.

Jun nie prosił o wyjaśnienia, a tak bardzo pragnęła spytać, o czym myśli. Czy i jemu wydaje się wszystko możliwe tej dziwnej nocy?

Nie zdziwiłaby się wcale, gdyby z mroku pustyni wyłonił się nagle orszak Ramzesa Wielkiego, zdążający na otwarcie kanału, który na rozkaz tego faraona połączył dwa morza. Albo gdyby znów stanęli przed Sfinksem zwycięzcą Egiptu: Aleksander Wielki, Oktawian, Napoleon...

Nikt się nie zjawił. Jun nie odwrócił głowy.

A głosy mówiły teraz o najwybitniejszym potomku faraona Tutmosisa IV - o Amenhofisie II, poecie i myślicielu, za panowania którego, chociaż było tak krótkie, powstała nowa, wspaniała kultura Egiptu.

Czy Jun słuchał opowieści o faraonie, który pragnął przyjaźni ze wszystkimi krajami, który używał swej potęgi i bogactw nie na podboje, ale na popieranie nauki i sztuki?

A tymczasem inny głos niewidzialnego recytatora zaczął mówić hymn do słońca, ułożony przez faraona - poetę:

*- Piękny jest twój wschód słońca, o żywy Atonie, któryś jest początkiem życia. Ty jesteś wielki, potężny, świecący. Tyś wysoko nad ziemią wzniesiony. Choć jesteś daleki, promienie twoje sięgają ziemi. Gdy wschodzisz, wszystko żyje, a gdy kryjesz się - wszystko zamiera...*

„Dla boga słońca wyrzekł się faraon swego imienia Amenhofis - myślała Agnieszka - dla niego wybrał nowe: Echnaton, czyli Akh en Aton - ten, który miły Atonowi. Dla Atona porzucił wspaniałe Teby, przenosząc stolicę do nowo zbudowanego miasta, które nazwał Miastem Horyzontu Słonecznego.

Czy odrzucając oficjalnych bogów, poszedł śladami Atlantów, tych legendarnych nauczycieli jak Toth, którzy czcili tarczę słoneczną - źródło życia na ziemi?

Zielone światło znów padło kręgiem przed wejściem grobowca. Kobięcy głos mówił teraz o bukicie polnych kwiatów, które położyła na sarkofagu faraona piękna królowa Nefre-

tete. Ona to stała u boku swego męża, kiedy prowadził nierówną walkę z potężnymi kapłanami.

Opustoszało Miasto Horyzontu Słonecznego, zniszczono świątynie boga słońca, a imię faraona-poety zostało wyklęte, wymazane z dziejów Egiptu...

Zza piramidy Mykerynosa wypłynęła planeta Jowisz i zawisała jak diadem nad czołem Sfinksa.

Agnieszka zapragnęła, aby ucichły wszystkie głosy mącące ciszę pustyni, aby zagasły wszystkie sztuczne światła i aby pozostał tylko jasny księżyc na granacie nieba i ta gwiazda, która towarzyszyła Panu z równiny Gizeh - już przed tysiącami lat.

- Marcin, Marcin!

- Chcę spać - mruknął, obracając się na leżance - przecież dopiero co wróciliśmy.

- Wstań. Lecimy pożegnać Sfinksa. A może chcesz zostać z Gapcią?

Chłopiec porwał się natychmiast na nogi. Jeszcze było ciemno, ale niebo pojaśniało i lada chwila słońce mogło wytoczyć się zza horyzontu, zamieniając noc w jasny dzień.

Chętnie wpakowałby się do jeziora albo chociaż do strumienia, aby się odświeżyć. Ale to luksus na pustyni. Musiał się zadowolić odświeżającym „wentylatorem”.

Jak okiem sięgnąć dokoła nich ciągnęły się piaski: szaropłowe, groźne, smutne. Nie budziły tej radości, co widok nawianych wiatrem i ściętych mrozem fal śniegu, na których słońce rozpala fiołkowe i purpurowe iskierki. A przecież plemiona Beduinów, jeśli decydują się na życie osiadłe, budują swe domostwa w pobliżu pustyni - aby móc na nią ciągle patrzeć.

Piramidy, stojące na wzgórzu, wśród skał wyżłobionych w ciągu stuleci przez wiatry, wyglądały jak skamieniałe namioty olbrzymów otoczone półkolem współczesnego miasta.

Wszyscy troje opadli na ziemię u stóp piramidy Cheopsa.

Trzy tysiące ogromnych, chropowatych brył piętrzyło się nad ich głowami. Trudno uwierzyć, że dźwignięto je w górę nieomal bez narzędzi, nieomal bez maszyn, wysiłkiem ludzi, padających z wyczerpania. Piramida, która miała zapewnić faraonowi nieśmiertelność - im odebrała życie.

Agnieszka śpiesznie prowadziła Marcina i Juna do Sfinksa. Na wschodzie błysnął Syriusz. I niemal natychmiast czerwona tarcza słońca wytoczyła się zza horyzontu, a w jego blasku znikła jasna gwiazda, wyznaczająca lata starożytnemu Egiptowi.

Pierwsze promienie padły na twarz Sfinksa obramowaną kamienną chustą. Zniekształcona w średniowieczu kulami salwy armatniej, była mimo skaleczeń pełna majestatu i powagi.

- Kam leile, kam ja - rozległ się przeciągły śpiew. Ale nikogo nie było widać w pobliżu.

- Kam leile, kam ja. O, słońce, które dajesz jasność dnia...

- Kto ma rację? - spytał Marcin. - Czy ci, którzy myślą, że Sfinksa wykuto za czasów faraona Chefrena, czy ci, którzy sądzą, jak mi druhna mówiła, że o wiele, wiele dawniej? Może wykuli go Atlanci?

- Nie wiem - odszepnęła.

„Dziwny jest człowiek - myślała. - Zdobywa i porzuca cenne osiągnięcia, marnuje jak zabawkę, która się znudziła, burzy, niszczy. A potem odszukuje ślady przeszłości, składa ją z ułamków, odgaduje, jaka mogła być... Może dlatego jest tyle legend o końcu świata i o ludziach, którzy ocaleli i zaczęli życie od początku?”

Niewiele umiała powiedzieć Junowi o jednej z takich tajemnic. Z niczym powróci na Atis. I cóż powie swoim braciom o Błękitnej Planecie?

Spojrzała na niego. Nie był już dla niej bezbronnym gościem z daleka, którego postanowiła uchronić przed niebezpieczeństwami i którym chciała kierować. Ani gniewnym i potężnym mieszkańcem innego słonecznego systemu. Przed Sfinksem, wpatrzony w zniekształconą twarz stróża faraonów, stał człowiek, którego spotkał zawód. Zapomniała o wszystkich oba-

wach i urazach, przejęta jedną tylko myślą, że Jun może odlecieć pełen pogardy dla Ziemi, jeśli mu nie wyjaśni, nie wytłumaczy...

- Jun! - zawołała. - Nie myśl źle o naszej Ziemi! To ja nie umiałam ci jej pokazać! Takich ludzi, jak Akh en Aton, było wiele i jest wiele. Wierz mi, Jun...

Zwrócił się do niej. Wpatrywał się uważnie, z nieomal bolesnym skupieniem, w jej twarz.

- Jun, uczeni całego świata, całego naszego globu współpracują ze sobą. Gdybyś teraz obleciał wszystkie stolice, w każdej napotkałbyś grupę naradzających się uczonych z różnych krajów. I to jest najważniejsze, zrozum, Jun, od tego zaczynają się nowe czasy, które nadchodzą, od porozumienia... To niełatwe, ja wiem... Ale już jeden kontynent został nazwany Łądem Pokoju i tam nie wolno walczyć. Tam pracują w zgodzie przedstawiciele wielu krajów. Nie tylko oni, każdy człowiek może przyjechać tam bez wiz, bez pozwoleń, jeśli jego praca będzie służyła całej ludzkości.

To pierwszy u nas Łądem Pokoju. Ale mój kraj wraz z innymi krajami walczy o to, żeby powstawały na Ziemi Strefy Pokoju, pozbawione najstraszniejszej broni, jaką rozporządza człowiek. I wierzę, że z czasem cała Ziemia stanie się Łądem Pokoju!

Urwała, niespokojna, czy jej słowa dotarły do niego, czy ją zrozumiał.

- Jun, nie chciałam cię oszukać, i proszę cię, zawsze, zawsze czytaj w moich myślach. Ja nic, naprawdę nic, nie mam do ukrywania, Jun!

Ciepłe dłonie Juna ujęły jej wyciągnięte ręce, zamknęły w mocnym uścisku, jego oczy patrzyły na nią jak dawniej, ufnie i serdecznie.

Więcej nawet. Jego wzrok prosił o wybaczenie.

Gdzieś w pobliżu rozległy się dziecinne głosy. Gromadka bosonogich malców śpieszyła do nich, upominając się o bakczysz. Marcin sięgnął po herbatniki, które natychmiast znikły w opalonych łapkach. Dzieciaki zaświergotały coś po swojemu i pomknęły w stronę drogi, gdzie ich bystre oczy wypatrzyły zbliżającą się karawanę.

Na spotkanie pierwszych turystów wolno szły wielbłądy w kolorowych czaprakach, a obok błyskała biel burnusów i dżelabii.

Obraz zamazywał się, bo nad rozżarzonymi piaskami, nad fiołkowymi cieniami piramid drgało rozgrzane powietrze.

Niebo nabrało żółtozielonego odcienia i tylko wysoko ponad głowami lśniło niezmaconym błękitem.

Jun dał znak i, trzymając za ręce Agnieszkę i Marcina, wzbił się w górę. Uniosło ich lekkie powietrze. Piramidy pozostały za nimi, jakby wrysowane w przyprószony piaskiem niebo.

A jeśli ktoś z karawany patrzył w stronę odlatujących, może zasrebrzyli mu się na chwilę przed oczyma?

## GŁOSY ZIEMI

Gapa przywitała powracających wylewem burzliwych uczuć. Długo krążyła od Juna do Agnieszki i Marcina z jazgotem i przymilnymi pomrukami, to przewracając się, to podskakując. Kiedy zwinęła się wreszcie u nóg Juna, Agnieszka powiedziała po chwili wahania:

- Jun, mam do ciebie prośbę.

Oderwał dłoń od Gapcinych kudełków.

- Słucham...

- Proponowałeś, że pokażesz mi, co będę chciała... tak jak Marcinowi jego rodzinę.  
Ściągnął lekko brwi.  
- Po co przywoływać na nowo tak niedobry dzień. Pokażę ci, co zechcesz, to jasne.  
- Pokaż mi Ziemię.  
- Polecimy dokoła Ziemi? - Marcin aż przybladł z wrażenia. - I w Kosmos? Tak? Ojej!  
Szkoda tylko, że przedtem musimy jeszcze znaleźć tę Atlantyde...  
- Polecimy zaraz - uśmiechnął się Jun. - Szukanie przeszłości odłożymy na później.  
- Zaraz?! Jeśli tak, to wywołaj, Jun, swoje „stoliczku nakryj się”, bo jesteśmy głodni -  
powiedziała Agnieszka.

I natychmiast spod podłogi pojazdu wyłonił się zastawiony jedzeniem stół.  
- Czy dziś może repeta? - dopytywał się Marcin.  
- Repeta, r e p e t a? Aha, to samo jeszcze raz? Pewnie, że tak.  
- Świetnie. Zamawiam podwójną porcję tych nektarów, jak je nazywa druhna, bo mi  
język skołczał i przysechł do podniebienia.  
- Czyżby? - zdziwiła się Agnieszka. - Nie wiedziałam, Marcinie, że jesteś brzuchomów-  
cą.

Roześmieli się wszyscy troje tak beztrosko, jak wówczas, kiedy podczas burzliwych dni  
nasłuchiwali wycia wichru i upartego stukania deszczowych kropel w namiotowe płótno.

Pojazd opadał w czerń zimowej antarktycznej nocy, a na niebie, nabitym kryształowo  
jasnymi gwiazdami, coraz szersze stawały się zielonkawe wstęgi polarnej zorzy, coraz wyraź-  
niej występowała czerwień ich obrzeżenia.

Na dole pojawiły się mgliste światełka. Nie próbowali zgadywać, czy to błyska Little  
America znad Morza Rossa, czy Mirnyj na Brzegu Prawdy, czy Schakleton nad Morzem  
Wedella, czy też jakaś inna stacja. To nie było ważne. Pojazd zatrzymał się w powietrzu nad  
Łądem Pokoju, nad Kontynentem, na którym pracowano dla dobra wszystkich ludzi Ziemi.

Światełka zamazały się i znikły. Na Ziemi miotła się ciemność. Niebo jednak pozo-  
stało niezmiennie fiołkowe, usiane gwiazdami, opasane od północy zielonymi szarfami polar-  
nej zorzy.

Jun dotknął hełmów.

Jak w kinie, kiedy nagle zajaśnieje ekran, zobaczyli pod sobą nie kończącą się ruchomą  
płaszczyznę, tumany szarego śniegu pędzące ku brzegom morza.

Niczego nie można było dojrzeć wśród tej zawieruchy. Ale poprzez wichurę przedostały  
się dźwięki. Zrazu niewyraźne, powtarzały się uparcie, aż Agnieszka chwytając Juna za rękę  
krzyknęła:

- Ktoś woła na ratunek! Słuchajcie!

Teraz już i Marcin wyłowił wśród huków wiatru sygnały alarmu.

I naraz w odpowiedzi, ze wszystkich stron jednocześnie odezwały się głosy krzyżując  
się w powietrzu.

- Gdzie zdarzył się wypadek? Kto może najszybciej dostać się do rozbitków? Czy nikt  
nie jest ranny? Czego potrzeba?

Agnieszka była pewna, że ci nieznani a bliscy ludzie nie zawiodą, a jednak usta jej  
drżały, a oczy wypełniły się łzami. Słuchała z napięciem głosów ludzi, gotowych w każdej  
chwili nieść pomoc, bez względu na to, jakiej narodowości byli ci, którzy tej pomocy potrze-  
bowali, i bez względu na grożące niebezpieczeństwo.

Poczuła, że Jun patrzy na nią, i szybko wytarła oczy.

Pojazd opadł jeszcze niżej i wśród zamieci pojawiły się znowu ledwie dostrzegalne  
światełka, niepewne, ścierane co chwila przez śnieżycę.

Siła wiatru jednak słabła, na ziemi zamajaczyły szare garbki zasypanych śniegiem  
domów i pajęczyny anten.



Na szarym tle dostrzegli ruchome sylwetki, które jak widziane w podczerwonym świetle żywe istoty, zdawały się promieniować ze siebie ciepło.

Mignął smukły kształt samolotu i naraz spod jego skrzydeł trysnęły smugi ognia.

- Turbośmigłowiec! - zawołał Marcin. - Lećmy za nim, może się przydamy...

Wichura pędząca z głębi ładu uderzyła ze zdwojoną siłą, zasłaniając wszystko dokoła. Widzieli jednak na ekranie maszynę przebijającą się z trudem przez ścianę śniegu i wiatru. Trwało to długo. Tracili nadzieję, czy lot się skończy kiedykolwiek, zdawało im się, że wiszą nieruchomo nad huczącą ciemnością.

Wreszcie samolot zatoczył koło, jedno, drugie... Głos rozbitków dobiegł wyraźniej.

Wiatr przycichł. Zamajaczyła szara płaszczyzna lodowa z jaśniejszymi kresami rozpadlin i szczelin. Samolot krążył, szukając miejsca do lądowania, ale jego reflektor był zbyt słaby, światła zaledwie muskały ziemię.

Jun powiedział coś krótko, nakazująco i jaskrawy blask wydobył z ciemności srebrzystą płaszczyznę. Stożek światła, padający z pojazdu, wędrował przez pewien czas po lodzie i śniegu, omijając czarne wzgórza, dotykał lodowych szczelin, aż wykrył długi pas gładziny. Wtedy znieruchomiał.

Samolot ześliznął się ku ziemi, potoczył po jasno oświetlonym lodowisku i stanął. Biegli ku niemu rozbitkowie.

Agnieszka napotkała błyszczące, jasne spojrzenie Juna. Uśmiechnęli się do siebie.

W drodze powrotnej pojazd leciał nad samolotem oświetlając jego trasę. Dopiero kiedy maszyna opadła na lotnisko przy stacji, Jun wyłączył światło.

Znów rozpościerała się pod nimi szara płaszczyzna.

- Co to - spytał Marcin, wskazując ogromny, wirujący biały dysk - a właściwie k t o t o - poprawił się - bo to muszą być żywe istoty. Są białe w tym świetle.

- Pingwiny cesarskie - powiedziała Agnieszka - jedyny ptak podbiegunowy, który jako porę lęgu wybrał sobie zimową noc.

- A czemu one się tak wiercą?

- Zmieniają miejsca, żeby wszystkie mogły się kolejno ogrzać.

Chłopiec patrzył chwilę, jak w nieustannym ruchu ptaki posuwały się od cieplejszego miejsca ku zimnemu obwodowi „dysku” i z powrotem, do przytulnego wnętrza, ogrzanego ciepłem własnych ciał. Tak kazał im instynkt samozachowawczy ich gatunku.

- Ludzie mogliby się od nich uczyć - cicho powiedziała Agnieszka. - Już widzę, jak chuligany roztrącają innych, włączając do środka i kopiąc tych, co się ośmielają do nich zbliżyć. No i zamrzliby wszyscy na lodowe bryłki...

Pojazd wyskoczył spoza granicy mroku, naprzeciw Słońcu, szybciej Słońca - i zatoczył koło nad Ziemią.

Pojawiały się pod nimi to wody oceanów, masywy górskie, nie kończące się łąny pól, ogromne miasta, nad którymi płonęły łuny światła, to puste tereny polodowcowe, pokryte tak gęsto jeziorami, że wydawało się, jak gdyby to ocean prześwitywał przez cienki jak kromka chleba płat ziemi, leżący bezpośrednio na jego wodach.

Jakże bogata i różnorodna była Ziemia.

Agnieszka zastanawiała się, co pokaże Junowi później, kiedy już wrócą do domu. Czy gigantyczne przedsięwzięcia - jak budowa miast na morzu, jak osuszanie przybrzeżnych wód, jak walki z pustynią, czy może próby zdobywania nowych źródeł energii, nowych możliwości żywienia?

- Jun - szepnęła wreszcie - a jednak najpierw pokażę ci osiągnięcia niedostrzegane już przez ludzi, bo znane od lat i codzienne. Pokażę ci wszystkich tych, którzy czuwają dzień i noc, gotowi w każdej chwili nieść pomoc, przeciwdziałać nieszczęściom i kataklizmom jak: choroby, pożary i burze na lądzie i morzu... Żebyś się przekonał, że takich ludzi możesz spotkać nie tylko na Antarktydzie.

Niebo i Ziemia zamieniły się w jasne pasma na tle czerni, jak bieg gwiazd utrwalony na czułej kliszy.

Marcin czekał, że jego krew zacznie krążyć wolniej, że on cały skamienieje niby król Wysp Hebanowych z baśni Leśmiana. Oparł się wygodnie na zagłówek, żeby szyja nie ułamała się pod ciężarem głowy - jak suchy badylek.

I pragnął czuć to samo, co kosmonauci, i lękał się trochę. Ale nic się nie zdarzyło.

Ręce i nogi były wciąż jego własne, z krwi i kości, a nie z kamienia czy żelaza.

- Marcin - zawołał Jun - czy chcesz sprawdzić, że nic nie ważysz?

- No - zdołał tylko wykrztusić w odpowiedzi.

Pasy przytrzymujące chłopca opadły i uleciał w powietrze jak balonik. Poruszając rękoma i nogami unosił się pod sufitem kabiny.

- Agnieszko - wołał do dziewczyny, spoglądającej na niego z niepokojem - tu można latać „na piechotę” i bez specjalnego skafandra, muszę spróbować...

- Jun - krzyknęła - proszę cię bardzo, uwiąż go na lince, bo nie będę miała ani sekundy spokoju. On już chce coś wypróbować!

- Czuję się jak balon na uwięzi - oznajmił Marcin, kiedy Jun przymocował go do siebie cienką linką, mającą tę własność, że się rozciągała w miarę jak chłopiec oddalał się od niego.

- Mógłbym cię nawet wypuścić na zewnątrz - powiedział Jun. - Nic się nie stanie - uspokajał Agnieszkę - ta linka nie pęknie, zresztą będziemy widzieć Marcina przez cały czas.

Chłopiec przejęty i rozradowany, nawet nic dostrzegł, w jaki sposób i kiedy wymknął się z pojazdu. I na górze, i na dole otaczało go niebo. Niepodobna było zresztą stwierdzić, co jest górą, a co dołem. Podkurczył nogi, położył się, przewracał - i nic się nie zmieniało: wisiał w środku czarnej kuli, błyszczącej nieruchomo światłami gwiazd.

Mimo woli dotknął linki, żeby się upewnić, że się nie zgubił. Igłę znaleźć można w stogu siana, przebierając źdźbło po źdźble. I nawet ziarnko maku na piaszczystej plaży... Ale któż odnalazłby człowieka, pyłek zagubiony wśród niezmierzonej przestrzeni? Straszna to kara - być strąconym w Kosmos!

Spojrzał na Ziemię i ucieszył się jej widokiem. Wyglądała jak spłaszczony, gruszkowaty globus wypromieniowujący błękitną poświatę.

Dziwne. Kiedyś jego dom i rodzice wydawali mu się całym wielkim światem - a teraz patrząc na Ziemię, nie mógł dojrzeć nawet swojego kraju.

Cała Ziemia stała się kochanym, dalekim domem.

Słońce gorejące przeraźliwym blaskiem wyglądało jak na baśniowych obrazkach: w złotej koronie ognistych języków. Mleczna Droga jak srebrzysty wąż oplatała kulę nieba, dzieląc ją na dwie połowy. Z radością spoglądał na nią jak na dobrego znajomego, napotkanego w obcej okolicy.

Czy Antek uwierzy, że on, Marcin, stał się stworzeniem, które świetnie się czuje i w powietrzu, jak ptak, i w międzygwiazdnym oceanie, jak dziwna, kosmiczna „ryba”?

Żebyż tylko kochani mieszkańcy Błękitnej Planety nie zrobili wysypiska śmieci w Kosmosie, bo astronauta przyszłości napotykaliby w lotach międzygwiazdnych butelki po wódce i pudełka po papierosach obok meteorów...

Nieprzyjemnie byłoby czytać w gazetach: Planetoida X, jak się okazało, była już odwiedzana przez Ziemiaków, bo znaleziono na niej skorupki od jaj i porzuconą „ćwiartkę”.

Przypomniał sobie o pociskach termojądrowych, wyrzucanych w przestrzeń kosmiczną, o planach wysypania igiełek, które miały krążyć dokoła Ziemi.

Czy na pewno jeszcze ich nie wysypano? Gdyby się tak dostał do takiego iglastego pasa, ba, napotkał jedną z takich igiełek, marny byłby jego los.

Odsunął od siebie tę myśl. Igiełki, jeśli nawet krążyły w przestworzach, to na pewno gdzieś bliżej Ziemi, a pocisków tworzących pasy radioaktywne też nie wyrzucano na taką

odległość...

Ale co się stanie za kilka lat?

Szarpnął linkę, która zaczęła się kurczyć, ciągnąc go w stronę pojazdu.

Uspokojony, pewny, że za chwilę zobaczy przy sobie przyjaciół - chłopiec przycisnął hełm tak, jak go nauczył Jun.

I wtedy dotarły do niego głosy Wszechświata, potężny ryk Słońca, gwizdy i trzaski gwiazd, i echa dalekich galaktyk...

Tymczasem Agnieszka i Jun stali na zewnętrznej platformie. Ogarniało ich niebo, całe niebo, bo przecież pojazd był czymś tak nikłym wobec jego ogromu, że nieomal nie istniał.

- Aju - postyszała i mimo woli mocniej przycisnęła hełm, żeby lepiej słyszeć, tak nieprawdopodobnym wydało jej się, że Jun nazywa ją imieniem, już na w pół zapomnianym. - Aju, przestań szukać Marcina. Mogę w każdej chwili powiedzieć ci, co on robi. Czuję każdy jego ruch. Przestał właśnie się kręcić - widocznie zapatrzył się na Ziemię.

Spójrz, czy widzisz te drobne gwiazdy w pobliżu Niebieskiego Wozu? To na ich tle widziałem Słońce z planety Atis. Już wiem, jak się nazywają. Znalazłem w atlasie. To Warkocz Bereniki. Skąd ta nazwa, powiedz?...

Warkocz Bereniki. B e r e n i k i... To imię przewijało się w opowieściach, które słyszała w dzieciństwie od ciotki. Berenika... Berenika - królowa. Na pewno - królowa.

I nagle Agnieszka przypomniała sobie.

- Jun, to była młodziutka królowa Egiptu, żona Ptolemeusza III Euergetesa. Kiedy jej mąż wyruszył na wojnę, ofiarowała bogom swój warkocz, błagając, aby faraon wrócił zdrow i cały. Po skończonej wyprawie wojennej oboje udali się do świątyni, ale nie znaleźli tam włosów królowej. Znikły bez śladu. Dopiero po paru dniach poeta dworski Kalimach obwieścił w poemacie, że to bogowie zabrali warkocz i umieścili go na firmamencie niebieskim. I że ta nowa konstelacja gwiazdna, odkryta przez nadwornego astronoma, po wieczne czasy będzie nosiła nazwę: Warkocz Bereniki... Podobno królowa Berenika miała prześliczne złote włosy...

- Jak ty - dobiegły do niej tak ciche słowa, że nie była pewna, czy je naprawdę słyszała.  
- Jak ty, Aju.

- Jun - powiedziała, aby ukryć zmieszanie - po prostu nie chce mi się wierzyć, że kilka tygodni temu zobaczyłeś Ziemię po raz pierwszy. O czym myślałeś wtedy, co czułeś?

- Pomyślałem, że jest naprawdę błękitna, i zapragnąłem usłyszeć jej głosy. Zabrzmiały przyjaźnie, ale omijały mnie, jak gdybym nie istniał.

- Jun, chcę posłuchać teraz, razem z tobą.

Skinął ręką i natychmiast w ciszę wdarł się zgiełk i szum zmieszanych głosów i sygnałów.

Po chwili w gwarze wyodrębniła poszczególne słowa i z niepokojem usiłowała zrozumieć ich sens.

Ktoś zawiadamiał, że wysyła samolotem lekarstwa dla zatrutych dzieci z innego kraju.

Odetchnęła z ulgą.

- Jun - szepnęła - nie myliłeś się. Głosy Ziemi brzmią przyjaźnie. Żadne wołanie o pomoc nie przemija bez echa. Nieomal wszystkie kraje śpieszą zawsze na ratunek ludziom zasypanym ziemią, zalany powodzią, ofiarom tajfunu... Może więc mieszkańcy Błękitnej Planety wkrótce zrozumieją, że nie wolno im samym powodować straszliwych klęsk?

Na tle czerni mignęło coś srebrzyście i na galeryjkę spłynął lekko Marcin.

- Zaćmienie Słońca! - krzyknął. - Patrzcie! Prawdziwe zaćmienie Słońca, i to w Kosmosie!

Jego wyciągnięta ręka wskazywała ciemną tarczę Ziemi, otoczoną płomienną grzywą słonecznej korony.

## SŁUPY HERKULESA

Szare kłębki mgły przepływały za przezroczystymi ścianami pojazdu, ciemniejąc to rozjaśniając się na przemian.

Cisza. Żaden dźwięk nie dolatywał ani od strony Ceuty, ani od Tangeru.

- Wsiadamy - zdecydował Jun - i polecimy od razu na Gibraltar. Nikt nas nie zauważy we mgle, a my będziemy widzieć wszystko. - I dotknął hełmu Marcina i Agnieszki.

Natychmiast przed ich oczyma ukazał się masyw gór Atlasu, ciągnącego się niebotyczną ścianą w odległości około pół kilometra od brzegu.

- Gapa - zawołał Marcin, a psiak, który podejrzliwie obwąchiwał kępki spalonej trawy, natychmiast podbiegł i posłusznie skoczył do pojazdu.

Jun zostawił jej mały wybieg, coś jakby galeryjkę na wysokości około dwu metrów nad ziemią. Spojrzała rozumnie, kiedy nakazywał, żeby nie szczekała.

Wichura uderzyła gwałtownymi falami jak halny, ale jej dotknięcia nie były miękkie i pachnące - zapychała usta i nos obrzydliwą wilgocią. Trzymając się za ręce wzbili się w powietrze jak troje ludków wyciętych z jednego kawałka papieru.

Porywy wiatru szarpały ich, ześlizgiwały się po skafandrach; bolała głowa i ramię przy ukośnym przebijaniu się przez oporną ścianę powietrza.

Męcząca szarpanina przedłużała się w wieczność, ale w końcu wiatr zaczął dąć równomiernie, lot stał się łatwiejszy i jakoś dość szybko znaleźli się za osłoną skały, o którą rozbijały się podmuchy. Przepłynęli nad zielonymi wierzchołkami oliwek i karłowatych sosen, w których szeleścił wiatr; nad kamienistymi ścieżkami opasującymi północne zbocze.

Mgła rzedła, stawała się przezroczysta i zwijając się w obłoki nikła za skalnymi załamaniami.

Kiedy stanęli na szczycie, Agnieszka zsunęła z głowy hełm i promienie słońca, które przebiły powłokę chmur, musnęły ciepłem jej policzki, rozblęły w jasnych włosach.

Wzburzone fale z szarych stawały się błękitne. Wiatr je popychał ze wschodu, tworząc na szafirowej powierzchni białe, równoległe, przerywane paski.

W głowie się mąciło patrzeć pod nogi, gdzie stromo urywała się skała, rzucając na wodę seledynowy i żółty cień, i gdzie u stóp urwiska przycupnęły domki niby stado gołębi.

Jun spoglądał na rozpościerający się przed nimi widok. Kiedy tak milczał, znowu stawał się dla dziewczyny przybyszem z obcej planety, zamkniętym w sobie i nieodgadnionym...

O czym myślał? O locie nad Ziemią, podczas którego zobaczył Łąd, gdzie wszyscy byli sobie przyjaciółmi? Czy może o ruinach dawnego państwa ateńskiego, o którym mówił Platon, że zatopiły je fale oceanu wdzierającego się wąską gardzią Gibraltaru.

Dalekie Wzgórze Małp, czyli Dżebel Musa \* po stronie afrykańskiej wyglądało jak pomniejszony masyw wrzynającego się w morze Gibraltaru, jak oderwana jego część.

Może podanie o Herkulesie, rozrywającym brzegi dwu kontynentów, zawiera w sobie jakąś cząstkę prawdy?

Na obu skałach mieszkają takie same małe magoty. Kto i kiedy przewiózł je do Europy i osadził na Gibraltarze? Może osiedliły się same, przechodząc po wąskim przesmyku, który kiedyś łączył Afrykę i Europę, podobnie jak Gibraltar łączy się i dziś z Europą pasemkiem ładu, wyglądającym jak długie, białe molo.

Gdybyż mogła zgłębić tajemnice, zagrzebane piaskami pustyni, zatopione w głębinach wód.

- Jun! - zawołała bezgłośnie.

\* Dżebel Musa - zakończenie Ceuty.

Nie odwracając głowy ujął jej rękę. Dawał znak, że będzie słuchał jej myśli.

„Jun, od strony Atlantyku znajduje się port hiszpański Kadyks, którego stąd nie możemy zobaczyć. Platon mówił, że dawniej nazywano go Gadeir i że całe wybrzeże gadeirskie należało do jednego z władców Atlantydy - Gadeira.

Stara księga Fryzów \*, którą przekazywali sobie z pokolenia w pokolenie, pilnując «jak własnej duszy i ciała» - opowiada, że w tym porcie, po klęsce wojennej i katastrofie Atlantydy, pewien żeglarz imieniem Inka odłączył się od statków Neef Tuny i popłynął sam szukać szczątków zatopionej swojej starej ojczyzny - Aldland, nazywanej także Atlan.

Inka? Jakie to dziwne, że imię tego żeglarza przypomina nazwę jednego z plemion indiańskich, tego, które w środkowych Andach stworzyło państwo o wysokiej kulturze.

Czyżby tajemniczy żeglarz Inka, który nigdy nie powrócił do Europy i po którym słuch zaginął - stał się założycielem indiańskiego plemienia czcicieli słońca? Czy też przeciwnie, i on, i to plemię pochodzą z tego samego szczepu, mieszkającego niegdyś na starym lądzie Aldland - Atlan?

Hiszpańscy najeźdźcy zniszczyli literaturę indiańską. Większość zabytków i dokumentów uległa zagładzie. Uczeni, którzy wydobywają z piasku, wydostają z dna morskiego pozostałości dawnych kultur, zdołają być może odtworzyć kiedyś dzieje ludów i lądów zmiecionych przed wiekami z powierzchni ziemi. Ale kiedy to nastąpi?

Tak mało wiem. Mogę tylko powiedzieć, że o krainie szczęścia, o rajy ziemskim - człowiek nie przestawał nigdy marzyć, nigdy nie przestawał za nim tęsknić”.

Palce Juna zacisnęły się mocniej na jej dłoni. Coś powiedział głośno, ale w górze zagrzmiały przelatujące samoloty i zagłuszyły jego słowa. Nagle wypuścił jej rękę.

- Gdzie Marcin?

Spojrzała tam, gdzie jeszcze przed chwilą stał chłopiec. Zobaczyła tylko migające we mgle, rozmazane światła portu i miasta.

Nastłuchiwali chwilę.

Ale nikt ich nie wzywał.

Marcinowi szybko sprzykrzyła się bezczynność. Jun w zamyśleniu spoglądał przed siebie. Agnieszka także milczała. Co gorsza, jej spojrzenia przypominały o złotych zasadach Plutarcha. A jak długo wytrzymałby sam Plutarch, nie mówiąc ani słowa? Szczyt góry był pofałdowany, każdy garbek wabił chłopca ku sobie, zapowiadając niespodzianki. Pusto. I cóż w tym złego, jeśli on przejdzie się trochę? Jun i Agnieszka wcale nie zauważą ani jego nieobecności, ani jego powrotu. Trzeba tylko nie ściągać myślami Juna i wszystko będzie dobrze.

Po powrocie z Kosmosu wszystkie zakątki Ziemi były dla Marcina jak własny, bezpieczny, rodzinny dom. Nasunął hełm i wycofał się bezszelestnie.

Obracające się anteny radiowe wyglądały jak ogromne ruchome pajęczyny, do nich lepiej było się nie zbliżać.

Po namyśle chłopiec skręcił na północo-wschód, gdzie zauważył podczas lotu duże prostokąty, bielejące na tle szarej skały. Czy to były betonowe zbiorniki na wodę deszczową, o których wspominała Agnieszka? Należało to sprawdzić. Już wkrótce Marcin uznał, że wycieczka krajoznawcza po Gibraltarze nie udała mu się. Mgła zakryła przed nim morze i brzegi obu kontynentów tak, że dostrzegał tylko nierówności skalne pod swoimi nogami. Miał zamiar zawrócić, kiedy posłyszał czyjeś ciężkie kroki. Trudno było się zorientować, z której strony zbliża się nieznajomy, postanowił więc umknąć przed nim w górę.

Oderwał się od ziemi, niemal zderzając się z wartownikiem, i ubawiony jego przerażeniem, zniknął mu z oczu. Otoczyły go ze wszystkich stron zwiewne, ale nieprzezroczyste cienie.

\* Fryzowie - zachodniogermański szczep, znad Morza Północnego, który walczył z Rzymianami. Resztki tego szczepu mieszkają obecnie w Niemczech i Holandii.

Dłuższą chwilę chłopiec zataczał koła nad szczytem, czekając, aż mgła się rozwieje i on zobaczy miejsce, gdzie by mógł lądować bezpiecznie.

Znudziło mu się jednak krążyć w kółko jak Gapcia za własnym ogonkiem i postanowił uruchomić urządzenie, dające możliwość widzenia w mroku, które jakoś się wyłączyło podczas zdejmowania i ponownego wkładania hełmu. Naśladowując Juna, delikatnie dotknął ledwie wyczuwalnego zgrubienia na hełmie, ale mrok wcale nie rozjaśnił się. Chłopiec natomiast uczył, że spada.

Jak na ironię właśnie w tej chwili mgła znów umknęła na boki i Marcin zobaczył przed sobą brzegi Hiszpanii. Na czerwonawych wzgórzach zieleniły się winnice, pod czerwonymi dachami białe domy. Fale, zakończone koroną piany, biły o przybrzeżne skały. Wiatr ucichł, więc morze pod nim kołysało się łagodnie, zbliżając się jednak z niepokojącą szybkością. Po prostu ścieliło mu się do stóp!

Zobaczył swoje buty nad mieniącymi się granatowo i czarno falami i z rozmachem uderzył tak mocno w powierzchnię wody, jakby to była twarda deska. Zamroczyło go z bólu. Czuł jednak, że wciąż spada lekki, pozbawiony ciężaru, a dokoła niego pieni się woda, jak cała góra mydlin.

Po chwili wydało mu się, że się znalazł w stożku światła. On sam tworzył jego wierzchołek, a podstawa wisiała nad nim jak świetlista, okrągła, zadeszczona szybka lub tafla z mrożonego szkła. I w tej szybko widział niebo, obłoki wyginające się zabawnie, niby odbite w krzywym zwierciadle.

Pieniste strużki już nie uciekały w górę tysiącem bąbelków, tylko od czasu do czasu wyskakiwały to spod jego stóp, to spod pachy, łączyły się ze sobą i zamieniając się w srebrzyste czarki, przewrócone do góry dnem, mknęły gromadami na powierzchnię.

Jasny krąg stożka ciemniał, nikł. Dokoła siebie Marcin widział jednak wszystko dość wyraźnie. Stado złocistych, małych rybek przemknęło obok niego, rozpluwając się w zielonawej mgiele, która rozpościerała się dalej, tak daleko, jak wielkie było morze. Błękitna meduza podpłynęła i zawisała nieruchomo, mieniąc się tęczowymi barwami. Stracił jednak szybko z oczu błękitny, pulsujący parasol meduzy, bo jakieś ogromne cielsko wyłoniło się z głębin i owionęło go ciepłym tchnieniem.

Więc to nie ryba?

W słupie światła, jaki go otaczał, ukazał się długi pysk, małe oczy spoglądały na niego z ciekawością. Jakby to właśnie jego, Marcina, umieszczono w akwarium, które mogli zwiedzać dla rozrywki mieszkańcy podwodnego państwa.

Stworzenie nie zdradzało żadnych złych zamiarów. Opłynęło go raz i drugi, wywinęło koziółka. I znikło, rozpluwając się w zielonawej mgiele.

Może to był delfin? Agnieszka opowiadała, że w starożytności Grecy i Rzymianie wierzyli w życzliwość tego zwierzęcia, legendy podawały fakty ocalenia przez nie rozbitków. Więc może i jego wyniesie na swym grzbiecie ten poczciwie wyglądający zwierzak, który zamiast na ziemi, osiedlił się w morzu? Ale delfin nie wracał.

Marcin poczuł się naprawdę sam.

„Odbiję się porządnie nogami od dna i wyskoczę z tego mokrego królestwa” - pocieszał siebie.

W górze już nic nie mógł dojrzeć, ale teraz jaśniejsze koło utworzyło się pod nim i widział coraz wyraźniej dno, do którego się zbliżał.

Wreszcie dotknął nogami twardej powierzchni. Odbił się, sycząc z bólu, ale po chwili znowu zaczął opadać. Wysięk poszedł na marne.

Och, czemuż nie było obok niego przyjaciół? Czemu nie zawołał w porę? Czy Jun dosłyszy jego głos poprzez grubą warstwę wody?

I naraz przypomniał sobie, że pasażer podwodnej łodzi „Nautilus” przebywając pod lodami bieguna północnego, porozumiewał się myślami ze swoim przyjacielem, który

pozostał w Stanach Zjednoczonych - a więc i Jun może go dosłyszeć!

- Jun! - krzyknął - Jun! J u n, k o c h a n y!

Wołając, nie przestawał się oglądać. Dno morskie pod jego nogami było twarde i jasne. Marcin pochylił się. Cóż to za dziwy? Stał na drodze wybrukowanej dużymi kamiennymi płytami.

Kto ją zbudował w tym miejscu? Dokąd prowadziła?

Zapomniał o niebezpieczeństwie. Krok za krokiem zaczął posuwać się naprzód. Dno opadało, podwodny teren obniżał się i już wkrótce chłopiec brodził w mule, który wzbijał się szarą zawieruchą i przesłaniał mu widok. Dlatego też nie od razu dostrzegł rośliny, które wyrastały po obu stronach podwodnej szosy, i potknął się o szeroki liść wielkości parasola. Jak karzełek, który zabłądził między łopuchami, spoglądał na dziwny las. Rośliny miały łodygi grubości męskiego ramienia i ogromne rozłożyste liście. Zawrócił. Tak łatwo mógł zabłądzić w tym podwodnym lesie. Nie zdawał sobie sprawy, jak długo szedł z powrotem, kiedy natknął się na nowe przeszkody. Tym razem nie były to rośliny. W pierwszej chwili sądził, że napotkał wielkie, obłe ryby. Ale nieruchomość tych kształtów porośniętych podwodnymi roślinami wskazywała, że to nie są żywe istoty. Powolutku zbliżył się. W mglistej wodnej dali majaczyły ni to kolumny, ni to pnie drzew. Czyżby znowu las? Ostrożnie stąpając między wzniesieniami, wszedł głębiej.

To było miasto.

Kolumny oblepione małżami, obrośnięte zielenią, zachowały swoją smukłość. Między nimi przepływały ryby, mknęły meduzy, kurcząc swoje przezroczyste parasole. Na postumencie stał posąg. Rysów nie można było odróżnić, ale wyraźnie zaznaczał się piękny ruch ciała.

Zachwycony chłopiec nie zauważył, kiedy dwie srebrzyste sylwetki spłynęły do zatopionego miasta. Zza szybek hełmu spjrzały na niego przyjazne, zaniepokojone oczy.

Ręce Juna sprawdziły dokładnie i szybko jego skafander, potem lekkie dotknięcie sprawiło, że milczący, mroczny świat dokoła Marcina nagle się odmienił.

Smuga światła rozjaśniła zielonawy półmrok. Szare ryby migające obok niego załśniły czerwienią, złotem i błękitem. Miliardy drobnych stworzeń zawirowały w wodzie między kolumnami. Cisza rozbrzmiała tajemniczymi głosami: ni to piski, ni to pomruki, ni to dźwięk piły drążącej pień drzewa.

Wszystkie stworzenia podwodne wysyłały swoje sygnały, których on przedtem nie słyszał.

Kolumny, między którymi przepływali, stały się różnobarwne, okryte dywanami roślinności.

Z zalem spojrział na Juna, kiedy zgasły światła i zapadła cisza. Pomknęli ku powierzchni morza.

Stada srebrzystych bąbelków pędziły wraz z nimi. Pułap wodny stawał się coraz wyraźniejszy; w srebrnym lusterku, które pojawiło się nad jego głową, Marcin zobaczył na tle nieba - łódkę z żaglem, małą jak dziecinna zabawka.

Wyskoczyli z kipieli, a pod nimi pienił się przez chwilę wodny pagórek, aż się rozplynął kosiście między falami, jakby zamykając wejście do podwodnego świata.

Marcin ze zdumieniem spoglądał na niebo, po którym płynęły obłoki nie zniekształcone przez wodny pułap, na fale uderzające o brzeg, na ludzi wyglądających z daleka jak kolorowe mrówki.

Czy przebywając tak blisko morza mieszkańcy wybrzeża zajrzeli chociaż raz na jego dno? Czy słyszeli głosy podwodnego świata?

Łódź rybacka, którą chłopiec dostrzegł z dołu, płynęła teraz przed nimi, niosła się popychana wiatrem, który rozdymał jej szare żagle. Rybacy podnieśli głowy i Marcin spoglądał na ich zwrócone ku niemu twarze.

Opadając na afrykański brzeg posłyszeli psie ujadanie. Obok znajomego gap, gap, gap,

rozlegały się cienkie, piskliwe au, au, au, zirytowanego kundla. Widocznie Gapa nie wytrzymała i na bezczelne zaczepki odpowiedziała psim wymyśleniem.

Ktoś odkrył ich pojazd? Czemuż nie słyszeli ostrzegawczych sygnałów? Czy pojazd został uszkodzony? Marcin z przerażeniem przypomniał sobie, że w górach Atlasu żyją dzikie plemiona.

Szczekanie rozlegało się coraz donośniej, ale równocześnie dobiegł starczy głos uciszający psa.

Zbite w gromadkę owce skubały nędzne kępki trawy. Nic opodal pojazdu siedział stary człowiek w brązowym burnusie i białym turbanie. Na trawie obok niego leżał kostur.

Starzec wyprostowany i godny nie spuszczał oczu z pojazdu, którego pilnował. Nie dotknął go widocznie ani ręką, ani kosturem i dlatego pojazd nie alarmował Juna.

Dzikus?

Marcin ze wstydem cofnął to określenie. Jakże niewiele znalazłoby się ludzi w cywilizowanych krajach, którzy zachowaliby się z taką godnością i odnosiliby się z takim szacunkiem do przypadkowo znalezionej przedmiotu.

Chciał pobiec do starca, przywitać się z nim, kiedy dosłyszał zbliżający się zgiełk i hałas.

Od strony Ceuty pędził tłum Berberów na mułach, uderzeniami stóp obutych w kolorowe pantofle popędzający zwierzęta do pośpiechu. Kobiety biegly, dźwigając na plecach niemowlęta. Bose dzieciaki wysforowały się naprzód i one to wrzeszczały jak opętane.

Czy w górach Atlasu działały telefony bez drutu? W jaki sposób starzec zawiadomił swoich pobratymców o dziwnym znalezisku?

Nie było czasu na rozmyślenia. Jun dał znak i wszyscy troje wylądowali na galeryjce, obok Gapy, a w jej szczekaniu, wśród nutek gasnącej irytacji, pobrzmiwała już radość.

Pojazd poderwał się w górę, zanim opadła go chmara dzieciarni.

Z zadartymi głowami spoglądali Berberowie na dziwny statek, a widząc, że Agnieszka i Marcin pozdrawiają ich ruchami rąk, odpowiedzieli przyjaznymi okrzykami.

Po chwili ubogie wybrzeże znikło z oczu pasażerów pojazdu. Znaleźli się nad kwitnącą, pełną ogrodów doliną.

- Wiesz, Marcin - powiedziała Agnieszka, kiedy przelatywali nad wąskim gardłem \*, łączącym zielone wody Atlantyku z błękitem Morza Śródziemnego - legendarny Herkules tu właśnie wbił słupy, jako granice świata, których nie wolno było odtąd przekroczyć. Kiedy byłam mała, sądziłam, że nie powinno się ograniczać możliwości ludzkich. W niczym.

- A teraz?

- Teraz już wiem, że jest przynajmniej jedna droga, na której trzeba wbić słupy ze słowami Herkulesa: „Ani kroku dalej”. Bo jeśli się je przekroczy...

„Wtedy cała Ziemia mogłaby wyglądać tak, jak zamarte miasto na dnie morza” - pomyślał chłopiec.

\* Gibraltar, w dawnych czasach nosił nazwę boga słońca Melkarta, a później był zwany Słupami Herkulesa.



## SYN ZIEMI

Sahara tumanami piasku pędziła na zachód do najbliższych z wysp, które zwano niegdyś Szczęśliwymi.

Marcinowi mignęła myśl, że tym razem Jun zblądził i zamiast nad Atlantyk skrzył w ostatniej chwili na południe gór Atlasu. Jak okiem sięgnąć ciągnęła się szara, smutna pustynia, pozeberkowana wiatrem, pokryta popiołem.

Żar buchał od piasków, które wzbijając się w górę zasypywały oczy i usta.

W dali wznosiły się niewielkie pagórki, porośnięte mizernymi krzaczkami. I tylko na mieniącej się szafirem wodzie oceanu można było dostrzec znak życia: kolorowe łodzie rybackie.

Czy to możliwe, że o tej krainie opowiadały ludy starożytne, iż godna jest bogów? Czy to możliwe, żeby Kartagińczycy - jak to twierdziła Agnieszka - nie chcieli stąd wracać do swego wspaniałego miasta?

- Gapiu - zwrócił się chłopiec do psiaka, który niechętnie wyszedł za nim na galerijkę i teraz ziajał wysuwając czerwony ozór. - A tośmy się dostali do „ziemskiego raj”! I cóż z tego, że można bez obawy biegać boso, bo żadne jadowite licho nie ugryzie. Sam Król Węży nie znalazłby tu nie tylko żadnego gada, ale w ogóle żadnego żyjącego stworzenia!

Bodajby podmuchał trochę ten mokry lewant, ale nie, nawet wiatr jest suchy jak pieprz. Chodź, Gapa, bo zostaną z nas tylko skwareczki, usmażymy się jak na patelni!

Zawrócił i poszedł korytarzem pojazdu, lekko kuśtykając. Ciało bolało go po niefortunnym zderzeniu z wodą. Przed Junem i Agnieszką ukrywał to najstarannie, ale kiedy nikt go nie widział, pozwalał sobie na grymas bólu.

Nie zdążył zmienić wyrazu twarzy, kiedy zobaczył dziewczynę.

- Co ci jest? - spytała. - Przyznaj się, Marcin, ciebie coś boli?

- Ależ skąd - wyprostował się zuchowato. - Nic mi nie jest. To z upału. A dokąd druhna pędzi w ten skwar?

- Po ciebie. Myślałam, że gonisz mirażę na pustyni, żeby się przekonać, jak wyglądają z bliska. Pustynia to nie Kosmos, ale można w niej się zgubić równie dobrze jak i na dnie morza.

Mówiła poważnie, nawet surowo, ale dostrzegł leciutki uśmiech na ozłoconej słońcem twarzy i w pociemniałych, nieomal granatowych oczach.

- Druhna jest na medal - oznajmił z przekonaniem.

Starając się stapać pewnie, wszedł do kabiny. Pomimo przyjemnego chłodu, jaki w niej panował, ogarniała go przemożna senność. Z przymkniętymi oczyma dotarł do fotela i ułożył się w nim, zagryzając z bólu usta.

Agnieszka wyciągnęła słownik polsko-hiszpański i zagłębiła się w studiowanie słówek. Po chwili jednak zaczęła nasłuchiwać. Wydało jej się, że Marcin jęczy przez sen. Oddychał jakoś ciężko. Dotknęła głowy chłopca. Była rozpalona.

Wpadając z pośpiechem do kabiny Juna, Agnieszka zobaczyła na ekranie sylwetkę nieznaną dziewczyny. Oczy wycięte w kształt migdałów. Czarne, lśniące włosy. Podłużna delikatna twarz o regularnych rysach. Głos nieznaną brzmiał melodyjną skargą.

- Przepraszam cię - cofnęła się speszona - przeszkodziłam ci... ale Marcin ma gorączkę.

Jun wyciągnął rękę w stronę ekranu, z którego znikła natychmiast piękna dziewczyna. Przepłynęły jakieś dziwne domy w zieleni drzew, ludzie w kolorowych skafandrach przelatujący nad wodą - potem wszystko znikło.

- Chodźmy do Marcina - powiedział.

Marcin obudził się. Z otwartej przestrzeni ściennej płynęły chłodne poddmuchy. Słońce

zalewało czerwienią piaski i dalekie wzgórza. Gdzieś na horyzoncie posuwała się wolno sylwetka jednogarbego wielbłąda.

- Porusz ręką - postyszał głos Juna. - Taak. A nogi? Nie bołą, to dobrze.

- Skąd pan wie, że się rozbiłem o wodę?

- Jęczałeś przez sen.

- Ojej, a to wpadłem.

- Nie martw się. Zachowałeś się po męsku - pocieszył go Jun - ale upewniam cię, że nie warto cierpieć na próżno. Na drugi raz przyznawaj się natychmiast, bez fałszywego wstydu. I wołaj na pomoc wcześniej, zanim spadniesz na dno...

- To nic - Marcin odzyskał dobry humor - przynajmniej wiem, że znajdziemy Atlantyde, bo wypróbowałem sam osobiście, że w głębinach morza człowiek mógłby poruszać się jak ryby albo delfiny.

- Nie będziemy szukać Atlantydy.

- Jak to, dlaczego?

- Kiedyś jej ruiny znajdują uczeni, których nazywacie a r c h e o l o g a m i, i...

- Płetwonurkowie.

- Tak. Dla mnie Atlantyda pozostanie ziemską krainą marzeń.

- W dwudziestym wieku realizujemy po kolei „ziemskie marzenia” - przekornie odpowiedział chłopiec. - I o lataniu, i o kuli czarodziejskiej, i nawet ostatnio o przywracaniu życia zmarłym.

- Więc może - uśmiechnął się Jun - zanim minie ten wiek, urzeczywistnią się marzenia o Szczęśliwym Łądzie, którym stanie się cała Błękitna Planeta... jak tego pragnie Agnieszka...

Świetlisty Helios zapadł w ocean, tam gdzie według legend greckich miała się znajdować niegdys Kraina Szczęścia.

Ostatnie blaski zabarwiły czerwienią załamy skafandrów trójki podróżników, którzy stanęli na brzegu, olśnieni widokiem: to Pic del Teide żarzył się ponad chmurami niby rozpalony do białości metal.

Nawet kiedy znikła tarcza słoneczna, a niebo i fale poszarzały, szczyt dalekiej góry wciąż pławił się w promieniach słońca. Świecił, jakby wypromieniowywał z siebie ciepło i jasność wchłonięte w ciągu dnia.

- Lećmy - powiedział wreszcie Jun.

Wyspy wyglądały jak górskie łańcuchy zatopionego ładu. Strugi zastygłej lawy zdawały się wciąż jeszcze spływać z poszarpanych brzegów do oceanu.

Przed oczyma lecących otwierały się urocze zakątki, jarzące się światłami portów; baśniowe białe miasta pod stromymi stokami gór...

Spłynęli lekko u podnóża góry Pic del Teide. Kamienista ścieżka poprowadziła ich nad wąwozem. Wiatr przynosił zapachy kwiatów. Niebo rozpościerało się w górze przezroczy-  
stym granatem.

Kartagińczycy mieli rację, nazywając Wyspy Szczęśliwe rajskim zakątkiem.

- Anda, anda morena! - postyszeli.

Długouchy muł wychylił się zza skalnego zakrętu, dźwigając na grzbiecie wypchane owocami kosze. Obok niego szedł starzec w szerokoskrzydłym kapeluszu.

- Buenas dias - powiedział uprzejmie.

- Buenas dias - odpowiedziała mu Agnieszka i zwolniła kroku.

Coś mówił dalej. W pierwszej chwili zrozumiała tylko pojedyncze słowa, ale wsłuchując się uważnie, zaczęła odróżniać sens całych zdań:

- ... en le mes de Abvil - mówił - derme el criade ruin el de Mayo, ya duerme el amo, pues el San Juan, todes que casa estan...

- Na Tenerifie śpiewają piosenkę o tym, że w kwietniu śpi tylko leniwy sługa - tłumac-

czyła - w maju śpi nawet gospodarz, w czerwcu śpi, kto żyw... Dlatego on się nie dziwi, że spacerujemy wieczorem - dodała.

Stary człowiek, wolno i wyraźnie wymawiając każde słowo, spytał, skąd oni przyjechali, jakiej są narodowości.

- Polacco - zaczęła i urwała spojrzawszy na Juna.

- Polacco?! - powtórzył starzec z radością. - Buone dottore Polacco Dałowski mieszkał niegdyś na wyspie Hierro. Leczył wszystkich ludzi, a od biednych nie brał zapłaty. Niestety nie żyje, a on by wyleczył małą Dolores, którą męczy gorączka.

- Jun - szepnęła dziewczyna prosząco - Jun, słyszysz?

- Spróbuję - odpowiedział. - Powiedz temu człowiekowi, żeby nas prowadził do dziewczynki.

Kiedy muł zatrzymał się, Agnieszka na próżno szukała wzrokiem budynków mieszkalnych. Dokoła sterczały skały, pomiędzy którymi migotały nikle światełka. Dopiero kiedy przewodnik podszedł do jednej ze ścian skalnych, spostrzegła głęboką pieczarę. Wąty płomyk lampki rzucał ruchome blaski na bladą twarz dziewczynki, która leżała we wnęce, okryta kolorowym pledem z grubej wełny.

Jun poprosił o wodę, a kiedy starzec wyszedł razem z Marcinem, pochylił się nad Dolores i przesunął nad nią rozpostartą dłoń. W powietrzu zarysowała się jasna plama w kształcie jej ciała, tylko w jednym miejscu widać było wyraźne zaciemnienie.

- Trzeba małą stąd zabrać - powiedział. - Zbudujemy dla niej namiot. Inaczej nic jej nie pomoże.

Stary pochylił się w progu, wnosząc miednicę pełną wody. Agnieszka, z trudem wyszukując potrzebne wyrazy i pomagając sobie ruchami rąk, wyjaśniła mu, że zaraz wrócą, muszą tylko przynieść dziewczynce to, co ją wyratuje.

Księżyc wychylił się spoza skałek i zalał okolicę błękitną poświatą, kiedy mała Dolores usnęła spokojnie w jasnym namiociku. Dokoła przybyszów zgromadzili się mieszkańcy okolicznych pieczar. Jedni częstowali ich goffio, inni poili mlekiem.

Każdy chciał im okazać serdeczność.

Jakiś chłopiec wsunął do rąk Juna klatkę z dwoma zielonymi kanarkami, a matka szeptem go upominała:

- Dałeś prawdziwe? Umarłabym ze wstydu, gdyby to były malowane wróble!

Agnieszka i Marcin nie mogli utrzymać w ręku wszystkich garnków i miseczek, jakimi ich obdarowano, zwłaszcza Agnieszka, która trzymała bukiet bougenvilli, kwiatów podobnych do purpurowych żagielków z bibułki.

- Moje myśli podążą za wami - powiedział starzec, przyciskając rękę Juna do swojej piersi - mała Dolores będzie zdrowa, bo ją uleczył buono dottore Polacco.

- Czy dottore jest też Polacco? - dopytywała się ciekawie młoda kobieta, której oczu nie można było dojrzeć, bo miała nasunięty głęboko na czoło stożek kapelusza. - Es tu marido? - zwróciła się do Agnieszki. - Czy to twój mąż?

A kiedy dziewczyna potrząsnęła przecząco głową, starzec spytał:

- Ale jesteś Polacco, prawda, dottore?

Agnieszka z napięciem czekała na odpowiedź Juna. Co powie? Czy to, że przybył z dalekiej krainy, o której nawet nie słyszeli, a gdzie czeka na niego czarnooka dziewczyna? Czy też pominie milczeniem niewygodne dla siebie indagacje?

- Mia patria es Tierra - posłyszała spokojny i pewny głos Juna. - Moją ojczyzną jest Z i e m i a.

## SYGNAŁY

W drodze powrotnej Marcin gadał za wszystkich, podzuczając jajamedun, kulę wapna podobną do strusiego jaja, którą Jun otrzymał w darze od starca „na pamiątkę od Dolores”.

Agnieszka zwalniała kroku, żeby pozostać w tyle. Czuła, że Jun chce jej coś powiedzieć, ale nie mogła się zdobyć na rozmowę z nim, zaplątana w rozważania, które sama uważała za bezsensowne.

Jun był mieszkańcem innej planety i chociaż nazwał siebie synem Ziemi - to przecież żadna z krain Błękitnej Planety nie była jego ojczyzną. Cóż więc dziwnego, że na planecie Atis oczekiwała na niego podobna do Cyganki dziewczyna, którą przywoływał na ekran. Agnieszka tłumaczyła sobie, że nawet myśleć nie powinna o jego osobistych sprawach.

Jej bitwa była wygrana. Jun zechce pomóc mieszkańcom Ziemi, których uznał za braci.

Łodzie rybaków wyprysnęły na ciemną wodę. Niewidoczne jeszcze słońce żarzyło się na śnieżnym wierzchołku Pic del Teida.

- Jun - dosłyszała dźwięczny głos Marcina - czy mógłbym trochę popatrzeć na to, co się dzieje u nas?

- U nas?

- To znaczy na szczycie. A potem chciałbym jeszcze zajrzeć do rodziców, do Międzyzdrojów.

- Dobrze.

Agnieszka odwróciła się w stronę morza. Nareszcie zostanie zupełnie sama.

Mimo woli spojrzała na niebo, szukając ptaków lecących odwiecznym szlakiem ponad oceanem, ptaków, które wciąż jeszcze spodziewają się spotkać na swej drodze zaginiony łód Atlantydy.

Ale nawet o właściwej porze roku nie mogłaby ich dojrzeć za delikatną mgielką spowijającą powierzchnię wody.

Uczuła lekkie dotknięcie. Jun. I nagle zrozumiała, że czeka na niego przez cały czas.

- Aju, otrzymałem znak z Atis. Będę musiał odlecieć.

A kiedy milczała, nie mogąc wydobyć ze siebie ani słowa, mówił dalej:

- Tak trudno mi sobie wyobrazić, że znajdę się znów na Atis i zobaczę Słońce jako gwiazdę na tle Warkocza Bereniki. Patrząc na nie będę zawsze myślał o tobie, o twoich włosach. Nigdy u nikogo nie widziałem równie pięknych.

- Ona woła ciebie - wyszeptęła z trudem Agnieszka - woła... czeka...

- Myślisz o Aonie? Czeka na mnie, to prawda. Ale to nie ma żadnego znaczenia. Sama zdecydowała o naszym rozstaniu. W ostatniej chwili cofnęła się przed lotem na Błękitną Planetę. Poleciałem sam. I wtedy rozminęliśmy się w czasie. Wczoraj widziałem ją po raz ostatni taką, jaką była dwanaście lat temu, w chwili mego odlotu. Kiedy się spotkamy, będzie ode mnie starsza o przeszło dwadzieścia ziemskich lat. To zresztą nieważne. My nie znamy takiej starości jak Ziemianie. Mnie i Aonę rozdzielił cały wszechświat. Wrócę do was. Jestem tu potrzebny. Przywołają mnie głosy Ziemi.

Agnieszka milczała.

To straszne, że Jun znowu będzie leciał sam w czarnej międzygwiazdnej pustce. Zupełnie sam.

Czy dogoni Juna jej wołanie, czy odnajdzie go pod obcym słońcem, na obcej planecie?

Nawet jeśli on wróci po latach, to już nie do niej. Staną między nimi bezlitosne przestrzeń i czas.

Jakże nienawidziła „oceanu, który otaczał świat”, oceanu, który budził w niej lęk, a równocześnie pociągał ku sobie, jak wówczas, kiedy wzbijała się w powietrze razem z Junem.

- Boję się - szepnęła.

- Czego się boisz, Aju?

Głos Juna wymawiający jej imię brzmiał ciepło i serdecznie.

- Przestrzeni i czasu - wyznała, zwracając się do niego jak do kogoś jedyne, kto mógłby ją wyzwolić z mroźnego lęku.

- Czemu, Aju? Powiedz. Chcę to usłyszeć.

- Bo one rozdzieli nas, Jun.

Na ekranie snuły się cienie ni to drzew, ni to węży. Aż Marcin poznał buki, płużące się na szczycie. Obok nich zjawiły się czarne jodły wyciągające ku niebu potrzaskane wichurą konary. Z niepokojem wypatrywał domu. I odetchnął widząc, że dom stoi nienaruszony, taki sam, jakim go zostawili: szary, podobny do otaczających go skałek.

Już chciał zawołać Juna i prosić go o Międzyzdroje, kiedy dostrzegł, że ktoś jest na szczycie. Jakiś chłopak, którego twarz osłaniał ogromny słomkowy kapelusz, pochylał się nad trzymanym w rękę kawałkiem papieru. Skuternoga?

Niestety, to był on. Marcin poznał jego długie nogi w farmerkach i koszulę w liliowe pagody. Skuternoga trzymał w rękę mapę, szkic terenu, narysowany dla Marcina przez Agnieszkę.

Dopiero teraz Marcin zrozumiał wszystko. To Skuternoga podsłuchiwał ich rozmowę, kryjąc się za krzakami otaczającymi wąwóz. To on krążył dokoła stacji, szukając sposobności dostania się do mapy. I kiedy krzyczał po pijanemu: „Ja was znajdę, ja was zniszczę”, miał już mapę w kieszeni...

Chłopiec wtulił się w oparcie fotela. Przypomniawszy sobie, że zlekceważył nie tylko groźby Skuternogi, nie tylko fakt, że mapa znikła z teczki, ale zataił przed Agnieszką ostrzeżenie Antka.

Spoza kopulastego wzniesienia wysunęły się zaczerwienione twarze i po chwili na trawie rozłożyła się wrzaskliwa kompania Skuternogi, ta sama, która kiedyś spustoszyła spiżarnię stacji „Pod Planetą”.

- Gdzieś ty nas zataszczył? - pytała wzgardliwie dziewczyna, ściągając z nóg pantofle. - Tu nie było nikogo od czasów króla Ćwiczka.

- A to co? - Skuternoga potrząsnął tryumfalnie opakowaniem po petit beurre'ach, które wyciągnął spod kamienia. - To oni zostawili. Zawsze wcinali te herbatniki. I nas też nimi „częstowali”! Ręczę, że to tutaj!

- Co tutaj? - zaśmiała się. - Byli, zjedli śniadanko i poszli dalej. Mam dość tego łażenia. Wracam!

- Wszyscy pójdziemy - powiedział Skuternoga - ale najpierw przeszukamy całe wzgórze. Przecież na mapie wyraźnie narysowany ten szczyt. O, patrzcie, tam Połonina Wetlińska, a tu rzeka...

Ze zdwojoną energią przetrząsał trawę, zaglądając pod zwisające gałęzie drzew. Jeden z chłopców idąc od skałki do skałki uderzał w nie nożem, wołając: Tu już sprawdzone i tu, i tu, i tu.

Z rozmachem ciął ścianę domu. Nóż odskoczył. Na szarej powierzchni nie powstała żadna rysa. Skupili się dokoła dziwnej skałki, tłukąc ją kamieniami i nożami.

Marcin porwał się z miejsca, ale jak urzeczony wciąż patrzył na straszliwy widok. Cofając się ku ścianie zobaczył jeszcze, że Skuternoga wyjmując z kieszeni pudełko zapalek.

Na korytarzu wpadł na Juna i Agnieszkę biegnących w pośpiechu.

- Ratunku - zawołał - Jun, ratunku!

Gorące łzy wsiąkały w trawę. Marcin nie płakał nigdy z powodu bólu ani z powodu doznanych przykrości, a teraz łkania wstrząsały nim jak małym, bezradnym dzieckiem. Przez

jego głupotę wszystko przepadło. Jun odleci na swoją planetę rozgoryczony na mieszkańców Ziemi. Nie spotka się z uczonymi i politykami.

- Marcin - objęły go miękkie ramiona - Marcin, nie płacz.

- Druhno. To wszystko przeze mnie. W porę zebrało mi się na stosowanie zasad Plutarcha. I najbardziej złote myśli nie pomogą temu, kto nie ma oleju w głowie.

- Cicho. Marcin. Wcale nie tak łatwo umieszczać słowa w odpowiednich miejscach i w odpowiednim czasie, tak żeby zostały dobrze zrozumiane.

- Ale Jun...

- Jun powróci. Słyszałeś przecież, że uznał Ziemię za swoją ojczyznę. Teraz musi lecieć na Atis, bo go wzywają. Ale powróci.

- Kiedy?

- Niedługo. Za dwadzieścia kilka lat. W życiu planety to jedna chwilka...

- W życiu planety!

- W twoim także. Będiesz wówczas dorosłym człowiekiem i łatwiej ci przyjdzie nam pomóc. Marcin, ja już teraz mam do ciebie prośbę. Zabierz ze sobą do Warszawy paczkę z materiałami o Atlantydzie, które wypożyczyłam od pani Anny. Możesz nie jeździć do Serocka, wystarczy, jeśli oddasz ją Witoldowi, kiedy rozpocznie się akademicki rok szkolny. Witold mieszka w Domu Akademickim, niedaleko ciebie...

- A czemu druhna...? - wyjąkał zdumiony. - Czemu?

- Nie mów do mnie „druhna”, braciszku. Przyzwyczajaj się do tego, że kiedy wrócę, będziesz ode mnie starszy. Dużo starszy. Będę do ciebie mówiła: „Panie Marcinie”, a ty do mnie: „Agnieszko, moje dziecko”. A może pozwolisz mówić sobie po imieniu?

- Druhno...

- Marcin. Nie mielibyśmy oboje chwili spokoju, gdyby Jun odleciał sam. Prawda? Nie możesz z nim lecieć, masz rodzinę. A ja... Mam tylko przyjaciół, a do nich powrócę, nigdy o nich nie zapomnę. Wrócimy przede wszystkim do ciebie. Tobie najpierw damy znać, ty nam dopomożesz, bo przecież wiesz wszystko i dobrze znasz Juna i mnie...

Marcin wstydził się pokazać dziewczynie zapłakaną twarz. Ogarniało go znużenie. Jak przez sen słyszał głos Juna:

- Pamiętaj, Marcin, że to od was, od młodych zależy, jaka będzie przyszłość Ziemi. Odwieczne marzenie o Szczęśliwym Łądzie wy musicie urzeczywistnić.

Kiedy chłopiec otworzył oczy, słońce stało już wysoko na niebie.

- Agnieszko! Jun! - zawołał.

Nikt mu nie odpowiedział. Na szczycie było pusto. Znikł pojazd Juna. Nie pozostał żaden ślad po jego domu zniszczonym przez chuliganów. Tylko na kamieniu pod srebrnymi gałęziami buka białął skrawek papieru.

Chłopiec podniósł swój plecak. Przed nim, na horyzoncie, ciągnęły się podłużne pasma gór, osłonięte błękitną mgiełką.

## OCEAN, KTÓRY OTACZA ŚWIAT, NAS WZYWA

Wrześniowe słońce grzało leniwie. Marcin wsunął ręce do kieszeni kurtki i szedł powoli wzdłuż wyszarzałych trawników, na których płomieniały jeszcze rabatki szalwii. Wiatr gonił suche liście po chodniku w stronę dzieci, które bawiły się w klasy. Za ich głowami mignęła znajoma sylwetka. Antek zbliżał się, nie patrząc na przyjaciela, udając, że spotykają się przy-

padkiem.

- Antek!

- A, to ty? Jak się masz? Czemu nie przychodzisz na zbiórki?

- Licho nadało jakieś grypsko czy inną zarazę.

- Nie mogłeś zadzwonić?

- Do nikogo nie dzwoniłem, taki jakiś byłem połamany.

- Może dość tego spaceru jak na pierwszy raz? — powiedział Antek szorstko, jak zawsze, ile razy był o Marcina niespokojny.

- Pójdiesz do mnie?

- Czemu nie?

Rozmowa nie kleiła się. Dopiero na schodach na widok wycieraczki państwa Kawalczyńskich, przymocowanej jak zły pies łańcuchem do progu, obaj parsknęli śmiechem - i spojrzeli na skrzynkę do listów. W szeregu zamkniętych jedna jedyna była niedbale otwarta na oścież, ta właśnie z numerem mieszkania państwa Kawalczyńskich.

- Nic się nie zmieniło - zauważył Antek, kiedy Marcin nacisnął dzwonek.

Babcia zdążyła zapomnieć o szczotce pobrudzonej klejem przy budowaniu rakiety, toteż przywitała gościa bardzo serdecznie.

- Dobrze, że sprowadziłeś Marcina do domu, Anteczku - pochwaliła. - On jeszcze taki słaby. A czemu nas nie odwiedzasz? Marcin wciąż ciebie wyglądał. Jak tylko postyszy dzwonek, zaraz woła: „Babciu, kochana, zobacz, bo może to Antek”. Zaraz wam przyniosę konfitur z herbatnikami...

- Bure petity - mruknął Antek.

- Masz apetyt, to dobrze - ucieszyła się staruszka i podreptała do kuchni.

„Opowiem Antkowi - postanowił Marcin, spoglądając na roześmianą twarz przyjaciela - zaraz, teraz o wszystkim, co się zdarzyło od chwili, kiedy to drużyna zatrzymał ich obu z Donkiem. Wprawdzie nie mam dowodów rzeczowych, bo nawet jajamedun, kwiaty bougenvilli i kanarki zostały na pokładzie pojazdu, ale Antek jest w dobrym humorze, więc pewnie zechce wysłuchać mnie do końca... a wtedy uwierzy...”

- Antek - zaczął - coś ci chciałem powiedzieć. Tam w Wetlinie...

- Byłeś z drużyną Agnieszka - przerwał mu przyjaciel.

- Gniewasz się o to?

- Na ciebie? Nie. Skoro Miss Quiz nie życzyła sobie, żebyś mnie poinformował o celu wyprawy, musiałeś być lojalny. Jasne.

- Ale teraz nie jestem związany tajemnicą i mogę wszystko opowiedzieć.

- Przedawnione - lekceważąco skinał ręką Antek - zresztą nie jestem ciekaw tych spraw, jak i tego, co teraz robi łobuz Skuternoga. A to co? - sięgnął po książkę leżącą na stole obok kałamarza. - „Podróże po świecie nieskończonych małości”. Ciekawe!

- Tata mi przyniósł, kiedy byłem chory...

- Czeka! - Antek otworzył książkę i zasłonił ręką podpis u dołu stronicy. - Będziemy zgadywali, co to jest, chcesz?

„Zgadywanka” nie udawała się. Coś, co wyglądało na artystyczną samodzielną tkaninę, okazało się nabłonkiem skrzypu powiększonym sto siedemnaście razy. Pustynia Sahary była naprawdę powierzchnią starannie wygładzonej stali w powiększeniu piętnastotysięcznym.

Włókienko sztucznego jedwabiu rozwidłało swe „konary” jak potężne drzewo. Nabłonek bakterii miał kolczugę niby zbroja średniowiecznego rycerza.

Marcin dotknął gładkiego blatu stołu.

- Wcale nie wiadomo, jak naprawdę wygląda świat - powiedział w zamyśleniu - nawet ten stół, na który patrzę już od tak dawna, kto wie, jaką naprawdę ma powierzchnię, jakie są na nim góry i doliny, chociaż, nie wymawiając, robiono go przecież na tak zwany „wysoki

połysk”.

„A nawet jeśli ktoś zna prawdę - dodał w myśli - nie zawsze może ją przekazać innemu człowiekowi. Agnieszka miała rację. Wcale nie tak łatwo umieścić słowo w odpowiednim miejscu i w czasie, tak aby zostało właściwie zrozumiane”.

Minęło kilka miesięcy. Lekcje, zbiórki harcerskie, codzienne domowe obowiązki wciągały Marcina w normalny tok życia. Wakacyjne przygody stawały się stopniowo tylko kolorowym, przedziwnym snem, tym bardziej nierealnym, że nie mógł z nikim o nich porozmawiać.

Któregoś dnia gazety doniosły o starcie w Kosmos trzeciego kosmonauty - kapitana Glenna. Marcin codziennie spotykał się z Antkiem, przynosząc ze sobą zdobyte najświeższe wiadomości o locie.

- Chłop w deseczkę - oznajmił któregoś dnia - wszyscy się bali, że on się załamie, bo kazano mu czekać tyle razy, a on nic!

- Aha - mruknął Antek - ale ciekawym, kiedy ludzie wymyślą inny wehikuł do poruszania się w Kosmosie.

- Jaki? - spytał Marcin, myśląc o pojeździe Juna.

- Na przykład o napędzie energii z kiełkującego dębu.

- Pleciesz!

- Nie czytałeś sierpniowego numeru „Młodego Technika”, ciemna maso?

- Sierpniowego nie.

- Widzisz, a w tym numerze pisali o odkryciu profesora, jakże mu tam, chyba Berange-ra. Okazuje się, że w roślinach podczas wzrostu zachodzą reakcje jądrowe. I co najciekawsze - któraś z legend o Atlantydzie mówi o tym, że Atlanci wykorzystywali taką właśnie energię do lotów. Dobrze, co?

Atlantyda! Marcin nagle przypomniał sobie o prośbie Agnieszki. Sięgnął do biblioteczki i wyjął paczkę.

W sekretariacie Akademika pani w błękitnym sweterku wyszukała w kartotece, że Witold Retmański zajmuje pokój dwieście siedemdziesiąt trzy.

Schodami, których ściany były jakby ułożone z denek od butelek z grubego, zielonawego szkła, Marcin dostał się na drugie piętro. Na jego pukanie odezwał się bas, którego by się nie powstydział nawet druh oboźny.

- W l a z ł!

Jasnowłosa brodacz krążył między łózkami, od progu do biblioteczki, zasłoniętej firanką w „picassy”. Kilkakrotnie zawrócił na pięcie tuż przed nosem chłopca i ani spojrzał na niego; wreszcie, nie odrywając oczu i brody od książki, spytał:

- Czego chcesz, młodzieńcze?

- Przychodzę od Agnieszki Janickiej.

Brodacz zamknął książkę.

- O co chodzi?

- Proszę, oto paczka od niej.

Student rozwinął papier, wyjął kartkę.

- Wyjechałam tak nagle - mruczał pod nosem - że nie mogłam, hm, hm, pozdrawiam, zobaczymy się po powrocie, hm hm... Pisane w sierpniu - zauważył zerkając na datę. - Byłem pewny, że Agnieszka zawiadomi nas natychmiast o swoim wyjeździe.

- To moja wina - przyznał się chłopiec.

- Więc dostała jednak paszport? - spytał brodacz. - A jak długo ma zamiar zostać w Australii?

- W A u s t r a l i i?



- No tak, u wuja.
- Agnieszka - zaczął Marcin, ale brodacz przerwał mu belferskim tonem:
- Ile masz lat, kawalerze?
- Trzynaście.
- Jesteś kuzynem Agnieszki?
- Nie...
- Wy, smarkacze, macie brzydki zwyczaj poufalenia się z dorosłymi.

Chłopiec westchnął z rezygnacją. Był pewien, że brodacz nie uwierzy ani w gościa z Kosmosu, ani w odlot Agnieszki z Junem pod słońce Tau Ceti, ani w to, że dziewczyna po powrocie będzie młodsza od „smarkacza” o przeszło dwadzieścia lat i dlatego właśnie kazała sobie mówić po imieniu.

I jakże miał uwierzyć, skoro nawet ci, którzy widywali Juna podczas jego pobytu na „Błękitnej Planecie”, brali go za kogoś innego, dodając mu, dorysowując cechy, których wcale nie miał.

Dla harcerzy był „Meksykańczykiem”, dla posterunkowego Jabłońskiego - „obywatel-turysta”, który nie zameldował się w porę, dla robotników - „harcerzem” wymykającym się z obozu na zabawę...

A czy on sam znał Juna naprawdę?

Brodacz zerknął na Marcina i znów pochylił się nad książką, uznając rozmowę za skończoną.

- No... to ja już pójdę - powiedział chłopiec - do widzenia...

- Do widzenia - odpowiedział brodacz i rozpoczął na nowo wędrówkę po pokoju.

Ciężkie drzwi zamknęły się bezgłośnie.

Niebo wisiąco nad miastem pociemniało, bez gwiazd. Marcin zapatrzył się w tajemniczy mrok. Gdzieś w czerni Kosmosu pędził międzygwiazdny pojazd, unosząc Agnieszkę i Juna.

Za dwadzieścia kilka lat powrócą oboje. Zjawi się przed nimi Słońce rozżarzone okrutną bielą, wyrzucające w przestwór ogniste języki, i Błękitna Planeta, otoczona poświatą, za którą niewyraźnie rysują się lądy i morza. Otoczy ich gwar Ziemi.

Czy te głosy przyniosą wieści, na które czekają z utęsknieniem i Jun, i Agnieszka?

## SPIS TREŚCI

Międzygwiazdny żeglarz	02
Miss Quiz	03
Stacja „Pod Planetą”	07
Głos z daleka	13
To jest Ziemia	18
Tau Ceti	23
Zaginione lądy	30
Wyspy Szczęśliwe	36
Zagubiony ślad	42
Synowie Słońca	46
Jak kamień	52
Jeden dzień i jedna noc okropna	58
Żeby być w zgodzie z Plutarchem	62
Oblicze Sfinksa	67
Głosy Ziemi	71
Słupy Herkulesa	76
Syn Ziemi	81
Sygnaty	84
Ocean, który otacza świat, nas wzywa	86